

Donya al-Nahi Eugene Costello  
Oddaj mi dzieci

Dramatyczna opowieść o determinacji matki walczącej o odzyskanie porwanych dzieci

Z angielskiego przełożyła Joanna Pierzchała

Mojej siostrze Tracey za jej miłość i siłę. Nawet wówczas, kiedy miała własne problemy, poświęcała mi swój czas. Kocham ją.

Marlonowi i Chalidowi, moim niezwykłym synom, za to, że nigdy nie stracili nadziei.

Moim rodzicom, którzy uświadomili mi, że każdy popełnia błędy.

Zawsze będę ich kochać, niezależnie od tego, co wydarzyło się w przeszłości. Każdy ma tylko jedną matkę.

Dzieciom, które zostały rozdzielone ze swoimi matkami.

Nigdy nie traćcie nadziei, gdyż nadejdzie chwila, kiedy zobaczycie matkę tuż obok siebie, a nie tylko w marzeniach.

I może się zdarzyć, że będę jej towarzyszyć!

Gdyby ptak kochał rybę, gdzie mogliby zamieszkać?

#### OD AUTORKI

Książka ta opowiada zarówno o moich losach, jak i najbardziej trauma-tycznym przeżyciu - porwaniu moich dzieci przez mężczyznę, którego kochałam i, jako swego męża, obdarzałam zaufaniem. Było to tym bardziej druzgocące przeżycie, że do tej pory z pełnym poświęceniem pomagałam kobietom, które spotkał podobny los. Przez cały okres mojej pracy, kiedy niosłam im pomoc, zawsze znajdowałam w mężu oparcie. Niezmiennie wspierał moją działalność. Nawet w najstraszniejszych snach nie wyobrażałam sobie, że będę musiała stawić czoło tak dramatycznemu doświadczeniu, jak uprowadzenie moich dzieci.

Chciałam umieścić tę historię w kontekście swego życia i opisać wydarzenia, które poprzedzały ten tragiczny dzień. Część materiału zawartego w pierwszych rozdziałach niniejszej książki została wykorzystana w mojej pierwszej publikacji, zatytułowanej *Heroinę of the Desert* (Bohaterka pustyni). Są tam szczegóły i relacje, którym nie poświęciłam już tyle miejsca w *Oddaj mi dzieci*. Dlatego czytelników pragnących dowiedzieć się więcej o mojej pracy w okresie przed uprowadzeniem moich własnych dzieci, odsyłam do mojej pierwszej książki.

Dzieląc się z czytelnikami swymi doświadczeniami, pragnę podkreślić, że przyświecał mi jeden, nadrzędny cel. Jeżeli uprowadzenie dzieci mogło dotknąć mnie - osobę zajmującą się dziesiątkami tego typu spraw, która doskonale wiedziała, na jakie sygnały należy zwracać uwagę, by mieć się na baczności - z pewnością może to spotkać każdą matkę w mieszanym małżeństwie. Ta myśl była dla mnie najbardziej inspirująca podczas przygotowywania książki do druku.

Donya al-Nahi Londyn, marzec 2005

## PROLOG

Gwałtownym ruchem otworzyłam drzwi do samochodu. O dziwo, odniosłam wrażenie, że nagromadzona we mnie wściekłość nagle wyparowała. Byłam spokojna i czułam, że całkowicie kontroluję sytuację. Wszystko, co robiłam w ciągu ośmiu ostatnich tygodni, miało doprowadzić mnie właśnie do tego punktu, i teraz, kiedy to osiągnęłam, miałam wrażenie, że moimi działaniami kieruje jakaś wyższa siła. Nic nie mogło mnie teraz zatrzymać. Wzięłam z samochodu małą córeczkę Amirę, odbierając ją memu mężowi Mahmudowi. Na jego twarzy malował się wyraz absolutnego zaskoczenia. Najwyraźniej nie wierzył, że uda mi się ich wytropić. Niemal sparaliżowany całą sytuacją, pozwolił zabrać mi córkę, nie stawiając żadnego oporu. Następnie otworzyłam tylne drzwi, pozwalając mojemu najmłodszemu synkowi Allawiemu wyskoczyć z samochodu. Jego twarz rozpromieniła się i zaczął wołać do mnie: „Mamusi! Mamusi!”.

Przytuliłam dwoje moich dzieci i stałam tam, przed domem Alego, przyjaciela Mahmuda, w spustoszonej przez wojnę Bagdadzie, o tysiące kilometrów od domu. Moi starsi synowie, Chalid i Marlon, podeszli do mnie i objęli młodszego rodzeństwo, czule całując. Spojrzałam na Mahmuda ponad ich głowami, a on, wyzywająco patrząc mi w oczy, wytrzymał moje spojrzenie. Po raz pierwszy poczułam niepokój. Co się teraz wydarzy? Kto zrobi pierwszy ruch? Czy Mahmud będzie po prostu stał z boku i spokojnie się przyglądał, jak zabieram dzieci - nasze dzieci - z powrotem do Anglii i pogodzi się z tym, że być może, nigdy więcej ich nie zobaczy? W głębi duszy nie sądziłam, że tak będzie.

W tym momencie, kiedy staliśmy niemal wrośnięci w ziemię, na horyzoncie pojawiła się nagle moja siostra Tracey, biegnąc ku nam drogą.

- Nie martw się, Donya - zawołała do mnie. - Spotkałam oddział amerykańskich żołnierzy i wyjaśniłam im naszą sytuację. Przejmą teraz nad wszystkim kontrolę. W tym momencie usłyszałam głuchoe odgłosy dudnienia i zgrzyt gąsienic ciężkich pojazdów wojskowych. Spojrzałam na drogę i zobaczyłam wyłaniające się zza rogu ulicy dwa ogromne czołgi jadące w naszym kierunku. To było niewiarygodne, zupełnie jakbym widziała scenę z filmu. Wszyscy obserwowali w milczeniu, jak podjeżdżają coraz bliżej. Zatrzymały się w końcu przed domem. Na czołgach stało kilku amerykańskich żołnierzy w pełnym umundurowaniu. Mieli na głowach hełmy, trzymali w rękach broń i patrzyli na nas. Jeden z nich zeskoczył. W ciemności trudno było określić jego wiek; mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia, ale równie dobrze około trzydziestu pięciu lat. Przypuszczam, że był dowódcą, ponieważ - jak się wydawało - przejął kontrolę nad sytuacją.

Zwrócił się do mnie z szacunkiem:

- Dobry wieczór. Czy jest pani matką tych dzieci?

Przytaknęłam i opowiedziałam mu, w jaki sposób znaleźliśmy się w tarapatkach.

Żołnierz przysłuchiwał się uważnie moim słowom. Skończyłam, mówiąc:

- Wszystko, czego teraz pragnę, to zabrać moje dzieci do domu, zostawić za sobą ten koszmar i zacząć odbudowywać nasze życie.

- W porządku. Możemy pani w tym pomóc - powiedział żołnierz.

Miałam ochotę zarzucić mu ręce na szyję. Ludzie często krytykują Amerykanów za

ich nadgorliwą postawę. Ja jednak mam wszelkie powody, by czuć wobec nich wdzięczność. Okazali mi wielką życzliwość i pomoc, nie stwarzając niepotrzebnych trudności w rozwiązywaniu problemów. Oznaczało to, że będę mogła zabrać moje dzieci do świata, do którego należały, daleko od strefy wojny. Wydawało się, że teraz nic nie mogło mi w tym przeszkodzić. Nareszcie dostrzegłam kres naszych kłopotów. Mahmud mocno trzymał za ramię Marlona, błagając go, by został z nim tej nocy. Być może zdawał sobie sprawę, że jeżeli pozwoli teraz dzieciom opuścić terytorium Iraku, nigdy więcej ich nie zobaczy. Żołnierz wymierzył broń w kierunku Mahmuda. Zachowywał się bardzo uprzejmie, ale w powietrzu wisiała niewypowiedziana groźba, że jeżeli Mahmud nie zrobi tego, o co prosi go Amerykanin, ten przystąpi do działania.

- Musi pan się odsunąć od dziecka - powiedział spokojnie.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał wzburzony Mahmud. - To są też moje dzieci.

Żołnierz zachował spokój.

10

- Proszę się cofnąć - powtórzył. - Jeżeli pan tego nie zrobi, będę zmuszony pana aresztować. Gdyby stawiał pan opór, nie będę miał innego wyjścia - nie zawaham się pana zabić. Ułatwi pan wszystkim rozwiązanie problemu, jeżeli zastosuje się do moich poleceń i natychmiast się cofnie. Musi pan podporządkować się rozkazowi. W tym momencie miałam ochotę zapłakać. W jaki sposób mogło do tego dojść? Miałam w torbiece pistolet, na ulicy stały dwa czołgi, zaś amerykański żołnierz groził mojemu mężowi, trzymając go na celowniku. Po chwili umocniłam się jednak w postanowieniu. To Mahmud postawił nas w tej sytuacji. Zrobię wszystko, co powinnam.

1

POCZĄTKI...

Urodziłam się w 1965 roku jako Donna Topen. Teraz jestem bardziej znana pod swoim muzułmańskim imieniem i nazwiskiem - Donya al-Nahi (transkrypcja polska: Dunya an-Nahi). W prasie oraz innych środkach masowego przekazu określano mnie w różny sposób: raz byłam zawodową porywaczką dzieci, innym razem Scarlet Pimpernel albo też Jane Bond w chuście. Osobiście wolę nazywać się przede wszystkim matką, w drugiej kolejności przyjaciółką innych matek, a dopiero potem i to jedynie w skrajnych wypadkach - osobą ratującą dzieci.

Przyszłam na świat w mieście Walton-on-Thames w hrabstwie Sur-rey. Byłam córką Sandy'ego i Annę Topen. Mój ojciec, duży, misiowa-ty mężczyzna, pracował jako mechanik pokładowy w lotnictwie. Mama, atrakcyjna i pełna życia, z długimi ciemnymi włosami, podobnie jak wiele kobiet w owych czasach zajmowała się domem. Była osobą inteligentną i błyskotliwą. Często przychodzi mi na myśl, że gdyby czuła się bardziej spełniona w życiu, zapewne nie byłaby tak trudna i nieszczęśliwa.

Pewien dziennikarz wyraził się kiedyś przemądrzale o mnie i mojej pracy, twierdząc, że moja „rola matczynej mścicielki kompensuje pewne skomplikowane osobiste potrzeby psychiczne”. Z pewnością uważał się za niezwykle bystrego. Jednak prawda jest inna. Zawsze było dla mnie oczywiste, iż moje nieszczęśliwe dzieciństwo oraz

napięte stosunki z matką stały się podstawą niezachwianego przekonania, że dzieciom należy zapewnić prawo do szczęścia i możliwość przebywania ze swoją mamą. Nie widzę w tym nic złego. Przeciwnie, jestem dumna ze wszystkiego, co zrobiłam, niosąc pomoc w łączeniu członków rodziny, którzy zostali rozdzieleni.

13

Moi rodzice byli Szkotami. Pochodzili z Dundee, ale często zmieniali miejsce zamieszkania ze względu na charakter pracy ojca. Przemysł lotniczy jest branżą specyficzną - przeprowadzaliśmy się tam, gdzie ojcu oferowano pracę. Nigdy nie osiedlaliśmy się w jednym miejscu na dłużej niż kilka lat. Ciągłe zmiany adresu zrodziły we mnie poczucie braku bezpieczeństwa, czego tak bardzo chciałabym zaoszczędzić własnym dzieciom.

Małżeństwo moich rodziców nie było szczęśliwe. Często się ze sobą kłócili. Urodziłam się mniej więcej rok przed Tracey, moją młodszą siostrą, i prawie w rok po Sandrze, niejako wciśnięta pomiędzy nie. Z Sandrą nie łączą mnie zbyt zażyłe stosunki, mam za to bliskie relacje z Tracey. Jako dziecko byłam najspokojniejszą z sióstr. Zaszywałam się w swoim pokoju, by nie wysłuchiwać krzyków, wzbudzających we mnie nieprzyjemne uczucia. Bawiłam się tam zabawkami. Zawsze trzymałam moje lalki w pudełkach, w których zostały kupione. Często wyjmowałam je, żeby na nie popatrzeć, po czym ostrożnie odkładałam na miejsce, by wyglądały tak samo jak w sklepie. Jestem pewna, że psycholog powiedziałby, iż moje postępowanie wskazywało na kompulsywną potrzebę zachowania porządku wśród chaosu i nieszczęścia. Ja natomiast uważałam po prostu, że lalki w pudełkach wyglądają lepiej.

Ulubioną zabawką, która stała się moją nieodłączną towarzyszką, była zrobiona na drutach różowa świnka. Nazwałam ją Percy. Spała ze mną, a także pomagała mi utrzymać nieposłuszne lalki w korbach. Pewnego dnia weszłam do mojej sypialni i zobaczyłam, że Sandra i Tracey powiesiły świnkę za szyję na lampie. Zaczęłam krzyczeć i płakać. Wciąż byłam niepoczyszona, nawet wówczas, gdy tata odciął świnkę i pokazał mi, że nadal ma się świetnie.

W miarę upływu lat kłótnie między rodzicami stawały się coraz gwałtowniejsze, do tego moje stosunki z matką nigdy nie były prawdziwie przyjazne. Chociaż czytanie tych słów będzie dla niej bolesne, nie wspominam jej ciepło. Przypominam sobie, że często dostawałam od niej klapsy. Teraz, jako osoby dorosłe, jesteśmy sobie bliższe, ale wspomnienie cierpienia związanego z nieszczęśliwym dzieciństwem nigdy mnie nie opuszcza.

Mama była zwolenniczką surowej dyscypliny. Nalegała, abyśmy sumiennie wykonywały domowe obowiązki: czyściły buty i utrzymywały porządek w pokojach. Kiedy nie udawało nam się sprostać jej rygorystycznym wymaganiom, byliśmy karane. Ponieważ nasza rodzina dosyć często zmieniała miejsce zamieszkania, pozbawiona byłam też w dzie-

14

ciństwie przyjaciół. Wszystkie te czynniki powodowały, że atmosfera panująca w domu była chłodna i ponura. Kiedy miałam około siedmiu lat, z przyczyn, których nie mogłam wówczas pojąć, moja matka na rok opuściła dom i tata musiał się sam o

nas troszczyć. Oczywiście starał się najlepiej, jak umiał. Jednak było to dla niego bardzo trudne, gdyż musiał chodzić do pracy, by zarobić na nasze utrzymanie. W takich sytuacjach interweniowali pracownicy opieki społecznej. W rezultacie to oni zajmowali się nami pod nieobecność ojca. Mniej więcej po roku mama wróciła do domu, a wraz z nią niespecjalnie szczęśliwa codzienność.

Mama miała wielu arabskich przyjaciół. Nie wiem, w jaki sposób ich poznała ani kim byli, ale tak się złożyło, że odziedziczyłam po niej sympatię do krajów Bliskiego Wschodu i wszystkiego, co arabskie.

W moim życiu zdarzały się też przyjemne okresy. Pamiętam, że w wieku od dziewięciu do dwunastu lat mieszkałam w dużym domu w Earith, niedaleko St Ives w Cambridgeshire, niedaleko od Soham, które zawsze będzie mi się kojarzyć ze strasznym, brutalnym morderstwem dwóch biednych, małych aniołków - Jessiki Chapman i Holly Wells. Trudno zapomnieć zdjęcie radośnie uśmiechających się dziewczynek ubranych w bluzy Manchester United, zrobione podczas domowego barbecue. Wydawało się, że przed nimi jest całe życie. Jednak tego właśnie dnia zostały zamordowane. Mieszkaliśmy w olbrzymim wiktoriańskim domu z pomieszczeniami dla służby i tak wieloma sypialniami, że nie mogłam nawet spać, ile ich było. Dom otaczał rozległy ogród, w którym mój ekscentryczny tata próbował zbudować własny samolot. Nie tracąc jednak przy tym zdrowego rozsądku, pozostawał jednocześnie wierny motocyklem.

W owym czasie byłam uczennicą Ramsey Abbey School w Huntingdon, kilkanaście kilometrów od naszego domu. Zaprzyjaźniłam się blisko z dwiema innymi uczennicami, Sarah i Sharon. Sarah, której nadałyśmy przydomek Minkie, była bardzo ładną dziewczynką. Kochała konie i skakanie przez przeszkody. Sharon zaś, czyli Gertrudę, jak ją nazywaliśmy, była osobą twardo stąpającą po ziemi. Miałam wtedy przydomek Dodo. Bardzo kochałam obydwie dziewczyny. Były moimi najlepszymi i jedynymi przyjaciółkami.

Niestety, ten okres spokoju nie trwał długo. Wkrótce znowu nastąpiła przeprowadzka. Tym razem do Bushey, miejscowości, z której dojeżdżało się do pracy w Hertfordshire, niedaleko Watford. Nienawidziłam tego miejsca. Gdy chodziłam do Watford Grammar School, zaczęłam zachowywać się coraz bardziej nieobliczalnie. Nieustannie pakowałam

15

się w kłopoty, byłam zawieszana w prawach ucznia albo też zatrzymywano mnie za karę po lekcjach. Wydawało się, że mam problemy z autorytetami, podobnie jak wiele innych dzieci pochodzących z domów, w których życie nie układało się szczęśliwie. To oczywiste, że moje zachowanie miało swoje źródło w domowych problemach. Dlatego nabrałam absolutnego przekonania, iż dzieci nie powinny ponosić konsekwencji nieudanego życia swoich rodziców. Teraz, jako osoba dorosła uważam, że lepszym rozwiązaniem jest rozwód, pozostających ze sobą w konflikcie rodziców, niż zmuszanie dzieci do życia w nieszczęśliwej rodzinie.

Jedynym promyczkiem nadziei w szkole był mój nauczyciel angielskiego, John Hilley. Uważałam, że jest najwspanialszy na świecie. Prawdę mówiąc, durzyłam się w nim. Tylko on wydawał się mnie rozumieć. Dostrzegał trudności, z którymi się borykałam. Zdawał sobie również sprawę, jaki wpływ miały na mnie kłopoty w

domu.

Wspominam z czułością wyjazd z ojcem do Hiszpanii, kiedy miałam około czternastu lat. Musiał zabrać stamtąd samolot DC-3 i przylecieć nim do Wielkiej Brytanii. Radosne podniecenie wprawiło mnie niemal w chorobę, gdy powiedział, że mogę z nim pojechać.

W Hiszpanii zamieszkaliśmy w hotelu. Pewnego wieczoru, po kolacji, kiedy tata wrócił do swego pokoju, wymknęłam się do baru, gdzie spotkałam grupę stewardes, które wybierały się do nocnego klubu. Wyglądałam na starszą niż byłam w rzeczywistości, szczególnie kiedy miałam makijaż, toteż łatwo zaakceptowały moje towarzystwo i poszłam z nimi. Kiedy wróciłam, o czwartej lub piątej nad ranem, robiło się już jasno. Ku mojemu przerażeniu dostrzegłam na balkonie ojca rozglądającego się wokół. Z pewnością wypatrywał mnie. Hotel okalał zarośnięty ogród, przez który skradałam się chyłkiem, próbując ukryć się przed jego spojrzeniem. Dostrzegł mnie jednak.

- Donna! - zawołał ze złością. - Co, do jasnej cholery, robisz w tych zaroślach? Chodź tutaj, zanim cię zabiję...

W drodze powrotnej do Anglii ojcu udało się przekonać pilota, żeby pozwolił mi przejąć stery. Lecieliśmy nisko wzdłuż francuskiego wybrzeża, spoglądając na morze. Dzień był piękny, a na falach unosiło się wiele jachtów. Usiadłam w fotelu i próbowałam słuchać instrukcji. Kiedy jednak ujęłam drążek sterowniczy, szarpnęłam zbyt mocno. Samolot zakolysał się i natychmiast zaczął ostro pikować. Pilot wyrwał mi stery, a gdy wyjrzałam przez okno, zauważyłam, że jeden z jachtów z trudem utrzymuje się na wodzie, poruszony silnym podmuchem powietrza, któ-

16

ry powstał za szybko oddalającym się samolotem. Będąc typową nastolatką, uznałam całe zdarzenie za bardzo śmieszne. Jednak tata i reszta załogi nie podzielali mojego rozbawienia.

Potem, kiedy lecieliśmy nad Francją, miało miejsce inne wydarzenie, które utkwilo mi w pamięci. Dzięki jednemu z handlowych kontaktów ojca w Hiszpanii dostarczono nam na pokład w podarunku ładunek mrożonych kurczaków. Wkrótce cenny prezent uległ rozmrożeniu i zaczął wydawać nieprzyjemną woń. Obniżając znacznie poziom lotu, wyrzucaliśmy stopniowo kurczaki z kabiny pilota. Ta operacja wydała mi się wyjątkowo komiczna. Przypominała wersję niskobudżetowej komedii *The Dam Busters* (Przekłęci kolesie). Tata uznał naturalnie ów incydent za mniej zabawny. Nigdy więcej nie zaproponował mi, abym towarzyszyła mu w podróży służbowej.

W wieku piętnastu lat miałam tak dosyć życia z rodzicami, że postanowiłam się wyprowadzić. Nie dręczyły mnie żadne skrupuły związane z opuszczeniem domu i szkoły. Chociaż większość feministek wysłucha mego wyznania z wielką niechęcią, nie miałam najmniejszej ochoty kontynuować nauki w college'u, kształcić się i robić kariery. Chciałam jedynie mieć dzieci i być mamą. Nie byłam nawet szczególnie zainteresowana mężczyznami - byli po prostu środkiem do osiągnięcia celu.

Znalazłam pracę jako kelnerka w kawiarni na Watford High Street. Wynajęłam kawalerkę na Cassio Road - ruchliwej, ale bezbarwnej arterii w pobliżu centrum miasta. Czynsz wynosił 17,50 funta tygodniowo. Właściciel żądał, zapłaty za dwa

tygodnie z góry. Za jeden tydzień mogłam zapłacić z pensji, ale nie wiedziałam, skąd zdobyć pieniądze na opłatę drugiego tygodnia. Na szczęście moja siostra Sandra miała uczynnego chłopaka - Włocha imieniem Claudio, który przyszedł mi z pomocą, pożyczając brakującą kwotę. Zaczęła się dorosłość.

## OPUSZCZAM DOM

W ciągu następnego roku w moim życiu nie działo się nic szczególnie ciekawego. Kawalerka wyglądała dosyć ponuro, ale wynajem nie kosztował drogo. Nie było tam centralnego ogrzewania, tak że podczas porannej toalety z ust wydobywała się para. Zostawałam zatem w łóżku do ostatniej chwili, następnie wyskakiwałam z pościeli jak oparzona, usiłując pobić swój życiowy rekord w szybkości ubierania się. Na zawsze zapadło mi w pamięć, jak próbowałam ogrzać prześcieradła, zanim położyłam się do łóżka, używając w tym celu suszarki do włosów. W pokoju był licznik elektryczny, do którego trzeba było wrzucić pięćdziesiąt pensów, i który mimo to często przestawał działać, co wprawiało mnie w irytację. Byłam jednak przynajmniej niezależna. Moje zarobki w kawiarni wystarczały, by opłacić czynsz i prowadzić skromne życie towarzyskie, toteż czułam się szczęśliwa.

Mniej więcej w tym czasie spotkałam Jordańczyka - Karima. Chodził na kurs biznesu na uniwersytecie Watford. Chłopak wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Ze swoją oliwkową cerą i lśniącymi brązowymi oczami wydawał mi się niezwykle czarującym przybyszem z egzotycznego kraju, tym bardziej że przejęłam po matce fascynację Bliskim Wschodem. Zaczęliśmy się spotykać. Mniej więcej po roku zaproponował, żebym pojechała z nim do Jordanii i tam zamieszkała. Dlaczego nie - powiedziałam sobie w duchu. Nic nie wiązało mnie z Watford. Bez najmniejszego żalu zrezygnowałam z pracy w kawiarni oraz mieszkania w ciasnej ka-walercie.

Nie jestem pewna, czego spodziewałam się po Jordanii, ale sądzę, że wyobrażałam sobie ciągnącą się kilometrami pustynię. Czekala mnie miła niespodzianka. Rodzina Karima mieszkała w maleńkiej wiosce pośród

18

rozległych, porośniętych bujną roślinnością, zielonych pól uprawnych. To było wspaniałe odkrycie, podobnie jak styl życia jego rodziny, który - jak mi się wydawało - przez wieki nie uległ zmianom.

Mieszkali w najbardziej okazałym domu, wyróżniającym się w obrębie małej społeczności, wzniesionym w jordańskim stylu na ogrodzonym dziedzińcu, gdzie zawsze można było znaleźć cień, chroniąc się przed uciążliwym niekiedy upałem.

Wszystkie mniejsze zabudowania w pobliżu należały do członków wielopokoleniowej rodziny, zaś w dużym domu odbywały się spotkania i wspólne posiłki. Dla osoby, która wciąż miała w pamięci swoje nieszczęśliwe dzieciństwo, było to prawdziwie magiczne doświadczenie. Wśród członków rodziny panowała atmosfera ciepła i miłości, czego nigdy wcześniej nie zaznałam. Ten tryb życia wydawał mi się tak atrakcyjny, że zastanawiałam się, dlaczego wszystkie rodziny nie żyją w podobny sposób.

Sądzę, że tę bliskość rodzinną należało częściowo przypisać wyznawanej religii muzułmańskiej, która kładzie wielki nacisk na rodzinę, jako podstawową komórkę społeczną. Widziałam w Wielkiej Brytanii wiele nieszczęśliwych rodzin, ofiar rozwodów i separacji. Trudno się zatem dziwić, że jordańska społeczność, albo

przynajmniej jej częśćka, z którą się zetknęłam, sprawiała na mnie wrażenie nieporównanie stabilniejszej. Może dlatego zainteresowałam się naukami Koranu. Jeszcze podczas pobytu w Jordanii przeszłam na islam.

Spędziłam cudowny i szczęśliwy rok z rodziną Karima. Obserwując stosunki między nami, wszyscy spodziewali się prawdopodobnie, że podejmiemy decyzję o zawarciu małżeństwa. Szczególnie Karim oczekiwał tego, mając nadzieję na trwały związek, ja zaś przez chwilę dałam się uwieść wyobrażeniu o życiu wśród spokojnej i szczęśliwej społeczności.

Wkrótce zdałam sobie jednak sprawę, że jestem zbyt młoda, by myśleć o małżeństwie. Miałam zaledwie siedemnaście lat. Posmakowałam wolności i ogromnie ją polubiłam. Czy naprawdę byłam przygotowana, by osiedlić się w obcym kraju i zostać oddaną, nieopuszczającą domu muzułmańską żoną? Macierzyństwo, chociaż nadal pozostawało moją ambicją, musiało trochę poczekać. Czułam, że mam jeszcze do odkrycia cały świat. Potrzebowałam nowych doświadczeń. Próbowałam powiedzieć o moich lękach Karimowi. Wykazywał cierpliwość i zrozumienie, sądził jednak, że po pewnym czasie pozbędę się niepewności. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, kim naprawdę jestem: młodą dziewczyną, która ma apetyt na przygodę.

19

Ostatecznie straciłam nadzieję, że uda mu się spojrzeć na życie z mojego punktu widzenia. Nie miałam innego wyjścia. Z ciężkim sercem postanowiłam położyć kres mojej wiejskiej idylli i powrócić do „realnego świata”. Nie mogłam zdobyć się na to, by powiedzieć moim uroczym gospodarzom, że odwracam się do nich plecami. Dlatego udawałam, że jadę po prostu do Anglii z krótką rodzinną wizytą i niebawem wrócę. Pożegnałam się jednak z nimi ostatecznie. Nie pierwszy raz wówczas salwowałam się ucieczką z trudnej sytuacji. W późniejszych latach, kiedy zetknęłam się z mężczyznami, którzy postępowali dokładnie tak samo ze swoimi partnerkami i dziećmi, znacznie lepiej rozumiałam ich desperację. Nie mogłam jednakże tolerować okrucieństwa wobec własnej rodziny.

Kiedy znalazłam się w Wielkiej Brytanii, zadzwoniłam do Karima. Próbowałam mu wytłumaczyć, dlaczego wyjechałam. Myślał, że potrzebuję więcej czasu. Nie mógł zrozumieć, że w najmniejszym stopniu nie byłam jeszcze gotowa ustatkować się i założyć rodzinę. Nie potrzebowałam paru tygodni ani nawet miesięcy, lecz całego życia, które miałam przed sobą. Dlatego nie mogłam go prosić, by czekał kilka lat, podczas gdy ja będę zdobywała w świecie doświadczenia. Trudno mu było pogodzić się z tym, że nie jest nam sądzone zostać razem. W końcu zdecydowaliśmy się na zerwanie. Nigdy nie zapomnę miłości i życzliwości, które okazali mi Karim i jego rodzina, ani faktu, że to ich styl życia zachęcił mnie do przyjęcia islamu, kierując na drogę, jaką odtąd podążam.

Co ciekawe, kiedy opuściłam dom, moje relacje z mamą uległy poprawie. Może nie radykalnie, gdyż nigdy nie stałyśmy się sobie bliskie, ale chłód, a nawet niechęć, tak wyraźne w czasach mego dzieciństwa, nieco przybladły. Można nawet powiedzieć, że zawarłyśmy przyjacielskie przymierze pomiędzy zwalczającymi się frakcjami. Nigdy nie czułam do niej ciepła, jakie większość dzieci żywi wobec swoich matek. Ona zaś nigdy nie umiała okazać mi troski, o której zawsze skrycie marzyłam. Nasze relacje przypominały raczej stosunki pomiędzy niespecjalnie zżyтыми ze sobą siostrami.



Niedługo po powrocie do Anglii z mojego rocznego pobytu w Jordanii postanowiłyśmy spędzić razem wakacje w Tunezji. Wkrótce po przyjeździe, podobnie jak zdarza się to wielu młodym dziewczynom, nawiązałam szalony wakacyjny romans. Chłopiec miał na imię Ahmad. Nawet teraz nie jestem pewna, co mnie w nim pociągało. Z pewnością nie wyróżniał się urodą, w przeciwieństwie do przystojnego Karima.

20

Był zaledwie o rok starszy ode mnie - a więc jeszcze bardzo młody. Wywodził się z bogatej rodziny: jego ojciec pochodził z Kataru, a matka z rodu zamożnych tunezyjskich właścicieli ziemskich. Jeździł pięknym i drogim niemieckim samochodem. Moja mama była oczywiście pod wrażeniem tego powierzchownego przejawu zamożności. Nigdy nie zaakceptowała Karima, pochodzącego z biednej i skromnej rodziny. Tym razem zachęcała mnie wyraźnie do kontynuowania romansu. Niedługo przed naszym wyjazdem do Anglii, ni z tego, ni z owego, Ahmad poprosił, żebym wyszła za niego za mąż.

Byłam jeszcze niemal dzieckiem. Wciąż miałam w pamięci niefortunnie zakończony romans z Karimem. W tej sytuacji matka powinna była powiedzieć: „Nie żartuj, jesteś na to o wiele za młoda”. Tymczasem była tak podekscytowana, jakby to jej ktoś się oświadczył. Miałam mętlik w głowie i w całym tym zamieszaniu poddałam się bezwolnie biegowi wypadków. Wkrótce wpadłam w wir przygotowań do ślubu. Matka zamówiła na tę uroczystość przesadnie elegancką białą suknię, którą Tracey przywiozła z Anglii. Rodzina Ahmada wydawała się bardzo zadowolona z planowanego małżeństwa. Być może posiadanie ładnej, młodej Angielki za synową podnosiło prestiż. Chwilami odnosiłam wrażenie, że jestem bezradnym obserwatorem rozwoju wypadków. Zawrotne tempo wydarzeń napawało mnie jednak przerażeniem.

Zgodnie ze starym tunezyjskim zwyczajem najpierw urządza się wystawne przyjęcie przedślubne, równie kosztowne jak ucztę weselną w Wielkiej Brytanii, po czym dopiero następuje ceremonia.

Weszłam do ogromnego pokoju, w którym zgromadziło się mnóstwo gości. Część z nich przyleciała z Wielkiej Brytanii, inni z różnych zakątków świata. Wydawało mi się, że śnię. Wokół mnie tłoczyli się nieznajomi ludzie, ściskając mi dłoń i prawiąc komplementy. Rozglądałam się za mamą i Tracey, ale nigdzie nie mogłam ich dostrzec. Kręciło mi się w głowie. W pewnym momencie otworzyły się drzwi. Zobaczyłam, jak do pokoju wchodzi Ahmad. Wyglądał tak młodo i żałośnie.

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie mogę go poślubić. Nie w pełni uświadamiając sobie skutki swojej decyzji, zaczęłam się przeciskać w kierunku drzwi, przyjmując po drodze gratulacje i życzenia szczęścia. Wkrótce dotarłam do wyjścia. Zaczerpnęłam powietrza i wyszłam na zewnątrz. Wiedziałam już, że nigdy tam nie wrócę. Ubrana w strój weselny przywołałam taksówkę. Poleciałam kierowcy, by zawiózł mnie do hotelu w sąsiednim mieście.

Odczekałam kilka godzin w pokoju hotelowym, a następnie zadzwoniłam do matki. Spodziewałam się, że będzie mi robić wymówki, tymczasem

21

okazała pełne zrozumienie i udzieliła mi wsparcia. Uspokajała mnie, a kiedy

oznajmiłam jej, że mój paszport jest w domu Ahmada, od razu przyjęła pragmatyczną postawę. Powiedziała, abym się nie martwiła, ponieważ ma w Tunezji znajomych Palestyńczyków, którzy będą mogli załatwić mi nowy paszport. Byłam zdumiona. Wiedziałam o jej arabskich przyjaciółach, ale nie spodziewałam się, że będzie zdolna wymyślić w obcym kraju taki plan, nie robiąc z tego dramatu. Dzięki temu zdarzeniu dostrzegłam pewną stronę jej charakteru, której istnienia nigdy nie podejrzewałam. W późniejszych latach przekonałam się, że ja również byłam zdolna zachować spokój w niebezpiecznych sytuacjach. Zapewne odziedziczyłam żelazną determinację po mojej matce.

Następnego dnia grupka mężczyzn o nieco podejrzanym wyglądzie przyszła do hotelu. Mama wyjaśniła im, o co chodzi. W ciągu kilku godzin załatwiono mi nowy paszport. Po paru dniach odleciałyśmy do domu. Od tego czasu nigdy nie otrzymałam żadnej wiadomości od Ahmada. Mam tylko nadzieję, że znalazł sobie bardziej odpowiednią żonę.

Moje nieobliczalne, wręcz szalone zachowanie na tym się jednak nie skończyło. Po powrocie do Wielkiej Brytanii nawiązałam kolejny romans z przypadkowo poznanym na stacji benzynowej bogatym Saudyjczykiem, Muhammadem. Zaczęłam myśleć, że muszę wysyłać jakieś ukryte sygnały, przyciągające mężczyzn arabskiego pochodzenia, tak jak jest z dźwiękiem wysokiej częstotliwości, który potrafią usłyszeć jedynie psy. Nie przejmowałam się tym. Byłam młoda, nie miałam żadnych zobowiązań i chciałam się dobrze bawić.

Muhammad należał do ludzi bardzo zamożnych. Był właścicielem luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze budynku Mayfair w ekskluzywnej dzielnicy Londynu i dobrze mnie traktował. Pieniądze nie były moim celem. Mieszkałam z matką w jej domu w Bushey. Moi rodzice w końcu rozwiedli się. Oczywiście, kłóciłyśmy się ze sobą przez cały czas. Pewnego wieczoru zaczęłam skarżyć się Muhammadowi, że bardzo ciężko znoszę atmosferę w domu matki. Wyglądał na zdziwionego i zapytał, dlaczego po prostu się nie wyprowadzę.

- Mam na to małe szansę - roześmiałam się. - Trudno mi nawet uzbierać dwa pensy. To, że nie można czegoś zrobić z powodów finansowych, było dla niego zupełnie niezrozumiałe, kupił mi więc w Bushey dom. Był dla mnie kimś w rodzaju starszego, bogatego przyjaciela. Często chodziliśmy zaszaleć w sklepach na londyńskim West Endzie, gdzie obdarowywał mnie drogą biżuterią, płacąc kartą American Express.

22

Powiedział mi, że jego rodzina w Arabii Saudyjskiej bardzo chciała, by poślubił swoją kuzynkę starszą od niego o piętnaście lat, ale on nie miał ochoty podporządkować się rodowemu zwyczajom. Planował zabrać mnie do swego kraju i przedstawić krewnym. Nie byłam przekonana, czy chciałabym go poślubić, mimo perspektywy życia w luksusie, które z pewnością zapewniłoby mi to małżeństwo, niemniej jednak jego zamiary pochlebiali mi. Ale podróż nigdy nie doszła do skutku. Pewnego dnia powiedział mi, że otrzymał z domu złe wiadomości. Jego matka przeszła atak serca. Musiał natychmiast polecieć do kraju, by się z nią zobaczyć i zająć interesami. To nie były okoliczności odpowiednie dla przedstawienia rodzinie swej wybranki.

Udawałam, że się dąsam, toteż chcąc złagodzić moje rozczarowanie, zaproponował,

abym podczas jego nieobecności nadal robiła zakupy na jego rachunek w American Express. Początkowo byłam wstrzemięźliwa, ale kiedy jego nieobecność się przedłużyła do tygodnia, a on nie dawał żadnego znaku, zaczęłam zachowywać się jak opętana. Kupowałam biżuterię, drogie srebra stołowe, wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Wkrótce odkryłam, że niektórzy właściciele sklepów, pozbawieni wszelkich skrupułów, oferowali mi również duże sumy w gotówce na poczet rachunku, gdy kupowałam większe partie towarów. Zapewne korzystali na tym, robiąc różne przekręty. Zupełnie straciłam nad tym kontrolę.

Pewnego dnia usłyszałam pukanie do drzwi. Przyszło dwóch mężczyzn z American Express. Byłam przerażona, ale udało mi się zachować zimną krew. Podkreślałam, że Muhammad jest moim mężem i mam prawo korzystać z jego konta. Ponieważ dysponowali jedynie numerem apartamentu Muhammada w Mayfair i nie mogli skontaktować się z nim w Arabii Saudyjskiej, nie mieli wyboru i dali wiarę mojej argumentacji. Można by pomyśleć, że to wydarzenie powinno być dla mnie sygnałem ostrzegawczym. Jednak w niczym nie zmieniłam dotychczasowego postępowania. Wkrótce po raz kolejny odwiedziło mnie dwóch mężczyzn w garniturach, informując, że będę musiała odbyć spotkanie z szefem bezpieczeństwa American Express w biurze w centrum Londynu. Nie miałam wyjścia, musiałam tam pójść. Kręciło mi się w głowie i byłam w okropnym stanie. Nie wiedziałam, ile pieniędzy do tej pory wydałam. Z pewnością tysiące funtów. Tylko jeden komplet srebrnych sztućców kosztował czterdzieści pięć tysięcy. To było jak choroba; kupowałam rzeczy, których ani nie chciałam, ani nie potrzebowałam. Nadszedł dla mnie

23

dzień Sądu Ostatecznego. Znalazłabym się w jeszcze większych tarapatkach, gdybym nie stawiała się na wezwanie, ponieważ na pewno miałabym wówczas do czynienia z policją. Mogłam być oskarżona o kradzież, oszustwa lub zdobywanie towarów nieuczciwym sposobem. Mój Boże, pomyślałam, mogę pójść do więzienia. Udając się na spotkanie, dołożyłam starań, by elegancko wyglądać. Zostałam wprowadzona do pokoju i usiadłam. Szef bezpieczeństwa nie usiłował nawet wdawać się ze mną w rozmowę. Leżały przed nim papiery, wyciągi z konta, godziny oraz daty transakcji... wszystko widoczne czarno na białym, toteż nie miałam możliwości się wykręcić. Postanowiłam powiedzieć prawdę albo możliwie najbardziej się do niej zbliżyć. Oświadczyłam, że mężczyzna, z którego karty korzystałam, dał mi do zrozumienia, iż ożeni się ze mną, ale pewnego dnia musiał nagle wyjechać i zniknął w Arabii Saudyjskiej, udzielając mi zezwolenia na posługiwanie się jego kartą płatniczą, co było zgodne z prawdą. Dodałam, że czułam się tą sytuacją przygnębiona, więc rzuciłam się w wir zakupów, by dodać sobie otuchy, co można określić jako rodzaj bulimii na zakupy. Zalałam się łzami i niczego nie udawałam. Szef bezpieczeństwa wysłuchał mnie i oświadczył:

- Musimy położyć temu kres. Niech pani odda kartę i nie robi więcej żadnych zakupów, a my nie wniesiemy oskarżenia. Jeżeli zapisała pani gdzieś numer karty, proszę nawet nie myśleć o tym, by się nim posłużyć. Daję pani ostatnie ostrzeżenie. Wyjęłam kartę z torebki, on ją zabrał, po czym wstał i wyszedł bez pożegnania. Wieczorem zadzwoniłam do mojego niczego nieświadomego dobroczyńcy.

- Słuchaj - powiedziałam. - Wpakowałam się w kłopoty z powodu twojej karty

American Express.

- Nic nie szkodzi - stwierdził i roześmiał się. - O jakiej sumie mówimy?

Wciągnęłam w płuca powietrze i powiedziałam:

- Myślę, że mniej więcej o siedmiuset pięćdziesięciu tysiącach funtów.

Nastąpiła długa cisza, po czym odłożył słuchawkę. Nigdy już nie skontaktował się ze mną, ale przynajmniej policja więcej mnie nie wzywała. Udało mi się o włos uniknąć nieszczęścia.

## UCZĘ SIĘ LATAĆ

Po tym pożegnalnym telefonie sprzedałam dom w Bushey i przeniosłam się do Maida Vale w północno-zachodnim Londynie. Wynajęłam eleganckie mieszkanie w jednym z domów w prestiżowej dzielnicy. Życie wydawało mi się wspaniałe. Byłam młoda, nie miałam zobowiązań i cieszyłam się finansową niezależnością. Uwielbiałam spędzać wolny czas w ciepłych krajach. Pod koniec 1989 roku miałam dwadzieścia cztery lata i wciąż wyglądałam atrakcyjnie. Pojechałam odpocząć na Cypr, aby zaczerpnąć w zimie nieco słońca. Jak się wkrótce okazało, mój magnes na mężczyzn nadal działał. Zakochał się we mnie uroczy mężczyzna imieniem Theo. Spotkaliśmy się w hotelu pierwszego dnia po moim przyjeździe. Wkrótce rozkwitł między nami wielki wakacyjny romans. Theo był miły, taktowny i zamożny. Pochodził z mieszanej rodziny cypryjsko--saudyjskiej. Z całą pewnością powtarza się pewien schemat - pomyślałam w duchu z kpiarskim uśmiechem. Nie chodziło o to, że pociągali mnie mężczyźni z pieniędzmi - z pewnością nie, jeżeli weźmie się pod uwagę mężczyznę, którego zdecydowałam się później poślubić, Mah-muda, człowieka o skromnych dochodach, pracującego jako kelner - to ja wydawałam się przyciągać ich do siebie. Była to cudowna wakacyjna przygoda i nikogo nie zraniła. Poznałam nawet matkę mego ukochanego - krępą, twardo stąpającą po ziemi Cy-pryjkę, Florę, którą od razu polubiłam. Gdy wakacje zbliżały się ku końcowi, sądziłam, że romans też się skończy. Nie liczyłam na trwałość uczucia Theo. Kiedy jednak wróciłam do Londynu, codziennie do mnie dzwonił. Mówił, jak bardzo za mną tęskni i pytał, czy znów przyjadę. Rozmawialiśmy tak ze sobą przez wiele tygodni. W tym czasie kilka razy go odwiedziłam. Właściwie to on zdecydował, że jestem odpowiednim

25

materiałem na żonę, choć ja nie byłam tego taka pewna. Miałam za sobą wiele skomplikowanych sytuacji, z których cudem udawało mi się wyjść cało, toteż chciałam mieć niezbitą pewność, że tym razem podejmuję słuszne zobowiązanie wobec mężczyzny. Postrzegałam siebie jako dziewczynę, która - jeżeli miała wyjść za mąż, to za właściwego człowieka.

Sprawy przybrały jednak inny obrót. W lecie 1990 roku pojechałam do niego ponownie i zaszłam w ciążę. Theo był uszczęśliwiony, ja również. Jak pisałam wcześniej, moim marzeniem było zostać matką. To pragnienie miało teraz się spełnić. Nie miałam żadnych wątpliwości, czy urodzić dziecko, chociaż wiele kobiet w Wielkiej Brytanii mogłoby dokonać innego wyboru. Powód mojej decyzji był oczywisty - islam nie pozwala na usuwanie ciąży, nawet w wypadku gwałtu, ponieważ każde życie jest święte, a byłam praktykującą muzułmanką. Co ważniejsze, pragnęłam tego dziecka. Czułam się spełniona i zadowolona. Myśl o stałym zamieszkaniu na tej spokojnej wyspie, gdzie przez cały rok świeci słońce, z miłym i

hojnym mężem, sprawiała, że miałam wrażenie, jakbym znalazła się w raju na ziemi. Mieliliśmy wziąć ślub cywilny w Pafos, jednym z największych miast na wyspie. Moja matka przyjechała na uroczystość, ale nie zjednała sobie sympatii przyszłych teściów. Zawarła znajomość z grupą młodych Arabów i każdej nocy bardzo późno wracała do domu z nocnych klubów. Po ślubie, kiedy matka wróciła do Wielkiej Brytanii, wpadłam w panikę. Nie miałam nic do roboty na wyspie, a wszystkie moje potrzeby materialne były hojnie zaspokajane. Zatrudniono nawet służącą Annę ze Sri Lanki, której zadanie polegało na dotrzymywaniu mi towarzystwa. Czułam, że zacznę odchodzić od zmysłów.

Nie znałam nikogo i gdy Theo był w pracy całe dni spędzałam z Anną. Nie miałam żadnego zajęcia. Nie wystarczało piękno samej wyspy. Odnosiłam wrażenie, że znalazłam się w pułapce. Więzienie, w którym są piękne ogrody, nadal pozostaje więzieniem. Zaczęłam tracić głowę. Znowu wpadłam w potrzask. Pojawiły się myśli o ucieczce. W moim brzuchu rosło dziecko. Jeżeli wkrótce nie podjęłabym decyzji o wyjeździe, nie mogłabym odbyć podróży samolotem. Jest ona bowiem niewskazana dla kobiet w zaawansowanej ciąży. Zdawałam sobie też sprawę, że byłoby mi dużo trudniej zdecydować się na wyjazd z nowo narodzonym dzieckiem. Musiałam działać.

Zwierzyłam się Annie ze swoich planów. Powiedziałam jej, że może pojechać ze mną do Wielkiej Brytanii, ale będzie musiała mi pomóc wy-

26

dostać się z wyspy. Wszystko należało drobiazgowo zaplanować. Zamówiłam firmę zajmującą się organizowaniem przeprowadzek. Pakowanie bagaży przewidziałam w godzinach, kiedy Theo był w pracy. Pracownicy firmy mieli zatem dość czasu, by zabrać mój dobytek z domu i wysłać go drogą morską do Anglii. Następnie miałyśmy się udać z Anną wprost na lotnisko i odlecieć popołudniowym rejsem do Wielkiej Brytanii, zanim Theo zda sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Stłumiłam w sobie poczucie winy wobec niego. Później miałam mnóstwo czasu, żeby rozważyć moje decyzje.

Przyjechałyśmy na lotnisko i weszłyśmy na pokład samolotu. Kiedy wzbił się w powietrze, spojrzałam w dół na wyspę, która mogłaby stać się moim domem.

Wydawała się teraz obca i odległa. Pozostała dla mnie jedynie wspomnieniem miłych wakacji, a nie miejscem, gdzie miałam spędzić resztę życia.

Powrót do Londynu był dla mnie czymś naturalnym. Dzięki Bogu nadal miałam mieszkanie na Maida Vale, gdzie ulokowałyśmy się razem z Anną. Theo oczywiście dzwonił, ale wybuch wściekłości, którego się spodziewałam, nigdy nie nastąpił. Był cierpliwy i wykazywał wrażliwość, mówiąc, że potrafi zrozumieć moje obawy.

Podkreślał jednak, że spanikowałam, nie dając szansy losowi. Wysłuchiwał moich argumentów, jednego po drugim, po czym je kolejno podważał. Tłumaczył, że nie czułabym się samotna, gdyż nie byłam jedyną Brytyjką na wyspie - mieszkała tam duża kolonia angielskich ekspatriantów, z którymi mogłabym utrzymywać kontakty towarzyskie, a z czasem nawet się zaprzyjaźnić. A kiedy nasze dziecko zaczęłoby chodzić do szkoły, spotkałabym inne matki. Jego argumenty były tym bardziej przekonujące, że przedstawił mi je w niezwykle delikatnej formie.

Kilka tygodni później urodziłam moje pierwsze dziecko, pięknego chłopca o

czarnych włosach i ciemnych oczach. Nazwałam go Marlon. Przez kolejne miesiące Theo wciąż do mnie dzwonił i przekonał mnie wreszcie, żebym przyjechała do niego z Marlonem w odwiedziny. Był tak wielkoduszny i szczęśliwy, gdy zobaczył swego syna, że znów poczułam się dezorientowana. Ilekroć odwiedzałam wyspę, nie wywierał na mnie presji, bym została i nie robił scen, gdy mówiłam, że wracam do Wielkiej Brytanii. Zgadzał się na wszystko z tak charakterystycznym dla siebie spokojem i godnością. Stopniowo nasze pobyty na wyspie stawały się coraz dłuższe, a wyjazdy do Londynu rzadsze. Kiedy Marlon miał trzy lata, zgodziłam się na zapisanie go do przedszkola na Cyprze. Po raz kolejny akceptowałam status quo.

27

W pewnym momencie, zupełnie niespodziewanie, znów zaczęły mnie dręczyć wątpliwości. Dostrzegłam, że lata mijają, a moje życie wygląda, jakbym została przykuta łańcuchem do tej skalistej wyspy na Morzu Śródziemnym. Więzi, które mnie z nią łączyły, stawały się bowiem coraz silniejsze. Uświadamiałam sobie, że mój syn podejmie w szkole naukę języka greckiego, a ja będę zmuszona przeżywać kolejne lata w poczuciu niespełnienia i samotności. Z czasem stałabym się podobna do kobiet z okolicznych wiosek, których zainteresowania ograniczają się do postawienia na stole smacznego posiłku. Wciąż nie mogłam się z tym pogodzić. Po raz drugi zaplanowałam ucieczkę. Również i tym razem Anna miała polecieć ze mną do Londynu. Kupiłam bilety na samolot i zamówiłam taksówkę na lotnisko. Kierowca zaparkował przy przedszkolu. Wyjaśniłyśmy wychowawczynie, że Marlon ma wizytę u lekarza i wsiedliśmy do taksówki. Jeszcze tego wieczoru cała nasza trójka rozgościła się na Maida Vale. Tym razem moja decyzja nie spotkała się z akceptacją Theo. Przyleciał następnym samolotem i pojawił się w moim mieszkaniu. Był wściekły i awanturował się, zarzucając mi, że jestem najbardziej okrutną i samolubną osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie winiłam go. Na jego miejscu czułabym dokładnie to samo.

Kiedy zobaczył Marlona, jego złość przerodziła się w smutek. Przytulił synka i zaczął szlochać. W końcu uniósł wzrok w górę i spojrzał na mnie.

- Donya - powiedział - nie mogę cię zmusić, żebyś robiła coś wbrew swojej woli, ale musisz zrozumieć, że straciłem nie tylko żonę, ale również syna.

Jest to trudne i bolesne przeżycie dla każdego mężczyzny, a szczególnie dla Araba. W ciągu następnych lat często myślałam o Theo, kiedy pomagałam matkom uwolnić porwane przez ojca dziecko. Dzięki niemu zrozumiałam sposób myślenia tego typu mężczyzn. Ja postąpiłam tak samo, nie potrafiąc i nie chcąc żyć w obcej kulturze. Dlatego nigdy nie potępię pochopnie mężczyzny za to, co zrobił - znałam aż nazbyt dobrze desperację i strach, które prowadzą do podejmowania tak dramatycznych działań. Jednak, z wyjątkiem bardzo rzadkich wypadków, zawsze będę bronić mojego mocnego przekonania, że dziecka nie należy rozdzielać z matką. Najlepszym rozwiązaniem jest, oczywiście, zapewnienie dziecku opieki obojga rodziców. Z tego powodu nigdy nie usiłowałam uniemożliwić Theo kontaktów z synem. Udało mu się zaakceptować tę sy-

28

tuację i pozostał moim bliskim przyjacielem. Po dziś dzień często rozmawiamy ze

sobą przez telefon.

W lecie 1994 roku miałam dwadzieścia dziewięć lat. Ambicja z dzieciństwa, by zostać matką, spełniła się, chociaż nie stało się to dokładnie tak, jak w moich dziewczęcych marzeniach. Anna, Marlon i ja mieszkaliśmy wspólnie na Maida Vale. Mimo wcześniejszych traumatycznych doświadczeń - wiele z nich przeżyłam na własne życzenie - nie było to złe życie.

Pewnej soboty odwiedziła mnie Tracey. Postanowiłyśmy zamówić coś z karty „na wynos” w znanej mi libańskiej restauracji Marusz, położonej przy Edgware Road w Londynie. Niektórzy nazywali tę ulicę Małym Bejrutem ze względu na usytuowane tam bliskowschodnie restauracje i bary kawowe, gdzie przez całe noce i dni przesiadywali mężczyźni w podeszłym wieku, zaciągając się dymem z fajek wodnych. Zamówiłyśmy moje ulubione danie, zwane bamią, które przyrządza się z nasion ketmii jadalnej. Moja siostra poszła je odebrać. Kiedy jednak otworzyłyśmy pojemniki, zorientowałyśmy się, że dostałyśmy inną potrawę.

Zadzwoiłam do restauracji, ale mężczyzna, który odebrał telefon, nie potraktował mnie poważnie. Zirykowałam się i poprosiłam o rozmowę z menedżerem. Kiedy podszedł do telefonu, powiedziałam mu stanowczym tonem, że zamówienie zostało niewłaściwie zrealizowane. Żądałam przysłania kogoś z personelu, by rozwiązał ten problem. Podałam mu adres i odłożyłam słuchawkę. Po dwudziestu minutach rozległ się dzwonek do drzwi. Okazało się, że posłaniec z restauracji był moim pierwszym rozmówcą, któremu zgłosiłam reklamację.

- Musiałem zobaczyć panią, z którą rozmawiałem przez telefon - powiedział z uśmiechem.

Nie byłam w nastroju do żartów, toteż poleciłam mu, żeby zaniósł jedzenie do kuchni. Przyznaję jednak, że na swój szelmowski sposób wydawał mi się atrakcyjny. Miał szczupłą budowę ciała, figlarne oczy i zawadiacki uśmiech. Podziękowałam mu i po chwili wyszedł.

Następnego wieczoru, trochę z lenistwa, postanowiłyśmy ponownie skorzystać z gotowych dań. Tego dnia restauracja Marusz nie dostarczała zamówionych potraw do domu, więc mężczyzna, który przyjmował zamówienie, powiedział mi, żebym przyszła po jedzenie za pół godziny. Piętnaście minut później rozległ się dzwonek. Otworzyłam drzwi i oto znów stał przede mną posłaniec z papierową torbą pełną parujących,

29

smakowicie pachnących potraw. Czy prowadził ze mną jakąś grę? Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Zapytał o moje imię, a ja odparłam, że nie mam zwyczaju podawać swego imienia dostawcom. Słyszając te słowa, obdarzył mnie zawadiackim uśmiechem, wyciągnął rękę i przedstawił się.

Zmiękłam i odpowiedziałam:

- Cześć, Mahmud. Mam na imię Donya.

Pozostał jeszcze kilka minut, najwyraźniej nie mając ochoty wychodzić, aż musiałam mu delikatnie przypomnieć, że czas zakończyć wizytę:

- Cóż, Mahmudzie, było mi bardzo miło cię poznać, ale obawiam się, że moje jedzenie całkiem wystygnie.

Uśmiechnął się ponownie i stwierdził, że jeszcze do mnie wpadnie, po czym zniknął

w mroku wieczoru.

Kilka dni później, kiedy wróciłam z Marlonem do domu po zakupach i stojąc jeszcze w przedpokoju, głośno witałam Tracey, która mieszkała u mnie od kilku dni, usłyszałam głosy dobiegające z pokoju położonego od frontu. Zajrzałam tam i nie mogłam uwierzyć własnym oczom - Mahmud siedział i rozmawiał z moją siostrą. Zerwał się na równe nogi, by przywitać się ze mną. Czułam się trochę zakłopotana, nie wiedząc, co tu robi, ale próbowałam nie pokazywać tego po sobie. Przedstawiłam go Marlonowi, który w czasie jego dwóch poprzednich wizyt leżał już w łóżku. Mahmud pochylił się nad nim, uściśnął jego dłoń z udawaną powagą i powiedział:

- Cześć, mały mężczyzno. Jak się masz?

Mahmud wywarł na Marlonie pozytywne wrażenie, toteż chłopiec zareagował z sympatią na zachowanie gościa. Jako samotnej matce zrobiło mi się przyjemnie, gdy zobaczyłam syna w towarzystwie dorosłego mężczyzny, szczególnie że dziecko odczuwało brak ojca. Mahmud tymczasem prowadził zręczną grę. Każda kobieta, która ma dzieci, stawia je na pierwszym miejscu, zatem droga do jej serca prowadzi przez zaskarbienie sobie sympatii jej potomstwa. Faktycznie między Marlonem a Mah-mudem istniała zawsze bardzo silna więź i do dzisiaj nazywa go tatą.

Wysłałam syna do kuchni razem z Tracey, żeby wziął sobie szklankę mleka, po czym zwracając się do Mahmuda, zapytałam:

- Co robisz w moim mieszkaniu? Uśmiechnął się i powiedział:

- Chciałem znów cię zobaczyć, Donya. Zastanawiałem się, czy pewnego dnia nie miałabyś ochoty pójść ze mną na lunch?

30

Byłam pełna podziwu dla jego odwagi.

Umówiliśmy się nazajutrz. Pochlebiali mi, że znów zwróciłam na siebie uwagę mężczyzny. Czas przy wspólnym posiłku upłynął wspaniale. W ciągu kilku kolejnych tygodni zaczęliśmy się widywać coraz częściej. Wychodziliśmy razem coś zjeść, pospacerować w parku, robiliśmy zakupy na West Endzie. Zawsze, kiedy przychodził do mnie do domu, zachowywał się bardzo poprawnie w stosunku do Marlona, który wydawał się cieszyć z obecności mężczyzny w naszym gronie.

Wkrótce spotkania z Mahmudem przekształciły się w romans. Powoli zdawałam sobie sprawę, że ten mężczyzna zaczął dla mnie znaczyć bardzo wiele. Odrzuciłam dwóch niezwykle bogatych partnerów, a tymczasem zakochałam się w kelnerze z restauracji na Edgware Road. Potwierdza to jedynie mądrość starego przysłowia, że miłość jest ślepa. Ślepa, pomyślałam z uśmiechem, a na dodatek niemądra.

Widywaliśmy się zaledwie od kilku miesięcy, kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia.

Postanowiliśmy się pobrać i ustaliliśmy datę. Uroczystość odbyła się w Urzędzie Stanu Cywilnego Marylebone, gdzie brało ślub wiele znanych osób. Najślawniejszą parą byli Paul McCartney i Linda Eastman, którzy pobrali się tam 12 marca 1969 roku. Zatłoczoną zazwyczaj Marylebone Road wypełniły wówczas setki płaczących dziewczyn, osamotnionych i niepokieszonych na myśl, że utraciły na zawsze swoją wielką miłość.

W październiku 1995 roku, niespełna tydzień przed moimi trzydziestymi urodzinami, wydałam na świat pięknego chłopca o blond włosach i zielonych oczach.



Nazwaliśmy go Chalid, co po arabsku oznacza „nieśmiertelny”. Niestety, rzeczywistość okazała się inna. Syn był słabowity i często chorował. Cierpiał zwłaszcza na skomplikowane problemy żołądkowe, co sprawiało, że przez całe lata wielokrotnie odwiedzaliśmy z nim szpitale. Być może zetknięcie się ze światem medycznym ukształtowało jego obecne ambicje - chce zostać lekarzem.

Moje dotychczasowe lokum okazało się dla nas wszystkich za małe, toteż przenieśliśmy się do Mahmuda. Nie znosiłam tego mieszkania. Mieściło się w wieżowcu w Southall, w odległej od centrum Londynu dzielnicy, niedaleko lotniska Heathrow. Mieszkało tam wielu imigrantów. Byłam przyzwyczajona do życia w centrum, gdzie miałam West End i Hyde Park tuż za progiem. Teraz kupowałam artykuły spożywcze na dosyć nędznym ulicznym targu, mając za sąsiadów ludzi z zupełnie innych warstw społecznych niż te, do których byłam przyzwyczajona.

Muszę

31

z zakłopotaniem stwierdzić, że okazałam się wówczas snobką, chociaż sama nie pochodziłam z arystokratycznej rodziny.

Kolejnym problemem był fakt, że mieszkanie umeblowała pierwsza żona Mahmuda, której gust znacznie różnił się od mojego. Na podłogach leżały różowe włochate dywany, a meble były pokryte skajem. (Nie będę im pochlebiać, używając określenia „imitacja skóry”). W porównaniu z poprzednimi lokatorami tego mieszkania Rodney i Del Boy Trot-ter mieli dobry gust. Nazajutrz, kiedy Mahmud był w pracy, natychmiast zwinęłam dywany. Wynajęłam ciężarówkę, żeby wywiozła je wraz z odrażającymi meblami na śmietnik. Zamówiłam nowy dywanik, odpowiednio dobrany i dopasowany do rozmiarów pokoju oraz część mebli. Wyraziłam też życzenie, by przywieziono je tego samego dnia. Kiedy Mahmud przyszedł z pracy, wyraz jego twarzy był komiczny. Wyglądał, jakby pomylił adres mieszkania. Zawsze uważałam, że dużo łatwiej jest uzyskać wybaczenie niż pozwolenie, a ponadto, jeżeli nie podjęłabym pewnych działań, prawdopodobnie mieszkalibyśmy w tym okropnym miejscu do dziś. Jednak, mimo przemeblowania, nigdy tego mieszkania nie polubiłam. Udało nam się zaoszczędzić pewną sumę pieniędzy i kupiliśmy mieszkanie w moim ulubionym miejscu Londynu, w Maida Vale. Czułam, jakbym wróciła do dawnego domu.

MOJA PIERWSZA MISJA

Przez kilka kolejnych lat wiedliśmy spokojne życie w domowym zaciszu. Po naszym pierwszym synu, Chalidzie, urodziła się córeczka Amira, a w 1998 roku chłopiec Allawi, czyli Alla, jak od razu zaczęliśmy go nazywać. Nadal mieszkaliśmy w Maida Vale, ja zaś, mniej lub bardziej szczęśliwie, spełniałam się w roli matki. Uwielbiałam moje dzieci: rozsądnego i wrażliwego Marlona, pełniącego funkcję małego mężczyzny w rodzinie; słabowitego, drobnego Chalida o słomianych włosach, nietypowych dla osoby mającej w żyłach arabską krew; moją małą księżniczkę Amirę, tak pełną życia i dociekliwą, z głową w lokach, którymi potrzasała, śmiejąc się radośnie, kiedy byliśmy pochłonięci jedną z naszych zabawnych gier; i maleńkiego Allawiego. Czułam się szczerze obdarowana i pobłogosławiona.

Z energią i entuzjazmem zaangażowałam się w macierzyństwo. Odprowadzałam dzieci do szkoły, odbierałam je, spacerowałam z nimi po parku, gdzie spędziliśmy

niezwykle całe popołudnia. Pod wieloma względami byłam podobna do innych matek, gromadzących się przy szkolnej bramie, ubranych w burki, czadory oraz hidżaby\* i trajkoczących po arabsku. Jedyna różnica polegała na tym, że nie byłam Arabką, a dziedzictwo mojej kultury i zachodniego stylu wychowania zawsze mi

\*Burka (tur.) - wierzchnie okrycie z sukna z wełny wielbłądziej, krojem zbliżone do peleryny, noszone na Wschodzie. Czador (pers.) - czarne długie okrycie zasłaniające również twarz, noszone przez kobiety w Iranie. Hidżab (arab.) - zasłona, tradycyjny element stroju kobiety muzułmańskiej. W islamie kobiety powinny nosić w obecności obcych ludzi zasłonę na twarzy. W czasach współczesnych hidżab stał się oznaką fundamentalistycznej orientacji religijnej. (Wszystkie przypisy tłumacza).

33

przypominało, iż powinnam domagać się czegoś więcej od życia. Nie można powiedzieć, że czułam się nieszczęśliwa - byłoby to dalekie od prawdy. Miałam czworo wspaniałych dzieci, kochającego męża i piękne mieszkanie, w którym zrobiłam wszystko, co możliwe, by było przytulne i wygodne.

Odnosiłam jednak wrażenie, że słyszę cichy, ale uporczywy głos, tak jakby ktoś od czasu do czasu lekko szarpał mnie za rękaw, mówiąc: „Do-nya, mogłabyś robić coś więcej”. Było to mgliste, nieokreślone uczucie, niemniej nie czułam się do końca usatysfakcjonowana. Wydawało mi się, że zostałam powołana na świat, by czegoś dokonać. Instynktownie wiedziałam, że jeżeli nie pomyślę o tym teraz, mając blisko trzydzieści pięć lat, życie przejdzie obok mnie. Podobnie jak wiele niepracujących matek ignorowałam jednak ów wewnętrzny głos i skupiałam się na moich obowiązkach wobec męża oraz dzieci. Zapewne powinnam się cieszyć swoim szczęściem. Tłumaczyłam sobie, że tak wiele kobiet miało go mniej ode mnie - na przykład wyszły za mąż za agresywnych mężczyzn albo chciałyby mieć dzieci, ale nie mogą zająć w ciążę.

I wówczas spotkałam Mary.

Pewnego dnia zabrałam dzieci na zakupy do Queensway, jednego z moich ulubionych miejsc w Londynie. Człowieka ogarnia tam wrażenie, jakby znalazł się nagle na Bliskim Wschodzie. Jasno oświetlone sklepy otwarte są dzień i noc. Stoiska na zewnątrz, gdzie oferują artykuły spożywcze, uginają się pod ciężarem egzotycznych owoców i warzyw; z wielu arabskich restauracji unoszą się cudowne zapachy pikantnych mięs... Stałam na przystanku autobusowym z torbami pełnymi zakupów. Moje dzieci, zmęczone długim oczekiwaniem, zaczęły marudzić i domagać się herbaty. Chciały jak najszybciej wrócić do domu. Kiedy zmagalam się z torbami, równocześnie manewrując dziećmi, zauważyłam stojącą obok kobietę, która musiała widzieć rysującą się na mojej twarzy irytację. Jak wiele innych kobiet w tym rejonie, była również brytyjską muzułmanką, ale ubraną bardzo bezbarwnie. Wyglądała na sponiewieraną życiem, co od razu wzbudziło moje współczucie. Wzięłam jej spojrzenie za wyraz sympatii jednej matki do drugiej.

- Potrafią być nie lada urwisami, nieprawdaż? - powiedziałam żartobliwie.

Potwierdzająco skinęła głową, ale nie odezwała się ani słowem.

- Czy masz dzieci? - zapytałam.

34

Odpowiedziała, że ma małą, sześciolletnią córeczkę. Zainteresowałam się, gdzie teraz

jest. Był to normalny szkolny dzień, toteż wydawało si czymś niecodziennym, że córka jej nie towarzyszyła. Ja nie mogłam pójś nawet do najbliższego sklepu za rogiem bez przedsięwzięcia quasi -wojskowej operacji, zmagając się z wózkami spacerowymi, płaszczam: czapkami, rękawiczkami i mnóstwem innych rzeczy. Być może, gdzie w środku, byłam trochę zazdrosna o jej wolność. Ku mojemu przerażeniu zauważyłam, że oczy kobiety wypełniły się łzami.

- Jest w Libii - zdołała wykrztusić. - Ojciec zabrał ją tam sześć mk sięcy temu. Ogarnęło mnie straszne uczucie. Łatwo mogłam się domyślić prze biegu tej historii. Chociaż nie przydarzyło się to nikomu w kręgu moic znajomych, mieszkając wśród mieszanej społeczności brytyjsko-muzu mańskiej, słyszałam o podobnych wypadkach. Dziękowałam zatem Bc gu, że nie spotkało to kogoś, kto był mi bliski.

- Czy udaje ci się niekiedy z nią porozmawiać? - zapytałam najdel katniej, jak potrafiłam.

Załamala się i zaczęła szlochać. Powiedziała, że od pół roku nie ro: mawiała z córką, chociaż często dzwoniła, błagając o możliwość usłł szenia, choćby przez chwilę, głosu małej córeczki. Zupełnie mnie to z; szokowało. Byłam otoczona moimi dziećmi i sama myśl, że nie mogłabyj ich dotykać, całować, odprowadzać i przyprowadzać ze szkoły, a wi czorem otulać w łóżku kołderką, wydawała się niezrozumiała. Fakt uni możliwiania matce telefonicznej rozmowy z córką wydawał się być k rygodny i okrutny. Była to absolutna niegodziwość.

W tym momencie przyjechał nasz autobus. Miałam pełne ręce robi ty, usiłując przeprowadzić moje małe stadko przez ruchliwe przejście mi dzy siedzeniami, próbując jednocześnie wnieść do autobusu wózek. Ki dy obejrzałam się za siebie, kobieta zniknęła, roztapiając się w tłumie.

Nasze przypadkowe spotkanie wywarło jednak na mnie głębokie wr żenie. Czym innym jest czytać o takim zdarzeniu w gazecie, słyszeć o ni z trzeciej czy czwartej ręki albo też spotkać dotkniętą nieszczęściem ni znajomą osobę na peryferiach społeczności, w której żyjesz, a czym i nym zetknąć się z nim niespodziewanie, w zwyczajnym, codziennym ot czeniu. Przeżyłam prawdziwy szok, gdy zauważyłam na jej twarzy ślai głębokiego bólu i smutku.

Tego wieczora podzieliłam się refleksjami o problemie spotkanej k biety z Mahmudem. Jak zawsze był delikatny i wyrozumiały, ale nie mc zrozumieć, dlaczego tak mnie to poruszyło.

- Donya - powiedział - różne rzeczy zdarzają się wokół nas. Świat bywa zły. Z jakiego powodu tak się tym martwisz?

To było dobre pytanie. Wielokrotnie przecież zdarzało mi się oglądać zdjęcia potwornych kraks samochodowych, kiedy ginęły dzieci, a kierowcy uciekali z miejsca wypadku. Właściwie nie poruszało mnie to osobiście. Oglądanie podobnych scen jest oczywiście smutne. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby zdać sobie sprawę z cierpienia, jakie muszą przeżywać te odległe, dla mnie pozbawione imion i twarzy, rodziny, ale - niezależnie od tych wszystkich zdarzeń - nasze życie po prostu toczy się dalej. To przypadkowe spotkanie dotknęło mnie w znacznie bardziej osobisty sposób. Miałam wrażenie, że dramat tej obcej kobiety był czymś, co mogłabym dzielić lub próbować rozwiązać.

Patrząc wstecz, sądzę, że znalazłoby się po temu parę przyczyn. Po pierwsze,

podobnie jak ja, była brytyjską muzułmanką, kobietą, która została wychowana według zasad liberalizmu, zgodnie z zachodnimi wartościami, ale zdecydowała się poślubić muzułmanina. Oba te światy są krańcowo odmienne. Ja byłam bardziej wyczulona niż inni, lepiej rozumiałam cierpienie, kiedy napięcie pomiędzy dwojgiem ludzi pochodzących z różnych kultur stawało się zbyt wielkie i ich świat niemal rozpadał się na kawałki. Nagle zdałam sobie sprawę z kosztów, jakie w takim wypadku ponosi ludzka istota, i dogłębnie to mną wstrząsnęło. Zawsze myślałam o analogicznych sytuacjach w bardzo abstrakcyjny sposób, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się nad nimi zastanawiałam. Teraz zostałam zmuszona, żeby pomyśleć, co to faktycznie oznaczało: matkę przedwcześnie postarzałą, wycieńczoną i udręczoną przez okrutny cios, który los jej zadał; małą dziewczynkę niespodziewanie wyrwaną ze szkoły, wywiezioną z dala od domu, przyjaciół i życia w ruchliwym, kosmopolitycznym Londynie, zmuszoną zaczynać wszystko od nowa w wiosce, gdzie mieszkańcy mówią innym językiem, bez mamy, która mogłaby ją pocieszyć i przytulić.

Prawdopodobnie tkwiło też we mnie poczucie winy z powodu krzywdy, jaką wyrządziłam ojcu Marlona, Theo. Czy tak bardzo różniło się to od postępowania męża spotkanej przeze mnie biednej kobiety, postępowania, które uważałam za odrażające? Tego rodzaju sytuacje potwierdzały jednak moje niezachwiane przekonanie, że dziecko nie powinno nigdy zostać rozdzielone z matką.

Kolejnej przyczyny mojego poruszenia można by doszukiwać się w tym, że poślubiłam muzułmanina pochodzącego z innej części świata. Mahmud był zawsze łagodnym, miłym i taktownym mężem oraz ojcem. Sądzę jednak, że ta spotkana przypadkowo przeze mnie kobieta mogła-

36

by powiedzieć to samo o swoim mężu. A jednak porwał jej córkę i wywiózł do Libii. Kto byłby w stanie zaręczyć, że mój mąż nie zrobiłby czegoś podobnego?

Wielu arabskich mężczyzn przyjeżdżających do Londynu zostaje początkowo uwiedzionych przez liberalizm panujący na Zachodzie. Pochodzą z kultury, w której kobiety się zakrywają i trzymają z dala od towarzystwa mężczyzn, aż do czasu zawarcia małżeństwa. Nie tylko sprawa uprawiania przedmałżeńskiego seksu nie podlega dyskusji, ale nawet utrzymywanie kontaktów towarzyskich z równolatkami stanowi w zasadzie tabu. Kiedy Arabowie znajdują się nagle w kosmopolitycznym społeczeństwie Londynu, swoboda obyczajowa może się dla nich okazać ekscytującą i odurzającą miksturą. Tutejsze kobiety wydają im się „wyzwolone”, wcześniej dojrzałe seksualnie i wyrafinowane. Spacerując ulicami miasta, można zobaczyć więcej ciał niż na targu zwierząt ubitych zgodnie z rytuałem muzułmańskim w ich ojczystych krajach. Dziewczęta noszą minispódniczki z krótkimi bluzeczkami do talii, które odsłaniają ich brzuchy i ozdobione kolczykami pępki. Zwykle są inicjatorkami zawierania nowych znajomości i ci, którzy tego chcą, mogą z łatwością nawiązać kontakty seksualne. Po restrykcjach obowiązujących na Wschodzie musi to być dla przybyszów stamtąd nieprawdopodobnie kuszące.

Jednak w miarę upływu czasu zaczynają postrzegać te pokusy jako bardzo płytkie i bez znaczenia. Dla wielu spośród tych mężczyzn, szczególnie gdy mają córki, wartości cenione na Zachodzie wydają się zgubne. Martwią się, że ich dzieci kiedyś

dorosną i przejmą pewne swobodne, niemoralne zachowania, szeroko tu rozpowszechnione.

Powyższe dylematy i przykład tych jakoby niemoralnych postaw obrazuje postać Becki Seddiki, jednej z uczestniczek programu Big Brother, emitowanego przez Chanel 4. Dziewczyna urodziła się w Maroku, ale została wychowana w Wielkiej Brytanii. Jej wyczyny w domu Big Bro-thera polegały m.in. na ssaniu palca u nogi, popisywaniu się swoimi powiększonymi chirurgicznie piersiami, zlizywaniu dżemu z piersi innej uczestniczki programu, udawaniu seksu oralnego za pomocą ogórka. Było to zwariowane zachowanie, niewyróżniające się niczym szczególnym w oczach osób pochodzących z europejskiego kręgu kulturowego, gdzie nie odrzuca się przyjemnego podniecenia i zalotności. Wielka Brytania jest w końcu krajem, w którym najlepiej sprzedająca się gazeta codzienna zamieszcza na trzeciej stronie zdjęcia kobiet w stroju toples.

Biedna Becki nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji muzułmanów, wywołanej jej groteskowym zachowaniem. Twardogłowi wyznawcy

37

islamowi zinterpretowali je jako pohańbienie swojej religii. Rodzice Becki, Ahmad i Fatima, ludzie w podeszłym wieku, wyrzekli się córki. Nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, co oczywiście już jest tragedią. Wnet nadeszły jednak znacznie gorsze wieści. Krewni dziewczyny w Maroku byli do tego stopnia rozsierdzeni zachowaniem dawnej tancerki wykonującej taniec brzucha, że grozili jej śmiercią. Podobną groźbę, potwierdzoną fatwą\*, skierowano przeciwko Salmanowi Rushdiemu. Tymczasem wszystko, co zrobiła biedna dziewczyna, to udział w pewnym tandetnym programie reality show. Był to jakiś obłąd.

W tym kontekście należy osądzać zachowanie niektórych arabskich ojców mieszkających na Zachodzie. Jest ono pełne hipokryzji, ale tak właśnie wygląda cała prawda. Wielu z nich czuje się szczęśliwych, mogąc przyjechać i pohasać do woli w jaskiniach rozpusty Londynu i innych miast. Spędzają wówczas czas z kobietami, piją i uprawiają hazard. Jeżeli pójdziecie do jednego z kasyn w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair, znacznie ponad połowę klienteli będą stanowić Arabowie, popijający alkohol i uganiający się za spódniczkami. Mężczyźni ci jednak, albo przynajmniej niektórzy spośród nich, kiedy już nasycą się Zachodem, popadają w rozpacz nad jego niemoralnością, gdy nagle staje im przed oczami córka. Obawiają się, że dorastająca dziewczynka zacznie niedługo brać narkotyki i sypiać z kim popadnie. Kiedy już ta patologiczna nienawiść do Zachodu da o sobie znać, nic nie jest w stanie zmienić ich poglądów. Matkę dziecka również obejmuje krąg tego potępienia. Z punktu widzenia mężczyzny jest ona nieodwracalnie skażona przez sam pobyt w obcym środowisku. To właśnie wtedy niektórzy ojcowie stają się niebezpieczni. Uważają, że powinni uprowadzić dziecko, zanim zostanie bezpowrotnie zatrute przez podobną sodomie i gomorze moralność, w której dorasta. Obserwowałam to wszystko wiele razy. Z tego powodu często dzwonią do mnie dziennikarze pracujący w telewizji, proponując, abym podzieliła się moimi doświadczeniami z widzami programów telewizyjnych. Podobne propozycje otrzymywałam z redakcji gazet i czasopism. Jednak wówczas, w 1998 roku, dopiero się budziłam; miałam wrażenie, jakby łuski zaczęły opadać mi z oczu. Sprawy te

wyjątkowo mnie poruszały. W głębi duszy poczułam, że jest to, być może, wyraz mojego powoła-

\*Fatwa (arab.) - opinia prawna w sprawach, w których nie da się zastosować ogólnych przepisów prawa muzułmańskiego, wydawana przez uczonego noszącego tytuł mufiego.

38

nia. Kiedy spoglądałam wstecz, wydaje mi się, że był to punkt zwrotny który całkowicie zmienił moje życie i pomógł mi odkryć moje przeznaczenie.

Jak można było przewidzieć, nastąpiło ponowne zrzucenie losu. Mniej więcej pięć miesięcy później zabrałam dzieci do Hyde Parku, piętrowego zaledwie o kilka przystanków autobusowych od naszego domu. Spacerując parkową alejką, znów zobaczyłam tę kobietę. Poznała mnie i wdałyśmy się w pogawędkę. Towarzyszyła mi jednak czwórka dzieci, które musiałam pilnować, toteż nie byłam w stanie wysłuchać jej uważnie. zaproponowałam spotkanie przy kawie następnego dnia, a ona chętnie się zgodziła.

Nazajutrz wyruszyłam w drogę sprężystym krokiem - jakbym przeczekała, że w mojej egzystencji dokona się jakaś doniosła zmiana, która nada inny bieg mojemu życiu, chociaż wówczas nie miałam jeszcze o tym pojęcia. Po raz kolejny skierowałam się do Queensway. Umówiłyśmy się na spotkanie w Whiteleys, w Bayswater, moim ulubionym centrum handlowym. Był to niegdyś ogromny wiktoriański dom towarowy którego motto brzmiało: „Znajdziesz tu wszystko, od szpilki po słonko”. Okazała się fasada budynku zachowała się po dziś dzień. Wewnątrz została zmodernizowana, ale nadal jest bardzo widny i przestronny, dzięki szklanemu sufitowi.

Miałyśmy się spotkać o jedenastej przed południem w Cafe Rou na drugim piętrze. Przyszłam punktualnie co do minuty, a moja nowo poznana koleżanka już tam czekała. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz trochę jaśniła się - przypuszczam, że nie znała zbyt wielu osób, z którymi mogłaby rozmawiać o swojej tragedii. Zamówiłam kawę, przysunęłam krzesło i zaczęłam słuchać jej opowieści. Nasz pobyt się przedłużał. Wciąż tam byłyśmy, kiedy kelnerzy sprząтали stoliki po lunchu.

Powiedziała mi, że ma na imię Mary i wyszła za mąż za Libijczyka. Jej los był podobny do historii wielu kobiet, które miałam poznać w następnych latach. Na początku wszystko układało się wspaniale. Po ślubie pojechała nawet do Libii, żeby spotkać się z jego rodziną i została entuzjastycznie przyjęta. Kiedy wrócili do Anglii, stała się przykładem i oddaną muzułmańską żoną. Chodziła w tradycyjnym stroju i wyrzucała się swoich dawnych przyjaciół oraz zachodniego stylu życia. Mimo męża wciąż znajdował powody, by ją besztać i krytykować. Mieli małą dziewczynkę Lajlę.

Minął blisko rok od dnia, kiedy Mary poszła z Lajlę do szkoły. Stała na szkolnym dziedzińcu z innymi kobietami. Uczniowie wychodzili z budynku, ale nie dostrzegła pośród nich Lajli, która zazwyczaj jako jedna z pierwszych podbiegała do grupy oczekujących. Wkrótce wszystkie mamy zabrały swoje dzieci i odeszły, pozostawiając Mary stojącą samotnie na dziedzińcu. Po pewnym czasie wyszła do niej nauczycielka i wyjaśniła, że ojciec zabrał Lajlę ze szkoły tego ranka, by zaprowadzić ją na umówione spotkanie do dentysty.

Informacja nauczycielki wprowadziła Mary w zdumienie, ale próbowała tego nie okazywać. Jej mąż nie był typem osoby, która angażowałaby się w praktyczną stronę

wychowania dziecka. Pozostawiał to wszystko żonie. Udała przed nauczycielką, że Lajla istotnie miała wyznaczony termin u stomatologa, podziękowała za informację i wróciła do domu. Ogarnął ją niepokój. Nadal nie mogła zebrać myśli. Co to mogło oznaczać? Kiedy zapadł zmierzch, zaczęła z niepokojem odchodzić od zmysłów. Dzwoniła do wszystkich przyjaciół męża, pytając, czy widzieli jego i Lajlę. W końcu jednemu ze znajomych zrobiło się jej żal. Powiedział Mary, że mąż zabrał córkę do Libii. Najprawdopodobniej chciał z nią spędzić wakacje. Mieli stamtąd niedługo wrócić.

Kiedy Mary opowiadała mi swoją historię, po jej policzkach spływały łzy, czego w kolejnych latach bardzo często miałam być świadkiem. Niezależnie od tego, jak dawno rana została zadana, matkom zawsze wydawała się świeża. Z upływem czasu, gdy zetknęłam się z większą liczbą podobnych przypadków, nie mogłam się powstrzymać przed porównywaniem zachowania kobiet z działaniami mężczyzn. Miałam wrażenie, że postępowanie tych ostatnich było zawsze wykalkulowane, chłodne i okrutne, a swój czyn planowali z góry przez wiele miesięcy. Moim zdaniem ich motywacji należało szukać w okrucieństwie i nienawiści do Zachodu i swoich żon, podczas gdy czyny kobiet na ogół wydawały się wynikać z miłości. Czytelnicy mogą potraktować moją opinię jako zbyt duże uogólnienie. Jednakże założenie to leży u podstaw mego stanowczego przekonania, że matki nie powinno się nigdy rozdzielać z dziećmi. W bardzo rzadkich wypadkach lepiej jest, by opieka nad dzieckiem została powierzona ojcu, ale podkreślam, że sytuacja taka ma miejsce niezwykle rzadko i stanowi wyjątek, który potwierdza regułę.

Mary opowiadała mi, że wielokrotnie dzwoniła do rodziny męża do Libii. Sposób, w jaki ją traktowali, kontrastował wyraźnie z pełną wylewności atmosferą panującą podczas pierwszej wizyty w ich domu. Byli powściągliwi i nieufni, złośliwie odmawiając jej rozmowy z córką. Po-

40  
czątkowo wymyślali różne wymówki. Mówili na przykład: „Lajla jest zbyt zmęczona, żeby rozmawiać” lub „Lajla bawi się w domu przyjaciół”. W końcu bezceremonialnie oświadczyli: „Nigdy nie będziesz mogła rozmawiać z Lajlą. Zapomnij o swej córce”.

Jak sądzę, przynajmniej byli uczciwi. Kiedy numer telefonu, pod który dzwoniła do nich Mary, nie odpowiadał, musiała przyjąć do wiadomości fakt, że przeprowadzili się, nic jej nie mówiąc. Psychologiczna pępowina została w końcu przecięta w najbardziej okrutny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Podczas jednego z naszych spotkań pod wpływem nagłego impulsu pochyliłam się do przodu i powiedziałam Mary:

- Dlaczego nie miałybyśmy pojechać do Libii i wykraść Lajli? To jedyny sposób, abyś ją znów zobaczyła.

Mary była zaszokowana, ale przekonałam ją, że będziemy w stanie tego dokonać, bez względu na trudności. Ta decyzja miała zmienić moje życie.

Na myśl o powstałym planie przepełniało mnie radosne podniecenie. Od wielu lat nie czułam się tak pełna życia. Szalone błazeństwa, tak dla mnie charakterystyczne w młodości, z perspektywy czasu wydawały się wypływać z potrzeby, by niekiedy podwyższyć swój poziom adrenaliny i przeżyć coś niezwykłego. Chociaż wówczas

się nad tym nie zastanawiałam, wynikało to z mojej osobowości, której elementem była potrzeba działania i przeżywania dramatycznych sytuacji. Odnosiłam wrażenie, że znalazłam teraz metodę zaspokojenia tego pragnienia w pozytywny sposób, taki, który przynosił komuś korzyść, nikogo nie raniąc. I, co było równie ważne, nie groziło mi za to wyładowanie w więzieniu. Wówczas jeszcze do mnie nie dotarło, że ta postawa współczesnej Florence Nightingale\* może mnie tam zaprowadzić i, jak się później okazało, faktycznie tak się stało. Była jednak drobna przeszkoda, która psuła całą przyjemność: co, do diabła, miałam powiedzieć Mahmudowi?

- Donya, co zamierzasz zrobić? Czy ty całkiem zwariowałaś? Co się stanie z naszymi dziećmi, kiedy udasz się w tę pogoń za mrzonkami? A co będzie, jak cię złapią? Libia to nie Wielka Brytania, wtrąca cię do więzienia.

\*Florence Nightingale (1920-1910) - angielska pielęgniarka i działaczka społeczna, twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa.

41

Słyszając o moich zamiarach, Mahmud nie mógł uwierzyć własnym uszom. Irytujące było to, że w głębi serca przyznawałam mu rację. Niemniej jednak, kiedy już raz zdecydowałam się na podjęcie pewnych działań, nikt nie mógł mnie od tego odwieść. W takich sprawach jestem bardzo uparta. W końcu Mahmud zdał sobie sprawę, że żaden z jego argumentów nie zmieni mojego zdania, toteż zaplanowałyśmy z Mary lot do Libii i poszukiwanie Lajli.

Mary kupiła dla nas bilety i pojechałyśmy na lotnisko Heathrow. Po raz pierwszy udawałam się za granicę z tego typu misją, miało się jednak okazać, że w nadchodzących latach odbędę wiele podobnych podróży. Oprócz oczywistego niebezpieczeństwa, jakie niosło zaplanowane przez nas przedsięwzięcie, istniało jeszcze dodatkowe ryzyko. Zdawałyśmy sobie sprawę, że nie zdobędziemy paszportu Lajli. W tej sytuacji postanowiłyśmy, że Mary będzie podróżować, posługując się paszportem swojej siostry, w którym figurowała również jej córka. A zatem Lajla mogłaby wydostać się z Libii jedynie wówczas, gdyby funkcjonariusze służb paszportowych nie wykazali się zbyt wielką czujnością. Było to ogromne ryzyko, ale musiałyśmy je podjąć.

Kiedy wyładowałyśmy na lotnisku w Trypolisie, tętniącej życiem stolicy Libii, znalazłyśmy się pośród gwarne go tłumu. Zawsze, gdy przyjeżdżałam do arabskiego kraju, gdzie wszystko jest tak odmienne, ogarniało mnie radosne podniecenie. Nawet tablice informacyjne z arabskimi napisami, ogłaszające odloty i przyloty, wydają się egzotyczne. Ma się wrażenie, że to inny świat. Poważny charakter naszego przedsięwzięcia nie umniejszał podniecenia - wręcz przeciwnie, raczej je zwiększał. Nie należało jednak zapominać, że miałyśmy do spełnienia pewną misję i musiałyśmy się na tym skoncentrować. Pierwszą rzeczą było wydostanie się z lotniska i znalezienie kierowcy, który by nam pomógł.

Fakt, że mówiłam trochę po arabsku, okazał się ogromną zaletą. Kiedy znalazłyśmy się poza lotniskiem, mogłam podejść do grupy taksówkarzy i zacząć się targować. Potrzebowałam kierowcy na dwa lub trzy dni. Jeden z nich podjął się tego zadania. Umówiliśmy się na stawkę dwudziestu dolarów dziennie, co - według brytyjskich standardów - było wyjątkowo tanio. Mary udało się dowiedzieć od przyjaciół w Londynie kilku szczegółów dotyczących miejsca pobytu Lajli, toteż pojechałyśmy od



razu do pewnego małego miasteczka i wkrótce rozpoznałyśmy właściwy dom. Był już wieczór, dlatego poniechałyśmy dalszych kroków. Znalazłyśmy niewielki, tani hotelik, gdzie wynajęłyśmy jeden wspólny pokój, by zaoszczędzić pieniądze.

f

Następnego ranka planowałyśmy zaparkować samochód w bocznej uliczce przed rozpoznany domem, skąd można byłoby dyskretnie serwować wchodzących i wychodzących ludzi. Wynajęty przez nas kierowca spędził noc w samochodzie - nasz budżet nie przewidywał pewnienia mu noclegu, mimo to wydawał się absolutnie szczęśliwy i radosny. Próbowałam sobie wyobrazić, jak zareagowałby taksówkarz z Londynu na prośbę o tego rodzaju usługę i zaczęłam śmiać się z siebie na myśl, że przyszedł mi do głowy tak niedorzeczny pomysł. Nie zgodziłby się pojechać nawet na południe od rzeki, gdyb to nie pasowało, a co dopiero mówić o spędzeniu nocy w taksówce w oczekiwaniu na każde zawołanie swoich klientów.

O odpowiedniej porze, zanim w obserwowanym domu pojawi jakiegokolwiek oznaki życia, zajęłyśmy strategiczną pozycję. Około 6 rano zajeżdżał stary, zdezelowany szkolny autobus i zatrzymał się przed domem. Mary automatycznie wyprostowała się, wręcz zeszywniała; dy otworzyły się przednie drzwi autobusu i podbiegła do nich dziewczynka z książkami.

- To ona! - krzyknęła, odruchowo sięgając ręką do klamki u taksówki.

Powstrzymałam ją.

- Jeszcze nie teraz, Mary - ostrzegłam. - To zbyt niebezpieczne jeździć za Lajlą, przyjrzyjmy się jej rozkładowi dnia. Podejmiemy decyzję, gdy opracujemy odpowiedni plan. Zgadzasz się?

- Zgoda - odparła z wahaniem, usadawiając się wygodnie na swoim siedzeniu.

Jechaliśmy za autobusem. Kiedy zatrzymał się przed szkolną bramą zaparkowałyśmy nasz samochód w odległości kilkuset metrów. Próbowałam się uważnie, próbując zapamiętać wszystkie istotne szczegóły plus należało odnotować fakt, że - podobnie jak w każdej szkole - tu panował nieopisany hałas, co było nam bardzo na rękę. Poza autobusem obok szkoły zatrzymywało się wiele samochodów, z których siadali uczniowie. Minusem była obecność przy szkolnej bramie: uczycielki. Wydawała się czuwać nad wszystkim i liczyć wchodzących do szkoły dzieci.

Spędziłyśmy cały dzień w samochodzie. Nasz kierowca od czasu czasu wysiadał, żeby kupić nam coś do jedzenia i picia. Chciałam czytać, czy w pewnym momencie dzieci nie zostaną wyprowadzone z terytorium szkoły, być może na teren sportowy, co stworzyłoby nam szansę, by porwać Lajlę. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Pie

42

widoczną oznaką jakiegokolwiek aktywności w szkole był koniec lekcji, kiedy autobus zatrzymał się raz jeszcze przed szkolną bramą i dzieci tłumnie wyszły z budynku.

Część wsiadła do autobusu, inne zaś do samochodów, które przyjechały, by je zabrać.

Jechaliśmy za autobusem, aż dotarliśmy do domu, w którym mieszkała Lajla.

Wyskoczyła, pobiegła do frontowych drzwi i została wpuszczona do środka.

Obserwowałyśmy dom przez kilka kolejnych godzin, ale oprócz świateł, które zapaliły się, kiedy zrobiło się ciemno, nic nie można było zobaczyć. Wróciłyśmy do hotelu i szybko położyłyśmy się spać, zmęczone całodzienną obserwacją.

Następnego ranka było podobnie. Znowu pojechałyśmy w ślad za autobusem do

szkoły, przez cały dzień obserwowaliśmy budynek i ponownie wróciłyśmy na nasz punkt obserwacyjny. Wszystko wydarzyło się dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Wieczorem w hotelu rozmawialiśmy o tym, co robić dalej. Miałyśmy zabukowany przelot do Wielkiej Brytanii następnego dnia, a skromne środki Mary niemal całkowicie stopniały. Musiałyśmy działać.

- Mamy szansę zrobić to tylko rano - przekonywałam. - Musisz podejść do Lajli, kiedy wysiądzie z autobusu przed szkołą. Następnie razem wsiądziemy do taksówki i jak najszybciej stamtąd odjedziemy.

- Ależ wokół jest mnóstwo ludzi - powiedziała Mary. - Jak możemy ją porwać na ich oczach?

Było to istotnie trudne zadanie, ale nie widziałam innego wyjścia. Musiałyśmy zachować wiarę i nadzieję, że Bóg jest po naszej stronie. Trudno było spać tej nocy, wiedząc, co nas czeka rano, ale w końcu udało mi się zasnąć.

Z głębokiego snu wyrwał mnie dzwonek budzika. Nadszedł czas wprowadzenia w czyn naszego szalonego planu. Jechałyśmy w ślad za autobusem, podobnie jak w poprzednich dniach, ale tym razem zatrzymałyśmy się tuż obok niego, w pobliżu szkoły.

- To właściwy moment - oznajmiłam Mary. - Idź i zabierz swoją córkę.

Mary miała na sobie tradycyjny strój, a zatem niczym się nie wyróżniała. Patrzyłam, jak Lajla schodzi ze stopni autobusu. Mary pochyliła się nad nią i Lajla zarzuciła jej ręce na szyję. Obie stały tak przez chwilę, obejmując się. Zdawało się, że trwa to całą wieczność. Ogarnęło mnie uczucie paniki. Z pewnością zwrócą na siebie uwagę.

Nauczycielka przy szkolnej bramie zauważyła je lada chwila.

44

Przeklinając pod nosem, wysiadłam z samochodu i podeszłam prosto do nauczycielki. Powiedziałam jej, że właśnie wprowadziłam się do tej dzielnicy i szukam szkoły dla mojej małej córeczki. Wydawało się, że na chwilę udało mi się odwrócić jej uwagę. Bardzo uprzejmie wyjaśniła mi całą procedurę. Radziła zadzwonić do szkolnego biura w celu umówienia się na spotkanie. Zapewniała, że zostanę życzliwie powitana, kiedy wrócę tu z córeczką, jeżeli takie będzie moje życzenie, po czym z przyjemnością oprowadzą nas po szkole.

Kątem oka zauważyłam, że Mary i Lajla wsiadły w końcu do samochodu.

Podziękowałam nauczycielce za poświęcenie mi czasu, chociaż ciążył mi nieco na sumieniu podstęp, jakiego się dopuściłam, zajęłam miejsce w samochodzie.

Kierowca przyspieszył, próbując oddalić się od szkoły tak szybko, jak to było możliwe, zanim zostanie wszczęty alarm.

Obok mnie Mary przytulała Lajlę, jakby nigdy więcej nie chciała wypuścić jej z ramion. Spijała oczami każdy szczegół jej postaci niczym ktoś komu ofiarowano wodę po długiej wędrówce. Łzy spływały jej po twarzy. Musiałam szybko myśleć. Pokonanie drogi do Trypolisu zajęłoby narr kilka godzin, toteż zapytałam kierowcę, czy w pobliżu jest jakieś lotnisko, z którego mogłybyśmy złapać samolot.

Odpowiedział twierdząco i natychmiast tam pojechaliśmy. Było to małe prowincjonalne lotnisko mimo to jednak kręciło się tu sporo przedstawicieli odpowiednich służb co sprawiło, że czułam się spięta. Zdawałam sobie sprawę, że na żądanie szkoły wszczęto już alarm, a pracownicy lotniska mogli zostać uprzedzeni i

mieli się na baczności.

Poleciłam Mary, żeby została w samochodzie z Lajlą, a ja tymczasem chciałam spróbować znaleźć dla nas jakiś lot. Podeszłam do informacji i zapytałam, kiedy odlatuje następny samolot. Pracownik zajmujący się rezerwacją biletów rozłożył ręce w przepaszającym gości i wyjaśnił, że jest opóźnienie. Następnego lotu nie będzie przez kilka godzin. Podziękowałam mu i wróciłam do samochodu.

Nie mogłyśmy ryzykować czekania, więc przedyskutowałam ten temat z kierowcą. Doszliśmy do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem byłoby dotarcie do Maroka, a stamtąd lot do Anglii. Miał nas zawieźć do granicy z Algierią, po czym kontynuowałybyśmy podróż innym samochodem. Było to mniej niebezpieczne niż czekanie na małym, pustynnym lotnisku i narażanie się na dekonspirację. Po siedemnastu gorących, pełnych kurzu godzinach dojechaliśmy do granicy. Serce podeszło mi do gardła

kiedy strażnik wziął nasze dokumenty, ale po chwili pobieżnego sprawdzania pozwolił nam po prostu jechać dalej.

Nasz kierowca znalazł szybko zamiennika. Dziękując mu, zapłaciłyśmy uzgodnione wynagrodzenie i przesiadłyśmy się do innego samochodu. Następny kierowca miał z nami przemierzyć setki kilometrów terytorium Algierii. Pamiętałam, że kraj ten był nieustannie wymieniany na liście Ministerstwa Spraw Zagranicznych jako niebezpieczny dla podróżujących. Wiedziałam jednak, że nie mamy innego wyjścia. Tylko tą drogą mogłyśmy dotrzeć do Maroka, a stamtąd do domu. Z pewnością ryzykowałyśmy, ale takie ryzyko warto było podjąć. Przekonywałam samą siebie, że oprócz powiadomienia portów i lotnisk w Libii same władze poinformują te placówki jedynie w krajach sąsiednich. Nie sądziłam, by wpadli na pomysł, że pojedziemy aż do Maroka - przynajmniej na to liczyłam.

Byłam tak podekscytowana, że nie jestem nawet pewna, na które lotnisko ostatecznie dotarłyśmy. Stresy spowodowane trudnymi przeżyciami ostatnich dni nałożyły się na zmęczenie wielogodzinną jazdą samochodem bez klimatyzacji po pełnych kurzu drogach. Trudy podróży dały nam się mocno we znaki. Najważniejsze jednak, że pomyślnie realizowałyśmy nasz plan i jak na razie nie napotkałyśmy na żadne problemy na lotnisku.

Nawet na pokładzie samolotu nie potrafiłam się jednak zrelaksować. Nadal bowiem miałyśmy przed sobą największą przeszkodę do pokonania - kontrolę paszportową urzędu imigracyjnego na Heathrow. Po wylądowaniu przyłączyłyśmy się do przybyszów z Północnej Afryki, czekających w kolejce do kontroli paszportowej. Funkcjonariusze wydawali się nieporównanie bardziej skrupulatni niż ich odpowiednicy w Libii i Maroku. Sądzę, że mieszkańcy tych krajów znacznie częściej starają się nielegalnie dostać do Wielkiej Brytanii niż odwrotnie. Czy zauważą, że Mary podróżuje, posługując się paszportem swojej siostry? Wstrzymałam oddech, kiedy przechodziłyśmy przez kontrolę paszportową. Kobieta spojrzała na paszporty, następnie na Mary i Lajlą. To był właśnie moment prawdy. Uśmiechnęła się, oddała paszporty i powiedziała: „Dziękuję pani”. Udało nam się.

Jeszcze z Maroka zadzwoniłam do Mahmuda, żeby mu powiedzieć, o której będziemy lądować. Moja twarz rozjaśniła się, kiedy zobaczyłam go czekającego na nas z zagadkowym uśmiechem. Wsiadłyśmy do jego samochodu i pojechaliśmy do

Londynu. Mary i Lajla wysiadły na stacji Tubę. Uściskałyśmy się serdecznie na pożegnanie, po czym obie zniknę-

46

ły w tłumie. Kierując się zdrowym rozsądkiem, z pewnością zmieniła na zwisko i adres.

Nigdy nie otrzymałam od niej żadnej wiadomości. Nie mogłam się z nią skontaktować, nawet jeśli bym tego chciała. Mam nadzieję, że mieszka z Lajlą w innej części kraju i jest szczęśliwa. Gdyby przypadkiem zdarzyło się, że przeczyta te słowa, chciałabym przesłać jej tą drogą pozdrowienia i moje najlepsze życzenia. Była bardzo odważną i zdecydowaną kobietą. Zainspirowała mnie do zrobienia pierwszego kroku na drodze która zaprowadziła mnie do punktu, w którym znalazłam się dzisiaj. Właśnie z tego powodu skłamałam jej hołd.

### ZYSKUJĘ ROZGŁOS

Oprócz pewnych korzyści istniały niewątpliwe wady zamieszkiwania pośród żyjących, bliskowschodniej społeczności w zachodnim Londynie, której część stanowiłam również ja. Problem polegał na tym, że każda wyróżniająca się w jakiś sposób jednostka jest w tym środowisku bardzo widoczna. Byłam inna już wcześniej jako jedna z nielicznych Brytyjek, które przeszły na islam. Teraz, dzięki temu, czego dokonałam z Mary, stałam się swego rodzaju znakomitością. Nie występowałam, co prawda, w programach radiowych ani telewizyjnych, by opowiadać, co się wydarzyło w Libii - nasze działania były kontrowersyjne, a także, z oczywistych względów, nielegalne. Mężczyźni porywający dzieci z Wielkiej Brytanii, by wywieźć je na Bliski Wschód, w oczach opinii publicznej i zgodnie z przepisami prawa karnego obowiązującymi w naszym kraju, popełniają przestępstwo. Na Bliskim Wschodzie przestrzegano tych samych praw, tyle że dotyczyły one kobiet, które podjęły próbę odzyskania swoich dzieci i przywiezienia ich na Zachód. Tamtejsza tradycja powodowała, że społeczeństwo faworyzowało na ogół prawo ojców, nie matek. Fakt uzyskania w wielu wypadkach korzystnego dla kobiety wyroku w Wielkiej Brytanii nie miał znaczenia. Podobnie jak my, również władze libijskie nazywają tego typu zjawiska „uprowadzeniem dziecka”. Gdybym została przyłapana podczas wspólnej eskapady, byłabym traktowana jako współniczka przestępstwa lub uznano by mnie za uczestniczkę spisku, zwłaszcza że całe przedsięwzięcie zostało zaplanowane z wyprzedzeniem, a zatem nie można byłoby go uznać za przestępstwo popełnione w afekcie.

Byłam przekonana, że prócz piętna, którym nazaczył mnie mój ocierający się o przestępstwo naganny czyn, społeczność, wśród której ży-

48

łam, nie miałyby jednoznacznego poglądu na temat mojej działalności. Nieliczni poparliby to, co zrobił ojciec Lajli, a wśród reszty panowałyby mocne przekonanie, że obca osoba nie powinna się wtrącać w życie osobiste innych ludzi. Fakt, że byłam kobietą, a do tego Brytyjką, angażującą się w sprawy dotyczące nieznanego, wzbudziłby liczne kontrowersje. Dlatego opowiedziałam o tym wydarzeniu tylko małej grupie osób. Po pewnym czasie jednak wiadomość jakoś się rozeszła. Garstka bliskich przyjaciół, którym zwierzyłam się w zaufaniu, najwyraźniej podzieliła się tą historią z gronem swoich znajomych, a ci z kolei zrelacjonowali ją kolejnym osobom.

W taki sposób o moich poczynaniach dowiedział się szeroki krąg bliższych i dalszych sąsiadów.

Zdziwił mnie fakt, że muzułmańskie kobiety bynajmniej mnie nie unikały. Wręcz przeciwnie, wiele z nich złożyło mi wizytę i szczerze gratulowało. Można było odnieść wrażenie, że milcząca większość muzułmańskich kobiet nie aprobowała szowinistycznej natury pewnych aspektów islamu. Spotkałam nawet kilku mężczyzn, którzy podziwiali podjęte przeze mnie działania, chociaż przezornie podnosili ten temat, kiedy w pobliżu nie było świadków naszej rozmowy.

Na skutki swojego postępowania nie musiałam długo czekać. Od czasu do czasu, kiedy stałam przed szkolną bramą, czekając na dzieci, podchodziła do mnie jedna z matek i opowiadała o kłopotliwym położeniu znajomej, która znalazła się w podobnej sytuacji jak Mary. Rozmowy te często prowadzone były ukradkiem, a historie przekazywane mi szeptem, żeby nikt nie podsłuchał. Zaczęłam sądzić, że uprowadzenia dzieci stanowiły wstydlivy sekret brytyjskiego islamu. Powszechnie o nich wiedziano, ale społeczność muzułmańska ukrywała je w tajemnicy. Trudno było zresztą się temu dziwić. Muzułmanie w Wielkiej Brytanii muszą się borykać z wystarczająco licznymi uprzedzeniami. Nie miało zatem sensu dostarczanie kolejnych argumentów rasistom i bigotom.

Początkowo nie chciałam się w podobne sprawy angażować, wkrótce jednak doszłam do wniosku, że matki porwanych dzieci dotyka rażąca niesprawiedliwość. Dalsze przemyślenia podsycaly jedynie moje oburzenie. Nie mogłam dłużej ignorować kierowanych do mnie próśb o pomoc. Wydawało się, jakby Bóg powołał mnie na świat w określonym celu. Jeżeli moją rolą miało być doprowadzenie do porozumienia między Wschodem a Zachodem w sporach o prawo do opieki nad dzieckiem, może powinnam zacząć myśleć o tym, co mogę zrobić, by okazać pomoc. Moja znajomość islamu i języka arabskiego z jednej strony, z drugiej zaś zachodnie wzorce wychowania, a co za tym idzie, przekonanie

49

o równych prawach przynależnych kobietom i mężczyznom, stawiało mnie w wyjątkowej sytuacji.

Moja podróż do Libii, by uwolnić Lajlę, miała miejsce pod koniec 1998 roku, kiedy Allawi był jeszcze niemowlęciem. Pewnego dnia, wiosną 1999, skontaktowała się ze mną znajoma kobiety o imieniu Debbie. Jej historia pod wieloma względami przypominała los Mary. Zgodziłam się spotkać z nią w swoim „biurze”, jak zaczęłam określać Cafe Rouge w Whiteleys.

To, co mi powiedziała, było nie mniej przejmujące niż inne tego typu opowieści. Ilekroć zdarzało mi się słuchać tych tragicznych historii, zawsze wydawały mi się one równie szokujące i okrutne. Porwanie nastąpiło w okolicznościach podobnych do porwania Lajli; córka Debbie również została zabrana ze szkoły pod pretekstem fikcyjnego spotkania. I, jak miało to miejsce w wypadku Mary, zanim matka zdążyła się zorientować, co się stało, jej małą córeczkę Aminę wywieziono z Anglii do Maroka.

Wiadomość, którą chciałabym przekazać matkom narażonym na ryzyko uprowadzenia dziecka, brzmi następująco: zwracajcie uwagę na nietypowe zachowania waszego partnera. Jeżeli przez długi czas czujecie się w małżeństwie

niezbyt szczęśliwe, gdy coraz częściej występują między wami różnice zdań, a nagle stwierdzacie, że mąż stał się miły i troskliwy, wykazując ponadto chęć pomocy przy dzieciach - chce je kąpać i zabierać na spacerów do parku, chociaż poprzednio pozostawiał wszystkie te zajęcia wam - powinien uruchomić się w waszej głowie dzwonek alarmowy. Musicie zawsze wiedzieć, gdzie znajdują się paszporty dzieci. Kiedy niespodziewanie nie możecie znaleźć ulubionej puchowej kamizelki swej córeczki czy jej pluszowego misia, jesteście w niebezpieczeństwie. Prawdopodobnie mąż wynosi niewielkimi partiami rzeczy dziecka z domu i przechowuje je w mieszkaniu tak zwanego przyjaciela lub raczej współnika przestępstwa, jak wolę nazywać taką osobę. Wszystko po to, by opuszczenie kraju było łatwiejszym zadaniem. Mężczyzna nie chce, by niechętnie i płaczące dziecko zwracało na lotnisku uwagę na jego osobę. Mając zabawki i ubrania dziecka, sądzi, że ma większą szansę udobruchania go i wywiezienia z kraju.

Gdyby udało się wam rozpoznać jakikolwiek z powyższych typów zachowania, musicie działać szybko. Przekażcie swoje obawy opiekunom w szkole, do której chodzą wasze dzieci: uprzedźcie nauczycieli, że jeżeli ojciec pojawi się kiedykolwiek, aby je zabrać na umówione spotkanie do lekarza, o którym uprzednio nie wiedzieli, nie powinni pozwa-

50

łać dziecku iść, zanim nie poinformują o tym matki. Kiedy zdobędziecie konkretny dowód, taki jak zarezerwowane bilety lotnicze, natychmiast zadzwonicie na posterunek policji i poprosicie o połączenie z jednostką zajmującą się ochroną dzieci. Ostrzeżona zawczasu będzie odpowiednio przygotowana do działania. \*?

Biedna Debbie nie zdołała dostrzec tych sygnałów, aż było za późno. Jej przypadek różnił się jednak od sytuacji Mary w jednej zasadniczej sprawie - nigdy nie spotkała rodziny swego męża w Maroku. Kiedy wywiózł ich córkę z Wielkiej Brytanii, zdała sobie sprawę, że nie dysponuje nawet ich adresem. Nie miała praktycznie żadnych możliwości skontaktowania się z nimi. Kolejne utrudnienie stanowił fakt, że jego nazwisko należało do najbardziej popularnych w Maroku. Przypominałoby to szukanie igły w stogu siana. Z pewnym ociąganiem powiedziałam jej, że nic nie mogę zrobić. Namawiałam Debbie, by porozmawiała z przyjaciółmi męża i próbowała zdobyć adres lub jakiś inny ślad, którym mogłaby podążać. Szlochając, kręciła jedynie przecząco głową. Wyjaśniła, że mąż nigdy nie przedstawił jej swoim znajomym, a dwie osoby z jego kręgu odmówiły pomocy. Społeczność muzułmańska, jak ma to często miejsce, zwarła szeregi i sprzymierzyła się przeciwko niej. Debbie czuła się odrzucona. Nic nie mogłam zrobić. Z ciężkim sercem dałam jej mój numer telefonu i poprosiłam o kontakt, gdyby coś się zmieniło. Czując ogromny smutek, patrzyłam, jak odchodzi, a następnie poszłam do domu, do własnych dzieci. Nie spodziewałam się, że skontaktuje się ze mną ponownie.

Debbie zadzwoniła do mnie kilka tygodni później. Wydawała się bardzo podniecona. Jej koleżanka zatelefonowała z Maroka, gdzie spędzała wakacje. Była przekonana, że widziała Aminę w nadmorskim kurorcie. Nie było czasu do stracenia. Jeżeli dziewczynka była na wakacjach ze swoim ojcem, mogła wyjechać każdego dnia. Musiałyśmy tam dotrzeć, i to jak najszybciej. Wyjaśniłam Mahmudowi, co zamierzam zrobić, a on zaakceptował moją decyzję, choć z widoczną niechęcią i

rezygnacją. Wiedział, że nie byłby w stanie przekonać mnie, abym tego nie robiła. Zdobyliśmy bilety do Maroka następnego dnia. Wkrótce dotarliśmy do wskazanego kurortu. Zarezerwowałyśmy pokój w hotelu i wyszłyśmy na balkon. Dopiero wówczas zdałyśmy sobie sprawę, jak trudne mamy przed sobą zadanie. Plaża była ogromna i zatłoczona wczasowiczami. Kobiety w tradycyjnych strojach siedziały, gawędząc, gdy tymczasem ich dzieci bawiły się w najlepsze. Nasze przedsięwzięcie wydawało się zupełnie

51

beznadziejne. Debbie jednak przechyliła się przez barierkę balkonu i uważnie lustrowała tłum. Trwało to przynajmniej kilka godzin.

Próbowałam jej zasugerować zejście na plażę i przechadzkę brzegiem morza. To pozwoliłoby nam uważniej przyjrzeć się turystom. Nie chciała jednak przyjąć mojej sugestii, machając niecierpliwie ręką. Było już późne popołudnie. Obawiałam się, że słońce wkrótce zacznie chylić się ku zachodowi. Wczasowicze spakują wówczas swoje rzeczy i opuszczą plażę. Gdyby tak się stało, straciłybyśmy dzień. Przecież rodzina Debbie mogła mieć zaplanowany wyjazd tego wieczoru, jeśli nie zrobiła tego już wcześniej. Uporczywie rozmyślałam o daremności moich działań. Dlaczego nie słuchałam Mahmuda?

Jednak dokładnie w momencie, kiedy przyszło mi to do głowy, Debbie wydała okrzyk. Przybiegłam na balkon.

— Tam — krzyczała, wskazując na pewien punkt. — Tam jest Amina! Próbowałam wypatrzeć dziewczynkę, ale widziałam jedynie tłum ludzi.

- Jest z trzema kobietami i innymi dziećmi. Siedzą na krzesłach, a ona biegnie teraz do wody z czerwonym gumowym kołem.

Postanowiłyśmy pójść na plażę w chustach na głowie, aby nie wyróżniać się w tłumie. Chciałam spróbować porozmawiać z kobietami, posługując się arabskim, żeby się czegoś dowiedzieć. Debbie miała pozostać w pewnej odległości od nas. Realizowałyśmy nasz plan bez przeszkód. Usiadłam obok kobiet i zauważyłam, że jedna z nich, najstarsza z grupy, nie spuszczała z oka małej Aminy, kiedy ta chlapała się w płytkiej wodzie. Wdałam się w rozmowę z kobietą, obsypując komplementami dziewczynkę. Powiedziała mi z dumą, że to jej wnuczka. Było jasne, że bardzo ją kocha. Zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia, ponieważ zdawałam sobie sprawę, jaką rozpacz i cierpienie wywoła moja misja w Maroku. Przez wiele lat, kiedy zajmowałam się podobnymi sprawami, wielokrotnie doświadczałam tego uczucia. Walka o dziecko jest zawsze niezwykle bolesna, rzadko bowiem sytuacja przedstawia się w czarno-białych barwach. Jedynym sposobem, w jaki mogłam uporać się z poczuciem winy, było skupienie się na praktycznym działaniu. Ponadto musiałam pamiętać, że moja rola polegała na ponownym połączeniu dziecka z matką. Niekiedy jednak jest to trudne.

Starsza kobieta poinformowała mnie o zbliżającym się końcu ich wakacji. Zamierzali wyjechać z kurortu za dwa dni. W trakcie naszej rozmowy Amina podbiegła do babci. Ta poleciała wnuczce, by zapakowała swoje rzeczy. Dziewczynka zrobiła nadąsaną minę. Nie chciała jeszcze

52

opuszczać plaży. Babci udało się ją jednak pocieszyć, obiecując, że wrócą tu jutro na cały dzień. Pożegnałam się z nią i oddaliłam, dając Debbie znak skinieniem głowy, by poszła za mną.

Kiedy wróciłyśmy do hotelu, opowiedziałam jej, czego się dowiedziałam.

«.

- Musimy to zrobić jutro - stwierdziłam stanowczo. - To będzie ich ostatni dzień na plaży, zanim wyjadą. Powinnyśmy być gotowe do działania.

Debbie była szczęśliwa, przystając na moje ustalenia. Z zadowoleniem pozwoliła mi przejąć kontrolę nad biegiem spraw. Nie mogłam tej nocy usnąć. Noc przed zamierzonym porwaniem zawsze jest trudna. Rodzi się we mnie lęk, że zostanę złapana, a jednocześnie czuję, jak wzrasta poziom adrenaliny. W końcu jednak udało mi się zapaść w sen.

Następnego ranka umówiłam się z kierowcą taksówki, obiecując mu zapłatę za cały dzień, jeżeli będzie gotowy tylko na moje usługi. Chciałam, by przyjechał w ciągu kilku minut na moje telefoniczne wezwanie. Był nad wyraz zadowolony, że otrzyma całodniową stawkę za wykonanie niewielkiego zadania i dał mi swój numer telefonu. Zajęłyśmy pozycję na balkonie, uważnie wypatrując, kiedy pojawi się Amina ze swoją babcią i innymi krewnymi. Kiedy je zobaczyłyśmy, nadszedł czas działania. Włożyłyśmy tradycyjne arabskie stroje i zeszłyśmy na dół, żeby zająć miejsce wystarczająco dogodnie do obserwacji przebiegu wydarzeń, ale nie na tyle blisko, by zwrócić na siebie uwagę. Obie byłyśmy spięte, a minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Przedsięwzięłyśmy wszelkie środki ostrożności i zabukowałyśmy bilety lotnicze na dzisiejsze popołudnie. Kurortowy zegar zaczął odmierzać czas. Po kilku godzinach obserwowane kobiety wdały się w dyskusję, co zjedzą na lunch. Za nami znajdował się bar kanapkowy w miejscu, gdzie plaża była blisko drogi. Tam właśnie zamierzały pójść. Zlustrowałam sytuację, zwracając uwagę na wszystkie szczegóły. Amina wciąż brodziła w płytkiej wodzie. Pojawiła się zatem szansa. Gdyby kobiety udały się spacerkiem do baru, odwracając się tyłem do wody, miałybyśmy kilka minut, zanim dostaną zamówione kanapki i wrócą na plażę. Musiałyśmy to zrobić teraz albo nigdy. Kiedy kobiety wstały, wyszeptalam do Debbie:

- Nadszedł właściwy moment. Idź i zabierz Aminę. Zaprowadź ją do pokoju w hotelu i zadzwoń po kierowcę, żeby po nas przyjechał. Dołączę do was.

53

Nie trzeba jej było dwa razy tego powtarzać. Patrzyłam, jak podbiegła do córeczki i pochyliła się nad nią, odsłaniając z twarzy zasłonę. Buzia małej dziewczynki rozjaśniła się. Rzuciła się w ramiona matki. Kiedy przytulały się do siebie, wpadłam w popłoch. Powinny ruszyć się z plaży, zanim ktoś je zauważy. Chciałam, by oddaliły się możliwie jak najszybciej. Po kilku sekundach, które wydawały mi się wiecznością, ruszyły w drogę do hotelu. Debbie trzymała Aminę na rękach, a córka obejmowała ją za szyję, uśmiechając się promiennie.

W swojej długiej, bezkształtnej sukni Debbie wyglądała z tyłu jak każda muzułmańska kobieta. Szła wielkimi krokami w przeciwną stronę niż usytuowany był bar i opuściła plażę, wtapiając się w tłum ludzi spacerujących nadmorskim bulwarem. Chwilę później kobiety wróciły ze swoimi kanapkami i rozłożyły się z



nimi na plaży. Ucinały sobie pogawędkę, ale widziałam, że babcia patrzy na wodę, gdzie przedtem brodziła mała wnuczka.

- Gdzie jest Amina? - zapytała głośno.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, zanim nie zapytała po raz drugi, tym razem z niepokojem w głosie. Kobiety spojrzały w tym samym kierunku, a następnie powoli podniosły się. Wpadły w panikę. Pobiegly w kierunku wody, wołając dziewczynkę po imieniu. Ludzie wokół mnie zaczęli uważnie się rozglądać. Nie miałyśmy czasu do stracenia.

W zamieszaniu wymknęłam się i skierowałam do hotelu. Debbie wraz z Aminą były już w pokoju. Przytulały się do siebie i śmiały radośnie. Wystarczyło jednak, że kobieta zauważyła wyraz mojej twarzy, by zorientować się, że czas świętowania jeszcze nie nadszedł. Zapytałam, czy zadzwoniła po kierowcę. Przytaknęła, ale powiedziała, że przyjedzie za pół godziny. Siarczyście zaklełam. Nic jednak nie mogłam zrobić. Spakowałam torby i poleciłam, by czekały w pokoju, aż zadzwonię z informacją, kiedy powinny zejść na dół. Nie mogły czekać w recepcji, podczas gdy zewsząd docierały głosy o zaginionej dziewczynce.

Wzięłam bagaże i usiadłam na kanapie w holu. Byłam coraz bardziej niespokojna. Spoglądając przez okno, widziałam, że na zewnątrz panowało ogromne zamieszanie. Przyjeżdżały policyjne samochody, a na plaży działo się istne pandemonium. Gdzie, do diabła, podziewał się kierowca? W końcu pojawił się, nie przejmując się niczym. Na moje gniewne pytanie, gdzie się zapodział i dlaczego przyjazd do hotelu zajął mu tak dużo czasu, zaczął mamrotać pod nosem jakieś głupie wymówki o korkach na drogach. Zresztą, nie było to teraz ważne. Zawołałam na dół Debbie z Aminą i wsiadłyśmy do samochodu. Mijając policyjne samo-

54  
chody, starałyśmy się zakrywać głowę dziewczynki. Teraz naszym przeciwnikiem był czas: samolot odlatywał za dwie godziny, a kierowca powiedział nam, że droga na lotnisko zajmie ponad godzinę.

Obiecałam mu, że dostanie wysoką premię, jeżeli zawiezie nas tam możliwie najszybciej. Trzeba przyznać, że istotnie dołożył wszelkich starań. Godzinę później biegłyśmy już do stanowiska odprawy paszportowej. Udało się nam.

Zagłębiłam się z ulgą w fotelu, kiedy samolot mknął po pasie startowym. Spojrzałam na Debbie, a ona uśmiechała się radośnie, mierzwiąc włosy swojej małej córeczki. Przypomniałam sobie, że tak samo wyglądała twarz Mary. Miałam okazję widzieć to jeszcze wielokrotnie w ciągu następnych lat. Wszystko, co przeżywamy - strach, wątpliwość w sobie i poczucie winy - bezsprzecznie jest warte tego widoku.

#### POWINOWACI I WYJĘCI SPOD PRAWA

W ciągu kilku następnych lat utrwałała się moja reputacja jako osoby gotowej wszelkimi sposobami podjąć walkę na forum międzynarodowym w sprawach o przyznanie opieki nad dzieckiem. Spotkałam wiele kobiet, które na skutek dramatycznych przeżyć związanych z porwaniem ich dzieci przez mężów dosłownie odchodziły od zmysłów. Problem polega na tym, że chociaż oddają one swoje sprawy do sądów w Wielkiej Brytanii i uzyskują korzystne dla siebie wyroki w kwestii zwrotu dzieci, to jednak prawo brytyjskie nie ma żadnego wpływu na instytucje ścigania w krajach Bliskiego Wschodu czy Afryki Północnej, do których ich

mężowie pozostający z nimi w separacji zabrali dzieci.

Podstawowym prawem międzynarodowym rozstrzygającym sprawy porwanych dzieci jest konwencja haska. W 1976 roku pod patronatem i na wniosek Kanady i Wielkiej Brytanii zorganizowano konferencję dotyczącą prawa cywilnego.

Uzgodniono wówczas tekst konwencji jako integralnej części wewnętrznego prawa krajów członkowskich. Jedną z kluczowych idei tej konwencji została sformułowana następująco:

Konwencja haska jest cywilno-prawnym mechanizmem, z którego mogą skorzystać rodzice ubiegający się o odzyskanie lub pełen dostęp do swego dziecka. Jako procedura cywilno-prawna, rodzice, a nie rządy, są stronami.

Kraje, które są sygnatariuszami (stronami) konwencji uzgodniły, że dziecko, które jest stale mieszkańcem kraju jednej ze stron i które zostało wywiezione lub przetrzymywane w kraju drugiej strony z naruszeniem praw rodzicielskich, powinno zostać natychmiast zwrócone do kraju, w którym przedtem stale zamieszkiwało.

Konwencja powinna

i

również pomóc rodzicom w realizacji ich prawa do odwiedzania dziecka za granicą. Uczyniono zatem ważny krok w zakresie ochrony praw dziecka. W myśl podjętych ustaleń obowiązkiem rządu państwa, na terytorium którego uprowadzone zostały dzieci, jest ich odzyskanie i zwrócenie. Gdyby zatem dziecko zostało wywiezione do kraju będącego sygnatariuszem konwencji, jego policja, w oparciu o system prawny, powinna -przynajmniej w teorii - rozpocząć poszukiwania dziecka, by zwrócić je państwu, w którym mieszka ono na stałe. Konwencja stanowi jednak tylko pierwszy krok we właściwym kierunku, nie rozwiązuje zaś istoty całej sprawy.

Należy podkreślić dwa najistotniejsze zagadnienia. Po pierwsze, konwencja ma moc obowiązującą, jeżeli obydwa kraje, których dotyczy sprawa, są jej sygnatariuszami. Kiedy 1 lipca 1988 roku jej tekst został sporządzony i przedłożony do podpisania, zatwierdziły go Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Kanada, Australia, Francja i Hiszpania. Żadnej z kobiet, którym pomagałam, nie porwano dzieci do tych krajów. Konwencja nie została uznana przez większość krajów Bliskiego Wschodu, Azji i Afryki, toteż nie można się było na nią powołać, by pomóc skrzywdzonym przez los kobietom. W wypadku, gdy próbowały dociekać w tych krajach swoich praw na drodze sądowej, nie mogły posunąć się zbyt daleko z uwagi na obowiązujące w nich muzułmańskie prawo szari'i\*, faworyzujące ojca. Wysiłki podejmowane przez matkę, by podać sprawę o prawo do opieki nad dzieckiem do sądu w kraju muzułmańskim, mają niewielką szansę na sukces, szczególnie jeżeli jest ona cudzoziemką i niemuzułmanką. Jedynie w wypadku rażącego zaniedbania przez ojca obowiązków - na przykład gdy nie jest on zdolny zapewnić opieki swojemu dziecku - w niektórych krajach muzułmańskich matka ma nieco więcej możliwości.

Po drugie, nawet gdy dany kraj podpisał konwencję, nie ma gwarancji, że zostaną podjęte jakiegokolwiek wysiłki, by skorzystać z jej postanowień. Pomagałam kiedyś kobiecie, Alison Lalic, w odnalezieniu jej dzieci. Opowiem tę historię w dalszej części książki. W jej wypadku dzieci zostały porwane do ojczyzny ich ojca, Bośni i Hercegowiny.

\* Prawo muzułmańskie; zbiór zasad i przepisów porządkujących wierzenia,

przekonania, postawy moralne i działania wyznawców islamu. Prawo muzułmańskie zostało ustalone przez Boga i objawione przez proroków islamu, przede wszystkim przez Mahometa.

56

57

Bośnia ratyfikowała konwencję haską 1 grudnia 1991 roku wraz z Chorwacją, Macedonią, Jugosławią i Izraelem, ale były to tylko pozory. Bośniackie władze z pewnością nie miały ochoty rozpocząć poszukiwania dzieci Alison Lalic, choć chodziły one do szkoły, a zatem można je było dosyć łatwo odnaleźć, gdyby tylko wykazano chęć i wolę polityczną.

W obliczu niemrawych poczynań władz, by doprowadzić do ponownego połączenia matki i dzieci, postanowiłam sama przejąć pałeczkę. Podobnie jak miało to miejsce w wypadku Mary i Debbie, wydawało mi się, że jedynym sposobem na uzyskanie chociażby minimalnego postępu w tej sprawie było wszczęcie zdecydowanych działań. Dlatego też w ciągu kilku następnych lat podjęłam się około dwudziestu tego typu misji.

Chociaż każda próba odzyskania dziecka jest sprawą życia lub śmierci dla zaangażowanej w nią matki i, jak wspominałam wcześniej, równie bolesną, to jednak dwie spośród moich misji okazały się wyjątkowo ważne. Wynikły z nich bowiem nieprzewidziane konsekwencje. Dotyczyły one siostry Mahmuda, Ibtihal, i Sarry Fotheringham.

Ibtihal mieszkała w An-Nadżafie w południowym Iraku, ale czuła się zmęczona niedostatkiem i brakiem jakichkolwiek perspektyw życiowych, co było powszechne za reżimu Saddama Husajna. Słyszała o nowym życiu Mahmuda w Wielkiej Brytanii. Podobnie jak wiele osób, które chcą wydostać się z kraju, w którym panuje ucisk społeczny, i znaleźć pracę poza jego granicami, postanowiła przyłączyć się do brata. Problem polegał na tym, że nie mogła uzyskać wizy. Rząd angielski poddał imigrację ścisłej kontroli, znacznie ją ograniczając, toteż dostać się do Wielkiej Brytanii było niezwykle trudno. Zdaję sobie sprawę, że imigracja musi podlegać kontroli ze względu na ograniczony obszar wyspy i ogromny przyrływ ludności. W przeciwnym bowiem razie zbyt wiele osób z krajów rozwijających się chciałoby się tu osiedlić na stałe. Biorę to wszystko pod uwagę, ale kiedy dotyczy to indywidualnych spraw, chciałabym pomóc. Nie czuję się komfortowo, kiedy muszę odmawiać ludziom, którzy pragną zaznać lepszego życia, przyjechać do Wielkiej Brytanii i przyczynić się do rozwoju jej gospodarki.

Długo rozmawialiśmy na ten temat z Mahmudem. Można było, co prawda, znaleźć ludzi gotowych za dużą sumę pieniędzy załatwić fałszywe papiery, a także wizy dla osób, które chciały przekroczyć granicę

58

Wielkiej Brytanii, nigdy nie ma jednak gwarancji, że takie przedsięwzięcie się powiedzie. Nielegalni przemytnicy ludzi, jak się ich określa, bez najmniejszych skrupułów wykorzystują bowiem ludzką desperację i nieszczęście.

W 2000 roku, kiedy Ibtihal miała przyjechać do Anglii, sześćdziesięciu chińskich imigrantów zapłaciło duże pieniądze za przeschmuglowanie ich w przyczepie ciężarówki z Zeebrugge w Belgii do angielskiego portu Dover. Holenderski kierowca

samochodu zamknął odpowietzniki, by służby celne nie usłyszały żadnego odgłosu z wnętrza przyczepy. Kiedy dotarli do Dover, okazało się, że przeżyły tylko dwie osoby, a reszta się udusiła.

Na rozprawie sądowej w sprawie przeciwko kierowcy chiński imigrant, który przyjechał do Wielkiej Brytanii w podobny sposób, opowiedział, co działo się z nim dalej. Gdy dotarł na miejsce, zabrano go do jednego z londyńskich wieżowców, w którym znajdowały się mieszkania komunalne. Został tam uwięziony przez przemytników, członków chińskiego gangu, zwanego Łbami Węża. Uwolniono go dopiero wówczas, gdy jego rodzina w Chinach zapłaciła dwadzieścia tysięcy funtów. Na tę sumę przeciętny chiński obywatel musiałby pracować siedemnaście lat.

Dopiero ten proces sądowy ujawnił, z jakiego typu ludźmi można mieć do czynienia, kiedy chce się zostać przemyconym do Wielkiej Brytanii za pieniądze.

Miałam lepszy pomysł. Wielu czytelników odniesie się z dezaprobatą do tego, co zrobiłam, ale zdawałam sobie sprawę, jak nieszczęśliwa musiała być Ibtihal w Iraku i jak bardzo tęskniła za lepszym życiem. Można stosunkowo łatwo dostać się na kontynent europejski z Bliskiego Wschodu, podróżując przez Turcję, Grecję i Niemcy, ale dotarcie z zachodniej Europy do Wielkiej Brytanii jest praktycznie niemożliwe. Osoby prawdziwie zdesperowane próbują nieraz ucześcić się pociągów towarowych kursujących z Francji przez tunel pod kanałem La Manche, ale wiąże się to zawsze z dużym ryzykiem, a nawet zagraża życiu.

Mój plan' był znacznie prostszy. Mahmud próbował ze mną polemizować, ale ja uważałam, że nie było wielkiego ryzyka. Gdyby Ibtihal przyjechała do Francji albo Holandii, moja koleżanka mogłaby tam na nią czekać z moim paszportem.

Posłużyłaby się nim w drodze do Wielkiej Brytanii. Funkcjonariusze służb granicznych na ogół jedynie rzucali okiem na paszport, który okazywałam, toteż byliśmy pewni, że plan się powiedzie. Słyszałam o ludziach uciekających się do tego typu oszustw, by dostać się na terytorium innego kraju i nie brałam nawet pod uwagę

niepowodzenia. Za podróżowanie z fałszywym paszportem groziła z pewnością surowa kara, łącznie z karą więzienia, ale starałam się za wszelką cenę odsuwać od siebie takie myśli.

Ibtihal była matką dwóch synów, jednak, dla uniknięcia podejrzeń, przyjechałby tylko jeden z nich. Jej mąż wraz z młodszym synem, sześciolatkiem Jusufem, mieli próbować znaleźć jakiś inny sposób, żeby dotrzeć tu później.

Ponieważ nie chciałam narazić kogokolwiek, kto okazał mi pomoc, wolę nie ujawniać żadnych szczegółów. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że plan został uwieńczony powodzeniem. Ibtihal udało się bezpiecznie dotrzeć do Wielkiej Brytanii, znaleźć pracę oraz mieszkanie. Młodszy syn wciąż jednak nie mógł wyjechać z Iraku, ona zaś czuła się coraz bardziej zdesperowana. Niczego nie pragnęła bardziej, niż go zobaczyć. Jej mąż wystąpił o wizy dla siebie i dziecka, ale decyzję opóźniano. Nie dawano im żadnej gwarancji, że kiedykolwiek je dostaną. Przez wiele miesięcy obserwowałam, jak bardzo rozłąka z mężem i synem przygnębia Ibtihal. Postanowiłam ponownie interweniować. Był koniec lata 2001 roku.

Powiedziałam szwagierce, że nie mamy innego wyjścia, jak udać się do Iraku i

zabrać stamtąd Jusufa. Ibtihal, jako nielegalna imigrantka, nie mogła towarzyszyć mi w tej podróży. Miałam pojechać z przyjaciółką, wziąć Jusufa i przywieźć go do Wielkiej Brytanii.

Mahmud wybuchnął śmiechem, kiedy powiedziałam mu o moim planie.

- To nie ma szans powodzenia, Donya - oświadczył. - Z jednego powodu - chłopiec nie ma brytyjskiego paszportu.

- Może podróżować, posługując się paszportem Chalida - stwierdziłam, tak naprawdę nie przemyślawszy tego, co mówię. - Są mniej więcej w tym samym wieku.

Mahmud myślał przez chwilę.

- To się nie uda. Zobaczą, że Chalid nie przekroczył z tobą granicy. W paszporcie nie będzie żadnych pieczętek.

Jego argumentacja była ze wszech miar słuszna.

- W porządku. Możemy kupić Chalidowi bilet w obie strony, a Jusuf posłuży się biletem powrotnym.

Mahmud rozważał to przez chwilę.

- Nie widzę szansy na zrealizowanie tego planu. Linie lotnicze odnotują, że Chalid nie zgłosił się do odprawy, więc jak mógłby nagle z tobą wracać? I w jaki sposób uzyskałabyś pieczętkę w jego paszporcie? Je-

60

żeli polecisz do Bejrutu lub Jordanii, będziesz jeszcze musiała przekroczyć granicę z Irakiem, a w jego paszporcie nie znajdzie się pieczętka, która potwierdzałaby wjazd do Jordanii. Nie pomyślałam o tym.

- No cóż, przemyślę jeszcze raz wszystkie szczegóły - powiedziałam ze zniecierpliwieniem.

Chociaż Mahmud odgrywał rolę adwokata diabła, jego krytycyzm był w zasadzie uzasadniony, co było dla mnie irytujące.

- A poza tym - kontynuował - Jusuf w niczym nie przypomina z wyglądu Chalida. Ma czarne włosy i ciemne oczy. Chalid jest blondynem o zielonych oczach. Każdy urzędnik od razu zauważy różnicę.

Był to rzeczywiście problem. Nie mogliśmy po prostu pomalować włosów Jusufa na blond. Chłopiec miał ciemną karnację, toteż nasz podstęp byłby widoczny na kilometr. Milczałam przez kilka minut. W końcu przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Ogolimy mu głowę - oznajmiłam. - Gdybyśmy mieli jakiegokolwiek problemy przy odprawie celnej, powiem im, że miał raka i jest w trakcie chemioterapii. Kolor oczu nie powinien stanowić problemu. Dam mu valium, zanim pojedziemy na lotnisko i będzie cały czas spał. Prawdopodobnie wzbudzi to ich sympatię i sprawi, że unikniemy zbyt wielu niewygodnych pytań.

Mahmud, jak zawsze, był sceptyczny, ale ja czułam się zdeterminowana. Ponadto podobał mi się pomysł podróży do Iraku. Postanowiłam wziąć ze sobą Amirę, żeby poznała rodzinę swego ojca. Byłoby to dla niej nowe doświadczenie, a matka Mahmuda nie posiadałaby się ze szczęścia, widząc swoją wnuczkę. Znalazłam koleżankę, Jane, która wykazała chęć odbycia z nami tej wyprawy, aby nam pomóc. Byłam jej wdzięczna, ponieważ podróżowanie z dwójką małych dzieci stanowi, w najlepszym razie, trudne zadanie, zwłaszcza gdy jedno z nich odbywa tę podróż

nielegalnie i jest pod wpływem środków uspokajających.

Musiałymy uzyskać wize dla wszystkich zarówno do Jordanii, gdzie miałyśmy polecieć najpierw, jak i do Iraku. Członkowie rodziny Mahmuda byli Irakijczykami, toteż wydawało się rzeczą zupełnie zrozumiałą, że chcę zabrać dzieci, aby odwiedziły swoich krewnych. Po uporządkowaniu dokumentów nadszedł czas, by ruszyć w drogę. Pojechaliśmy na Heathrow trasą, która stawała się powoli utartą ścieżką dla realizacji moich przedsięwzięć.

Plan polegał na tym, aby Mahmud i Chalid udawali, że jadą z nami. Po odprawie miałam stwierdzić, że Chalid zachorował i nie jest w stanie

61

odbyć podróży samolotem. Martwiłam się tylko, w jaki sposób otrzymam pieczętkę w jego paszporcie, kiedy przyjadę do Jordanii.

W trakcie odprawy uśmiechnęło się do mnie szczęście. Chalid, którego zdrowie zawsze było delikatne, zaczął narzekać, że nie czuje się dobrze. Dotknęłam jego czoła, faktycznie było rozpalone. Upewniłam się, że obsługa usłyszy moje słowa, gdy dodawałam mu otuchy i głośno go przekonywałam, że będzie musiał wrócić z tatusiem do domu, obiecując, że przyłączy się do nas w Iraku za kilka dni, kiedy będzie czuł się lepiej.

Oczywiście nie wybierali się do Iraku. Wymyśliłam po prostu na poczekaniu prawdopodobnie brzmiącą opowieść, która wyjaśniałaby, dlaczego chcieliśmy zachować lotniczy bilet powrotny dziecka. Funkcjonariusz wydawał się nieco niepewny, czy może to zaakceptować, ale ponieważ musiał jeszcze załatwić długą kolejkę pasażerów czekających na odprawę, wyraził zgodę. Udało się nam pokonać pierwszą przeszkodę.

Ucałowaliśmy się z Mahmudem i Chalidem na pożegnanie. Miałam się z nimi rozstać na kilka tygodni. Dręczyło mnie poczucie winy na myśl, że zostawiam mojego małego chłopca. Mahmud zapewnił mnie jednak, że wszystko będzie w porządku.

Wywiązywał się dobrze z roli ojca i, muszę przyznać, zawsze był oddanym mężem, szczególnie gdy brało się pod uwagę moje częste eskapady, z których wielu innych nie byłoby zadowolonych. Przeszliśmy przez halę odlotów i skierowałyśmy się do samolotu.

Lot do Ammanu, stolicy Jordanii, nie trwa zbyt długo. Amirze udało się nawet przespać całą drogę. Towarzyszyło mi jednak uczucie niepokoju i nie potrafiłam się odprężyć. Martwiłam się, czy potrafię zdobyć pieczętkę w paszporcie Chalida. Ciągłe nad tym rozmyślałam, ale nie mogłam znaleźć odpowiedniego rozwiązania. W końcu doszłam do wniosku, że należy zaufać Bogu, a On zapewne mi je wskaże.

Kiedy wylądowałyśmy, Jane zauważyła, że jestem zestresowana i na kilka minut wzięła z moich rąk Amirę. Przyłączyłyśmy się do kolejki pasażerów czekających na kontrolę paszportową. W pewnej odległości od nas, przy wysokim biurku, siedział mężczyzna, który zerkał na każdy paszport, zanim przystawił pieczętkę. W głowie zaświtał mi pewien pomysł, choć był ryzykowny.

W momencie, gdy zbliżałyśmy się do początku kolejki, zaczęłam głośno wołać: „Chalid, Chalid, wracaj tu!”.

Jedną ręką trzymałam Amirę, a w drugiej paszporty. Miałam nadzieję, że sprawiam wrażenie udręczonej matki mającej wszystkiego dosyć.

Podeszłam bliżej, by podać paszporty urzędnikowi. Zapytał, gdzie jest mój syn, a ja powiedziałam mu po arabsku, że urwis gdzieś uciekł i dostanie ode mnie porządną burę. Spytałam, czy ktoś powinien go poszukać, ale funkcjonariusz uśmiechnął się uprzejmie, twierdząc, że nie jest to konieczne, i przystawił w paszporcie wymagane pieczętki. Z pewnością sam miał małe dzieci. Z chęcią bym go ucałowała. Sprawa kontroli paszportów martwiła mnie najbardziej i stanowiła największy minus mojego planu. Dysponowałyśmy teraz dokumentami potwierdzającymi, że Chalid przebywa w kraju legalnie, z ważnym biletem i wizą. Kiedy pojawiłybyśmy się tu z Jusufem, przynajmniej papiery byłyby w porządku, chociaż i tak miałyśmy się o co martwić. Zabrałyśmy nasz bagaż, kierując się do wyjścia z lotniska. Jane jechała do Bejrutu, ale po naszym powrocie z Iraku miałyśmy się ponownie spotkać w Ammanie, by wspólnie odlecieć do Londynu. Pożegnałyśmy się, a ja - zgodnie ze zwyczajem - podeszłam do grupy kierowców, żeby wytargować cenę za podwiezienie mnie i Amiry do granicy irackiej. Czekala nas długa, wielogodzinna trasa.

Ustaliłam stawkę i wyruszyliśmy w drogę. Podróż była wyczerpująca, a migający za oknami krajobraz bardzo monotony. Jechaliśmy przez północną część jordańskiej pustyni, zatrzymując się od czasu do czasu przy przydrożnych straganach, żeby wypić zimny napój i coś zjeść. Panował upał, w powietrzu unosił się kurz, a w samochodzie oczywiście nie było klimatyzacji. Trzeba jednak przyznać, że mała Amira zachowywała się bardzo grzecznie i na nic nie narzekała.

W końcu dojechaliśmy do granicy, gdzie mama Mahmuda, Fatima, czekała na nas z samochodem. Przeniosłyśmy nasz bagaż z jednego samochodu do drugiego i znów ruszyłyśmy w długą drogę. An-Nadzaf leżał w odległości wielu kilometrów od granicy z Jordanią. Nieżyjący już ojciec Mahmuda był biznesmenem, toteż jego rodzinie powodziło się stosunkowo dobrze, przynajmniej jak na miejscowe standardy. Mieszkali w przestronnym dwupiętrowym domu z dużym ogrodem, który zacieśniały drzewa cytrusowe. Kiedy w końcu przyjechałyśmy na miejsce, byłam fizycznie zmęczona, ale szczęśliwa. Jeżeli jednak myślałam, że mogę pójść prosto do łóżka, byłam w błędzie. Fatima zorganizowała wielkie powitalne przyjęcie, na które zaprosiła wielu krewnych. Wszyscy oczekiwali nas podekscytowani, chcąc zobaczyć małą Amirę. Z udaniem się na spoczynek należało jeszcze poczekać.

Zadzwoiłam do Mahmuda, pragnąc go poinformować, że bezpiecznie dotarliśmy na miejsce. Porozmawiałam z Marlonem i moim

małym aniołkiem Chalidem, który był w znacznie lepszej formie niż na lotnisku Heathrow. Z serca spadł mi wielki ciężar. W końcu położyłyśmy się do łóżek, ale dopiero wówczas, gdy wszystkie potrawy, łącznie z deserami, zostały spożyte, i po cierpliwym przetrwaniu kilkunastogodzinnego gruchania krewnych nad śliczną małą Amirą.

Przez dwa kolejne tygodnie miałam mnóstwo zajęć. Jusuf nie mówił ani słowa po angielsku i coś musieliśmy z tym zrobić. Chociaż planowałam podać mu środki uspokajające, żeby można było spokojnie załatwić formalności z personelem na lotnisku, nie mogłam ryzykować, że w trakcie odprawy granicznej obudzi się i zacznie mówić po arabsku. Ujawniłoby to całą grę, ponieważ miał udawać

Brytyjczyka.

Zaczęłam uczyć Jusufa pojedynczych słów i formułowania choćby kilku zdań.

Musiał koniecznie przyswoić sobie, by nazywać mnie mamą. Nalegałam na to już od pierwszego dnia. Nauczyłam go podstawowych słów, takich jak „toaleta” czy „woda”. Modliłam się, aby ta bardzo fragmentaryczna znajomość języka okazała się wystarczająca i pomogła nam przejść przez kontrolę. Poświęciłam trochę czasu na zwiedzanie Iraku. Obejrzałam słynne sanktuaria, a także położone w pobliżu uroczyska wioski. Pojechaliśmy też na grób ojca Mahmuda, by uczcić jego pamięć. Podczas mojego krótkiego pobytu w tym kraju widziałam wokół wiele biedy.

Z trudem znosiliśmy sierpniowe upały, dlatego wycieczki starałam się organizować albo rano, albo wczesnym wieczorem. Dostawy elektryczności trwały zaledwie kilka godzin w ciągu dnia, zatem klimatyzacja szwankowała. Najprzyjemniej było usiąść w ogrodzie w cieniu owocujących drzew, z czego korzystaliśmy przy każdej okazji. Podobnie jak wówczas, gdy mieszkałam z rodziną Karima w Jordanii, czułam, że bardzo mnie pociąga ten prosty, odwieczny styl życia, który z pewnością nie zmienił się specjalnie od czasu, kiedy został spisany Koran. Mimo niedostatku wszyscy wydawali się zadowoleni i życzliwi, których to zalet niestety często brakuje ludziom w tętniącym życiem Londynie. Uderzała mnie troska, z jaką w arabskiej kulturze traktuje się rodzinę. Wszystko obraca się wokół niej: dom często odwiedzali liczni krewni. W czasie mojego pobytu przygotowano wiele posiłków, którymi ich ugaszczano.

Czas biegł jednak nieubłaganie. Wkrótce miałam wprowadzić w życie moją śmiałą - niektórzy powiedzieliby, wręcz brawurową - akcję powrotu do Wielkiej Brytanii z Jusufem udającym Chalida. Ojcu Jusufa udało się otrzymać wizę do Jordanii, co oznaczało, że może nam towarzyszyć w pierwszym etapie podróży. Pożegnanie się z Fatimą okazało się bar-

64

dzo trudne. Matka Mahmuda była szczęśliwa, że może cieszyć się przez kilka tygodni obecnością Amiry. Już wcześniej mogłam się spodziewać, jak ogromnym wyzwaniem będzie dla niej chwila pożegnania z nami. Wiedziała bowiem, że odjeżdżamy do innego świata, oddalonego o kilka tysięcy kilometrów. Nie\* miałyśmy pojęcia, kiedy zobaczymy ją ponownie; prawdę mówiąc, następne spotkanie przebiegło w znacznie mniej przyjaznej atmosferze.

Nie przewidywałam wtedy, co się później wydarzy. Udało nam się przejechać granicę z Jordanią bez niefortunnych przygód. Czekala nas kolejna, wyczerpująca podróż przez pustynię. Następnego dnia zawitaliśmy do Ammanu. Jusuf pożegnał się ze swoim tatą, po czym nastął czas przygotowań. Termin odlotu do Anglii był już potwierdzony, jednak potrzebowaliśmy czasu, by się upewnić, że Jusuf doskonale pasuje do roli w komedii, którą należało odegrać. Zatrzymaliśmy się w mieszkaniu znajomych w Damaszku. Moje pierwsze zadanie polegało na tym, aby w jakiś sposób upodobnić Jusufa do dziecka chorego na białaczkę i poddawanego chemioterapii.

Osiągnięcie zadowalającego rezultatu wymagało wielu zabiegów.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było ścięcie jego pięknych ciemnych loków. Paszport Chalida opisywał go jako blondyna, toteż jego głowa musiała być dokładnie ogolona, by sprawiała wrażenie łysiny - pozostawienie nawet niewielkiego śladu po ciemnych



włosach mogłoby wszystko zdradzić. Biedne dziecko było przerażone tym, co z nim wyprawiam. Nawet moja udawana wesołość nie mogła zapobiec łzom, którymi napelniły się jego oczy. Następnie uporałam się z brwiami Jusufa, a w końcu z małym meszkiem na jego rękach. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne ryzyko. Jane miała przylecieć na spotkanie z nami z Bejrutu. Zgodnie z planem znalazła się w naszym mieszkaniu wieczorem. Samolot odlatywał

0 drugiej nad ranem. W ściśle określonym czasie należało podać Jusu-fowi środki uspokajające. Nie chciałyśmy, żeby się obudził w niewłaściwym momencie.

Włożyłam mu na głowę czapkę do gry w baseball

1 ubrałam w niektóre rzeczy Chalida w typowo zachodnim stylu - dżinsy i T-shirt.

Byłam zadowolona z efektów i musiałam przyznać, że wyglądał doskonale.

Zanim opuściliśmy mieszkanie, by udać się na lotnisko, dałam Jusu-fowi dwie tabletki valium ze szklanką mleka. Zażył je bez narzekania. Do czasu, kiedy taksówka dowiozła nas do portu lotniczego, pogrążył się w głębokim śnie. Jak do tej pory, wszystko przebiegało bez zakłóceń.

65

W hali odlotów udaliśmy się w stronę odprawy pasażerów. Kiedy zbliżyłam się do okienka urzędnika sprawdzającego paszporty, żołądek podchodził mi do gardła, a usta miałam wyschnięte jak bibuła. Chociaż robiłam to już wielokrotnie, po raz pierwszy próbowałam przedsięwziąć akcję porwania dziecka, posługując się fałszywymi dokumentami wystawionymi na moje nazwisko. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak, jak wcześniej obmyśliłam, z pewnością skończę w więzieniu. Zaczęłam wewnątrz panikować. Dręczyła mnie myśl, że być może wzięłam zbyt trudne zadanie na swoje barki.

Z duszą na ramieniu podeszłam do okienka. Żywiąc nadzieję, że strach nie maluje się na mojej twarzy, podałam paszporty. Funkcjonariusz wziął dokumenty, po czym przez kilka sekund bacznie mnie lustrował, zanim je otworzył. Wpatrywał się w nie przez dłuższy czas, a następnie zerknął na mnie - jak mi się wydawało - z podejrzliwym wyrazem twarzy. W końcu zapytał, wskazując głową na Jusufa:

- Dlaczego syn nie przyjechał z panią do Iraku?

Czułam się chora ze strachu. Zauważył, że Amira i ja miałyśmy pieczętki potwierdzające przekroczenie granicy z Irakiem, zaś w paszporcie Chalida oczywiście takiego śladu nie znalazł. Postanowiłam, że jedynym wyjściem z tej sytuacji będzie zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Wskazując na Jusufa, powiedziałam:

- Czy nie widzi pan, że mój syn jest chory? On umiera na raka. Chcieliśmy przywieźć go do Iraku, żeby zobaczył swoją rodzinę i mógł pomodlić się w sanktuarium, zanim umrze. Okazał się jednak zbyt słaby, by odbyć tę podróż. Musieliśmy zostawić go tutaj w Ammanie z przyjaciółmi i pojechać bez niego.

Urzędnik przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Odnosiłam wrażenie, że moje wyjaśnienia nie przekonały go całkowicie, ale być może dawała o sobie znać dręcząca mnie paranoja. W końcu skinął potakująco głową, zamknął paszporty i oddał je.

- W porządku, proszę pani - powiedział. - Życzę przyjemnego lotu. Udało nam się! Jane szła w ślad za nami. Znaleźliśmy miejsce, gdzie

mogliśmy usiąść. Musiałam trochę odpocząć i pozwolić uspokoić się mojemu mocno bijącemu sercu. Nie oglądałam się za siebie, przekonana, że funkcjonariusz podąży za mną wzrokiem, wypatrując jakiegokolwiek znaku podejrzanego zachowania. Właśnie wtedy oświadczone przez megafon, że nasz lot został opóźniony o trzy godziny. To mogło być dla nas zgubne. Wszystkie nasze plany opierały się na ścisłym wyliczeniu czasowym. Obsługa lotniska zdawała się nas podejrzewać i pałętanie się z bę-

66

dącym pod wpływem środków odurzających dzieckiem mogłoby jedynie przyciągnąć ich uwagę, a w rezultacie przysporzyć nam poważnych problemów.

Siedzieliśmy zaledwie kilka minut, kiedy Jusuf zaczął nagle chodzić w kółko i mamrotać. \*

- Jasna cholera - zakłęła Jane. - Co teraz zrobimy?

- Nie mamy wyboru - powiedziała stanowczo. - Musimy mu dać kolejne valium.

Jane miała wątpliwości. Martwiła się o ewentualną negatywną reakcję organizmu dziecka, gdybyśmy nieświadomie zaaplikowały mu nadmierną dawkę. Byłam jednak pewna, iż nie przekraczamy bezpiecznej ilości. Znów coś wymamrotał. Pochyliłam się nad nim, żeby się przekonać, czego chce. Mówił, że musi skorzystać z toalety. Na wszelki wypadek dałyśmy mu pieluchę, jeśliby miał potrzebę w czasie, kiedy będzie pod wpływem środków uspokajających. Jane zasugerowała, żeby pozwolić mu się w nią załatwić, ale nie uważałam tego za dobry pomysł. Byłoby to nieprzyjemne dla Jusufa. Gdyby się zdenerwował i zaczął płakać, mógłby przyciągnąć uwagę innych ludzi. Pieluchę należało zachować na później. Byłaby niezbędna w razie nagłej potrzeby, kiedy znajdowalibyśmy się w samolocie, a on spałby twardym snem. Jane wprawdzie niechętnie, ale przyjęła moje argumenty i zgodziła się zaprowadzić go do toalety.

Ja tymczasem przysiadłam na krześle z Amirą, która była całkiem rozbudzona.

Potrzebowała stymulacji i uwagi. Zaproponowałam jej zabawę, lecz po chwili - ku memu przerażeniu - usłyszałam wygłaszane przez megafon moje nazwisko z prośbą, żebym wróciła do kontroli paszportowej. O mój Boże! Czyżby udało im się przejrzeć naszą grę? Urzędnik musiał zdecydować, że chciałby przyjrzeć się jeszcze raz naszym dokumentom. Kiedy wstawałam z krzesła, nogi trzęsły mi się jak galareta. Zniosłam Amirę do ruchomych schodów i skierowałam się do miejsca, gdzie mnie przywoływano. Poczułam się nagle chora, będąc przekonana, że zostałam złapana na fałszerstwie. Nie widziałam żadnego wyjścia z potrzasku, w którym się znalazłam; nie miałam gdzie się schować na lotnisku, nie było też sposobu dostania się do samolotu. Zakładałam, że wykażę chęć współpracy z wymiarem sprawiedliwości, będę zachowywać się poprawnie i zdam się na łaskę sądów. Być może zrozumieją, że próbowałam po prostu doprowadzić do ponownego połączenia matki i dziecka. A zatem powinni zdobyć się wobec mnie na wyrozumiałość. Jednak w głębi serca w to nie wierzyłam. Posługiwanie się w podróży

67

fałszywymi dokumentami stanowi poważne wykroczenie. Dlatego nie przypuszczałam, by sądy mogły uznać to za drobne przewinienie. Nabierałam przekonania, że prawdopodobnie skończę w więzieniu. Teraz potrafiłam jedynie myśleć o moich kochanych dzieciach. Jak mogłam pozwolić sobie na tak szalone

ryzyko?

Z wolna podążałam w kierunku kontroli paszportowej. Do funkcjonariusza sprawdzającego wcześniej moje dokumenty przyłączyła się teraz para jego kolegów. Sądziłam, że przyszli, by zapewnić mu wsparcie w wypadku, gdybym wpadła w histerię. Policja bez wątpienia przybędzie tu w ciągu kilku minut. Kiedy znalazłam się w pobliżu okienka, pewna, że czeka mnie nieunikniona utrata wolności, postanowiłam przyjąć werdykt - jakikolwiek by był - z wysoko uniesioną głową. Tego, co dotychczas zrobiłam, nie można uznać za naganne, powiedziałam sobie w duchu. Byłam dumna z mojej pracy, która polegała na udzielaniu pomocy w doprowadzaniu do ponownego łączenia matek z dziećmi. Jeżeli miałabym z tego powodu iść do więzienia, niech tak będzie. Wywoła to na pewno międzynarodowy protest, a moja historia dostarczy tematu prasie i telewizji. Miałam nadzieję, że przynajmniej opinia publiczna dowie się, że prawo nie zapewnia matkom należytej ochrony. Ponadto potwierdzony zostanie fakt, że konwencja haska została zlekceważona przez kraje Bliskiego Wschodu. Wyjaśniałoby to, dlaczego matki były zmuszone uciekać się do sposobów uchodzących za nielegalne i dlaczego takie same czyny mężczyzn, którzy - co należy bardzo mocno podkreślić - porywali dzieci, były ignorowane.

Do czasu, kiedy zbliżyłam się do okienka, zdołałam w sobie wzbudzić silne i słuszne oburzenie. Byłam nawet gotowa surowo skrytykować czekających na mnie urzędników. Zapomniałam na chwilę, że przyjechałyśmy tu nie po to, by uwolnić dziecko, ale by przywieźć je do Anglii mojej szwagierce!

Mój zamiar spalił na panewce, kiedy jeden z funkcjonariuszy po prostu powiedział: - Czy możemy jeszcze raz przyjrzeć się pani dokumentom? Wyjęłam paszport z torebki i podałam mu go, zastanawiając się, o co chodzi. Przyjrzał się stronom, na których widniały pieczętki, a następnie stwierdził: - Obawiam się, że ważność pani wizy upłynęła trzy dni temu. Musi pani zapłacić niewielką sumę.

Z trudem udało mi się powstrzymać śmiech. Czułam ogromną ulgę, ale zdołałam powściągnąć swoje emocje. W jednej chwili byłam prze-

68

konana, że zostanę wtrącona do jakiegoś potwornego arabskiego więzienia, przed moimi oczami przesuwały się sceny z filmu Midnight Express, a w następnej usłyszałam, że nastąpiło nieznaczone naruszenie miejscowych przepisów i powinnam zapłacić kilka funtów, by problem przestał istnieć. Podałam pieniądze, a funkcjonariusz miło się uśmiechnął, wręczając mi paszport.

- Dziękuję pani - powiedział. - Życzę bezpiecznej podróży.

Wróciłam na miejsce. Próbowałam ukryć zadowolenie i nie uśmiechać się zbyt szeroko. Kiedy Jane i Jusuf przyszli z toalety, opowiedziałam, co wydarzyło się przed chwilą. Nie mogłyśmy się opanować i zaczęłyśmy chichotać, mówiąc przyciszonym głosem, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

W końcu nadszedł czas, by wejść na pokład naszego samolotu. Opuściliśmy halę wylotów i weszliśmy do rękawa. Moje nerwy były tak napięte, że z trudem mogłam spojrzeć stewardesom prosto w oczy, kiedy uśmiechały się i witały nas na pokładzie. Widok osoby w mundurze wprawiał mnie w niepokój. Jusuf ponownie zapadł w sen.

Na lotnisku połknął trzecią tabletkę valium. Miałam nadzieję, że matka ze śmiertelnie chorym, małym chłopcem wzbudzi nieco sympatii, co zapewni nam tro-skliwszą opiekę na pokładzie.

Faktycznie było tak, jak się spodziewałam. W samolocie znalazły się dla nas wygodne miejsca. Nie potrafiłam się jednak zrelaksować, dopóki nie znaleźliśmy się w powietrzu, chociaż nawet wówczas nie opuszczała mnie myśl, że czeka nas jeszcze kontrola paszportowa podczas przerwy w podróży w Atenach, a potem na Heathrow, co mogło być najtrudniejsze.

Jak się wkrótce okazało, niepotrzebnie martwiłyśmy się biurokracją w Atenach. Gdy samolot wylądował, szybko przeszliśmy do następnego, którym mieliśmy polecieć do Londynu. Niemal nie poczuliśmy łagodnego ciepła greckiego popołudnia, od razu zajmując miejsca w kolejnym samolocie, by wkrótce znów znaleźć się w powietrzu. Zastanawiałyśmy się z Jane, co powinnyśmy zrobić po dotarciu na miejsce. Kontrola paszportowa na Heathrow była skrupulatna, znacznie bardziej drobiazgową niż w Ammanie. Tam przypuszczalnie mniej martwią się tym, kto opuszcza kraj, niż na Heathrow tym, kto przyjeżdża. Nie pozostawało nam nic innego, jak konsekwentnie realizować swój plan. Podczas kontroli paszportowej Jusufa w Ammanie posłużyłyśmy się paszportem Chalida, toteż musiałyśmy zrobić to samo na Heathrow. Miałyśmy nadzieję, że matka z dwojgiem małych dzieci wyda się personelowi lotniska mało podejrzana i nie będą się nazbyt wnikliwie przyglądać naszym dokumentom.

69

Jane uścisnęła moją dłoń.

- Jak do tej pory wszystko się udało - zapewniała mnie. - Nie trać wiary.

Uśmiechnęłam się. Świadomość, że towarzyszy mi przyjaciółka, stanowiła istotne wsparcie. Nigdy nie mogłabym zrobić tego sama. Nie wytrzymałabym nerwowego napięcia na lotnisku w Ammanie. Prawdopodobnie dawno oddałabym się w ręce policji.

Heathrow wyglądało jak zawsze. Poczułam się nieco pokrzepiona na duchu, żywiąc nadzieję, że nie spotkają nas tu żadne problemy. Przyłączyłyśmy się do kolejki ludzi oczekujących na kontrolę paszportową. Niosłam na rękach Jusufa, który miał na głowie czapkę do gry w baseball opuszczoną nisko na czoło. Faktycznie nie wyglądał zbyt dobrze na skutek zażycia trzech tabletek valium, jak również zmęczenia długą podróżą. Od czasu, kiedy opuścił An-Nadżaf, minęło blisko czterdzieści osiem godzin. Ja czułam się zupełnie wyczerpana, a co dopiero mówić o sześciolletnim chłopcu, który nigdy przedtem nie opuszczał domu i który po raz pierwszy znalazł się na pokładzie samolotu.

Urzednicy działali bardzo sprawnie. Zaledwie rzucili okiem na nasze dokumenty i przepuścili nas. Czy naprawdę było już po wszystkim? Zabrałyśmy natychmiast podręczne bagaże, zmierzając do hali odpraw.

Jusuf obudził się, ale był półprzytomny i zaczął marudzić. Mówił coraz głośniej po arabsku, zwracając uwagę innych pasażerów. Byłam tak zmęczona, że mój mózg pracował na zwolnionych obrotach. Z trudem docierał do mnie sens jego wypowiedzi. Po chwili mój zamglony umysł zdołał uchwycić słowo „toaleta”.

Zostawiłam Jane przy taśmociągu bagażowym, aby czekała na nasze walizki, a sama

udałam się z Jusufem do łazienki.

Kiedy wróciliśmy, zobaczyłam trzech umundurowanych mężczyzn z ochrony lotniska. Wszyscy najwyraźniej na mnie czekali. Czyżby coś się stało? Czy Jusuf, mówiąc po arabsku, zdradził się?

- Wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał jeden z nich, trzymając w ręku krótkofalówkę.

Kto powiedział A, musi również powiedzieć B, stwierdziłam w duchu, biorąc głęboki oddech. Udawałam kobietę, która jest u kresu wytrzymałości; prawdę mówiąc, nie musiałam nawet za bardzo udawać. Poinformowałam funkcjonariusza o ciężkiej chorobie mego syna.

- Mieliśmy za sobą długi i wyczerpujący lot - tłumaczyłam. - Na domiar złego nasze bagaże gdzieś utknęły.

Przeprosił i wyjaśnił, że walizki ukazują się na taśmociągu z pewnym opóźnieniem, ponieważ wielu bagażowych nie przyszło do pracy. Nie pa-

70

miętam już nawet, czy powiedział, że zachorowali, strajkowali, a może nawet zamienili się w duszki, tak bardzo byłam zdenerwowana. Poprosił mnie, żebym opisała nasze walizki, obiecując zorganizować ich dostarczenie. Przez ten czas mogliśmy usiąść i dać nogom odpocząć.

Kilka minut później jeden z funkcjonariuszy pojawił się z naszymi walizkami spiętrzonymi na wózku bagażowym. Podziękowałyśmy mu za uprzejmość. Ludziom zdarza się narzekać na brytyjskie usługi, ale kiedy podróżowało się tak dużo jak ja, zaczyna się doceniać, że mieszkańcy Wielkiej Brytanii są grzeczni i uczynni, chociaż często nie okazujemy im należytego uznania. Jesteśmy zawsze skorzy do krytyki własnego kraju. Pragnę jednak powiedzieć, że obserwując anarchię i chaos w wielu krajach, które odwiedziłam, czułam nieraz, wracając na Heathrow, że miałabym ochotę uklęknąć na pasie startowym, a następnie ucałować ziemię, jak robił to papież. Przeszliśmy z naszym wózkiem przez kontrolę celną, kierując się ku wyjściu z gmachu lotniska. Tam, po drugiej stronie barierki, stał Mah-mud, moje oparcie w trudnych chwilach. Znów udało się wykonać naszą misję. Nigdy nie zapomnę wzruszającej sceny, która miała miejsce jeszcze tego dnia, kiedy Ibtihal i Jusuf wreszcie się spotkali.

Doszłam do wniosku, że nawet biorąc pod uwagę niepokój i lęk przed uwięzieniem, nie zamieniłabym tego, co robię, na nic innego. Widząc twarze matek, które odzyskały swoje dzieci, nie umiałam sobie wyobrazić bardziej satysfakcjonującej zapłaty.

7

## PODCIĘTE SKRZYDŁA

Kiedy zaczęłam pomagać matkom, bardzo uważałam, żeby wiadomości o misjach, które podejmowałam, nie rozprzestrzeniły się zbyt szeroko.

Zachowywałam ostrożność z wielu powodów. Po pierwsze, moje działania były nielegalne i mogły mi przysporzyć kłopotów z władzami. Zdawałam sobie również sprawę, że wiele osób żyjących w społeczności, której byłam częścią, nie aprobowałyby ich. Nie chciałam, by moje dzieci zostały naznaczone piętnem albo miały problemy w szkole za sprawą rodziców innych dzieci. Jednak reakcja

większości otaczających mnie ludzi była przyjemnym zaskoczeniem.

Po pewnym czasie zaczęli się ze mną kontaktować dziennikarze. Ludzie prawdopodobnie nie zdają sobie sprawy, jak nieustępliwe potrafią być media i jak wiele zręczności wykazują, by wytropić człowieka, którego sobie upatrzą. Są gotowe zapłacić za różne opowieści, a także ciekawe informacje. Wiele osób ulega tym pokusom i nawiązuje z nimi współpracę, przekazując interesujące ich szczegóły.

Używając wypróbowanych sposobów, dziennikarze musieli mnie wyśledzić.

Początkowo byłam przerażona i odkładałam słuchawkę, ale z czasem przedstawiciele mediów zdołali przekonać mnie do współpracy. Zapewniali, że w artykułach, które napiszą, moje nazwisko zostanie zmienione i nie będzie w nich nic, co pozwalałoby zidentyfikować mnie lub moje dzieci. Rzeczywiście, artykuły zaczęły się ukazywać i świat się nie zawalił.

Skontaktowały się też ze mną różne stacje telewizyjne. Dziennikarze proponowali mi, żebym występowała w programach, w których będzie przedstawiony problem uprowadzania dzieci. Zgodziłam się wziąć udział w kilku audycjach, tj. w cieszącym się popularnością programie Trisha

1 GMTV, po uprzednim upewnieniu się, że zostanę odpowiednio prze-

brana, tak aby trudno było mnie rozpoznać. Nalegałam również, aby prowadzący nazywali mnie Dee. Byłam przeświadczona, że nagłaśnianie i podawanie do publicznej wiadomości, że tego typu incydenty mają miejsce, jest ze wszech miar wskazane. Wydawało się, że uprowadzenia dzieci stanowiły dotąd wstydliwą tajemnicę środowisk muzułmańskich. Chciałam, aby dowiedział się o tym możliwie szeroki krąg osób, przynajmniej po to, by matki miały się na baczności.

W ten sposób stałam się w pewnym sensie osobą publiczną, na skutek czego zaczęli się ze mną kontaktować różni ludzie. Wysyłali listy do programów telewizyjnych, skąd trafiały one do mnie. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ich nadawcy wyrażali aprobatę dla mojej działalności i dodawali mi otuchy. W ogromnej większości listy były pisane przez kobiety, którym mężowie porwali dzieci. Błagały mnie o pomoc. Bardzo rzadko zdarzało się, by ktokolwiek krytykował mnie albo to, co robię. Pewnego dnia otrzymałam drogą elektroniczną list od Sarry Fotheringham. Przypomniałam sobie, że widziałam ją w programie Tonight with Trevor McDonald (Wieczór z Trevorem McDonal-dem). Jej syn był przetrzymywany w Dubaju i nie mogła się z nim zobaczyć. Coś w jej liście mnie poruszyło i postanowiłam do niej zadzwonić. Po rozmowie telefonicznej umówiliśmy się na spotkanie w moim „biurze” - Cafe Rouge w Whiteleys - co stało się już pewną tradycją.

Stawiłam się tam umówionego dnia, a po chwili nadeszła Sarra. Przypuszczam, że rozpoznała mnie dzięki oglądanym w telewizji programom z moim udziałem. Miała około trzydziestu pięciu lat i sprawiała wrażenie atrakcyjnej kobiety z doskonałą figurą. Blond włosy związała w koński ogon. Była modnie ubrana w dżinsy i kowbojskie botki. Wyrażała się poprawnie, chociaż jej akcent wydawał się nieco sztuczny, tak jakby bardzo nad nim pracowała i, jak na mój gust, miała zbyt mocny makijaż. Stwierdziłam jednak, że nie należy osądzać osoby po jej wyglądzie, toteż usiadłam wygodnie, czekając na to, co ma do powiedzenia.

Sarra mieszkała w Camberley, podmiejskim miasteczku w hrabstwie Surrey ze

swoim mężem Neilem, policjantem, i trójką ich dzieci. Wiek lat wcześniej pracowała jako stewardesa linii lotniczych Zjednoczony ci: Emiratów Arabskich. Z tego powodu spędzała wiele czasu w Dubaju. Po nieważ bardzo lubiła jazdę konną, przychodziła do miejscowej stajni znajdującej się w pobliżu hotelu Metropolitan. Podczas jednej z przejażdżek spotkała przystojnego, czarującego młodego człowieka. Nazywa się Raszid al-Habtur i trzymał w stajni swoje kuce do gry w polo.

7:

Polo jest sportem uprawianym przez bardzo bogatych ludzi w Dubaju, podobnie jak w większości krajów, toteż było jasne, że młodzieniec pochodzi z zamożnej i wpływowej rodziny. Jak bardzo wpływowej, Sarra miała dowiedzieć się znacznie później. Do jego rodziny należał zarówno hotel, jak i stajnia.

Podobnie jak wielu bogatych, wykształconych na Zachodzie Arabów, Raszida bardzo pociągały atrakcyjne Europejki. Ze swoją zgrabną figurą i blond włosami Sarra od razu wpadła mu w oko. Wdali się w pogawędkę, po czym Raszid zaprosił ją na kolację. Zaczęli ze sobą romansować i dwudziestotrzyletnia wówczas dziewczyna, zakochała się wkrótce w tym bogatym, przystojnym, dobrze wychowanym mężczyźnie. Kiedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, odkryła inną stronę Raszida, której do tej pory nie zauważyła. Stał się chłodny i oświadczył, że nie chce mieć nic wspólnego ani z nią, ani z dzieckiem. Była to w gruncie rzeczy typowa reakcja, jakiej należało się spodziewać po playboyu z arabskiego świata. Zrozpaczona, ale już bardziej doświadczona, Sarra wróciła do Wielkiej Brytanii i urodziła dziecko. Nadała chłopcu imię Tarik, mając na uwadze, że w jego żyłach płynie arabska krew.

Wysłała list do Raszida, informując go, że ma syna. Nigdy jednak nie otrzymała odpowiedzi. Jak wielu zamożnych arabskich mężczyzn, którzy mieli przygody z kobietami z Zachodu, z pewnością podejrzewał ją o chęć zastawienia pułapki w celu zdobycia jego pieniędzy. Później Sarra dowiedziała się, że ożenił się z Arabką, wychowywała więc Tarika jako samotna matka.

Kiedy chłopiec miał cztery lata, Sarra spotkała Neila. Po pewnym czasie postanowili się pobrać. Powiedziała mi, że poczuła wielką ulgę, gdy poznała mężczyznę, który był gotowy zaopiekować się jej pierworodnym synem jak swoim własnym dzieckiem. Pokiwałam życzliwie głową. Podobnie było ze mną, kiedy wyszłam za mąż za Mahmuda i zobaczyłam, jak dobrze odnosi się do Marlona, mojego pierwszego syna. Neil oficjalnie zaadoptował Tarika, po czym chłopiec został ochrzczony. Sarra i Neil mieli później jeszcze troje dzieci w niewielkim odstępie czasu.

Gdy Tarik - TT, jak nazywała go Sarra - skończył siedem lat, postanowiła po raz kolejny nawiązać kontakt z Raszidem. Uważała, że chłopiec dorasta i może zechce poznać swego biologicznego ojca. Miał ciemniejszą karnację niż trójka jego rodzeństwa i czarne włosy. Było oczywiste, że ma innego ojca. Sarra sądziła, że nawiązanie kontaktu z pewnością zaowocowałoby długotrwałą więzią syna z ojcem.

74

Ku jej zdziwieniu, tym razem Raszid odpisał. Zwrócił się do niej z prośbą, by przeprowadziła test w celu udowodnienia ponad wszelką wątpliwość jego ojcostwa. Wielu zamożnych mężczyzn uważa, że świat jest pełen kobiet, które wytaczają procesy o uznanie ojcostwa, aby zagarnąć ich majątek. Zdarzyło\* się to nawet w

przypadku Liz Hurley, kiedy miała syna z amerykańskim milionerem Stevem Bingiem. Jeżeli mężczyźni nie mogą zaufać bogatej kobiecie, takiej jak Liz Hurley, dowodzi to, jak bardzo potrafią być podejrzliwi. Sarra poczuła się znieważona, ale postanowiła spełnić jego życzenie, chcąc ostatecznie rozstrzygnąć sprawę. Oczywiście, testy okazały się pozytywne, na skutek czego w postawie Raszida nastąpiła nagle wielka zmiana. W tym czasie miał już dzieci pochodzące z legalnego związku. Być może z tej przyczyny traktował ojcowskie obowiązki bardziej poważnie. Przyjechał do Wielkiej Brytanii kilka razy, by spotkać się z Fotheringhami i swoim synem, a następnie przedstawił całej rodzinie pewną ofertę. Zaproponował mianowicie, że opłaci wszystkim członkom rodziny podróż do Dubaju, zapewni im dom, w którym będą mogli mieszkać i poniesie koszty kształcenia wszystkich dzieci, nie tylko Tarika. Jedynym problemem była praca Neila. Raszid pomyślał również o tym. Neil miał zostać zatrudniony jako instruktor w siłowni w jednym z hoteli, które należały do rodziny Raszida. Po rozważeniu oferty, rodzina Fotheringhamów wyraziła zgodę.

Początkowo życie expatriantów wszystkim odpowiadało. Dubaj jest krajem bardzo bogatym, toteż ludzie, którym dobrze się powodzi, prowadzą tam komfortowe życie. Po pewnym czasie jednak Fotheringhamów zmęczył zwrotnikowy klimat tego pustynnego kraju i zaczęli tęsknić za domem. Sarra powiedziała, że nawarstwiło się mnóstwo problemów: dom był dla nich za mały, rzadko widywali TT, który spędzał większość swego wolnego czasu w domu ojca, a Neilowi nie podobała się nowa praca. Po kilku miesiącach spędzonych w Dubaju postanowili wrócić. Poinformowała Raszida o podjętej przez nich decyzji. Ten zaś odrzekł, że to ich decyzja, ale jeżeli wrócą do Anglii, to bez jego syna. Sarra nie mogła uwierzyć własnym uszom. Będąc przekonana, że prawo jest po jej stronie, udała się do brytyjskiej ambasady, by prosić o pomoc. Spotkał ją tam kolejny cios.

- Poinformowano mnie, że placówka nie może nic w tej sprawie zrobić - opowiadała Sarra, a jej oczy napęłniły się łzami na myśl o niesprawiedliwości losu. -

Uwzględniając, że TT pojechał do Dubaju z własnej, nieprzymuszonej woli, Raszid nie łamał żadnego prawa. W tym

75

wypadku, jak orzekły służby konsularne, sąd potwierdzi prawo ojca do pozostania ze swym synem.

Ze złamanym sercem wrócili do Wielkiej Brytanii i skierowali sprawę do sądu.

Początkowo dodała im otuchy wygrana sprawa w Sądzie Najwyższym, który przyznał im opiekę nad dzieckiem. Raszid wniósł jednak apelację od wyroku. Sąd apelacyjny uznał w tej sprawie kompetencję sądów w Dubaju. Neil, jako przybrany ojciec, nie miał żadnych praw - Dubaj nie uznaje adopcji za prawnie wiążącą.

Teraz Sarra zorientowała się, jak potężna była rodzina Al-Habtur. Raszid stał na jej czele i miał ogromne wpływy. Wiadomo było, że grywał w polo z księciem Karolem, zaś księcia Michała z Kentu i Omara Szarifa uważał za swoich przyjaciół.

Przedsiębiorstwo handlowe, które posiadała jego rodzina, stanowiło potężny konglomerat, na który składały się hotel, wydawnictwo, przemysł maszynowy i lokaty kapitałowe. Byli też blisko związani z rodziną Al-Maktum, panującą w Abu Żabi. Sarra nie mogła wybrać bardziej potężnego wroga, nawet gdyby wyjątkowo się



starala.

Sprawa wyglądała beznadziejnie. Żaden sąd w Dubaju nie przyznałby jej opieki nad Tarikiem, mając przeciwko sobie taką rodzinę. Płakała, mówiąc mi, że była ograniczana do jednego kontaktu telefonicznego na tydzień. Obawiała się, że jeżeli nie będzie działać szybko, straci syna na zawsze, zwłaszcza gdy przyjmie on wiarę muzułmańską i przyswoi sobie arabską kulturę.

Zapytałam ją, co TT myślał o sytuacji, w jakiej się znalazł. Powiedziała, że ilekroć z nim rozmawiała, zalewał się łzami, pytając ją, kiedy będzie mógł wrócić do domu. Współczułam jej. Widziałam tego typu przypadki aż nazbyt często i zdawałam sobie sprawę, jak podobne sytuacje rozbijają rodziny. Czułam się zdeterminowana, by pomóc tej biednej kobiecie, wykorzystując każdy możliwy sposób.

Martwiło mnie, że w swoich e-mailach do matki TT wspominał o mężczyźnie imieniem Adil, który został zatrudniony w charakterze ochroniarza, z zadaniem strzeżenia go przed próbą porwania. Musiałyśmy zatem planować je bardzo ostrożnie.

Studiowałam mapy regionu, obmyślając, w jaki sposób możemy to zrobić.

Zakładając, że udałoby się nam dotrzeć do chłopca, co już stanowiło ryzyko, biorąc pod uwagę ochroniarza, najlepiej byłoby dojechać potem do Port Raszid w Dubaju. Stamtąd popłynęlibyśmy promem do Umm Kasr, portu w Iraku. Podróżowałabym z Tarikiem sama, posługując się paszportem Marlona, i zorganizowałabym pomoc jakiegoś mężczyzny, który dołączyłby do nas w Umm Kasr. Wyglądalibyśmy jak normalna rodzina

76

i nie wzbudzalibyśmy żadnych podejrzeń. Moglibyśmy w ten sposób przebyć terytorium Iraku, dotrzeć do Jordanii i z lotniska w Ammanie polecieć do Wielkiej Brytanii - droga ta była mi bardzo dobrze znana.

Plan miał dwa atuty. Rodzina Al-Habtur spodziewałaby się, że polecimy bezpośrednio z ich kraju, toteż zleciłaby wzmożoną kontrolę na lotniskach. Miałam wątpliwości, czy tym bogatym ludziom przyszłoby do głowy, że ktoś posłuży się tak popularnym środkiem transportu, jakim jest prom. Kolejną zaletą planu była obecność Sarry, na którą zwracano by szczególną uwagę. Śledzono by każdy jej krok, co odwróciłoby uwagę od naszych rzeczywistych działań.

Przedstawiłam mój plan Sarze i jej mężowi. Wydawali się zadowoleni. Właściwie należałoby powiedzieć, że na zadowoloną wyglądała Sarra. Neil nie sprawiał na mnie wrażenia osoby szczególnie bystrej, zwłaszcza jak na policjanta. Nie mogłam sobie wyobrazić, że potrafiłby zatrzymać kogoś za przekroczenie szybkości, nie mówiąc już o uwolnieniu dziecka. Zgadzał się ze wszystkim, co postanowiła żona.

W lutym 2002 roku byliśmy gotowe do działania. Neil odwiózł nas na Heathrow i wsiadłyśmy na pokład samolotu lecącego do Abu Żabi. Zdawałam sobie sprawę, że rodzina Al-Habtur była tak bogata, że mogła wynająć ludzi, którzy mieliby za zadanie przeglądanie list pasażerów przylatujących do Dubaju, aby sprawdzić, czy nie ma na nich nazwiska Sarry. Gdyby zostali postawieni w stan pogotowia na wiadomość, że znajdujemy się w ich kraju, nasza misja zostałaby udaremniona, zanim w ogóle zdołałybyśmy ją rozpocząć.

Wypożyczyłyśmy samochód w Abu Żabi i pojechałyśmy na północ, do Dubaju.

Zameldowałyśmy się w Hiltonie pod fałszywymi nazwiskami i bezzwłocznie przystąpiłyśmy do realizacji opracowanego planu. Wyjaśniłam Sarze, że będziemy się posługiwać tymi samymi metodami, jakie stosowałam podczas poprzednich tajnych misji. Miałyśmy przez kilka dni obserwować dom, w którym mieszkał TT, i starać się zorientować w codziennym rozkładzie dnia, czekając na najlepszy moment, by przeprowadzić dalszą część naszego planu.

Następnego dnia Sarra zawiozła mnie w pobliże dużego, wygodnego domu, w którym mieszkał jej syn. Po drugiej stronie drogi wznosiła się znacznie bardziej okazała rezydencja.

- To właśnie tutaj mieszka ojciec Raszida - powiedziała.

Było jasne, że rodzina Al-Habtur należała do bardzo zamożnych, zaś kilka dni obserwacji potwierdziło to przypuszczenie. Armia służących -kierowców, pokojówek i Bóg wie, kogo jeszcze - przychodziła i wychodziła,

77

ale nigdy nie dojrzałyśmy nawet śladu obecności TT. Wyglądało na to, że był dobrze chroniony. Musiałyśmy próbować znaleźć jakiś słaby punkt.

Wiedziałyśmy, że chłopiec uczęszcza do Międzynarodowej Szkoły Emiratów.

Należało zatem sprawdzić, czy istnieje jakakolwiek szansa porwania go stamtąd.

- Pojedziemy tam - oświadczyłam. - Ty zostaniesz w samochodzie, a ja wejdę do środka i będę udawać, że niedawno przyjechałam do Du-baju. Zgłoszę swoje zainteresowanie zapisaniem mego syna do szkoły. W ten sposób będę mogła dopracować plan uprowadzenia Tarika.

Sarra nie wyglądała na przekonaną, ale uspokoiliłam ją, mówiąc:

- Nie martw się, robiłam to już wiele razy. Wszystko będzie w porządku.

Następnego ranka pojechałyśmy do szkoły i zaparkowałyśmy samochód w niewielkiej odległości od budynku. Udałam się tam, zwracając szczególną uwagę na stojących przy bramie strażników. Pokazano mi drogę do biura. Wyjaśniłam, że właśnie przeniosłam się z Jordanii do Du-baju i szukam odpowiedniej szkoły dla syna, który ma jedenaście lat. Zapytałam, czy byliby skłonni oprowadzić mnie po budynku szkolnym i terenach rekreacyjnych wokół niego. Chętnie na to przystali - pokazali mi nawet klasę, do której miałyby się ewentualnie przyłączyć mój syn.

Rozejrzałam się po sali, przypuszczając, że jest w niej Tarik, ale nie mogłam go dojrzeć wśród uczniów. Wszystkie twarze wyglądały podobnie, dzieci miały taki sam kolor włosów i zbliżoną karnację.

Przedstawicielom szkolnej administracji, którzy po zakończeniu mojej wizyty odprowadzili mnie do wyjścia, podziękowałam za poświęcony mi czas. Oprócz strażników przy bramie innych środków bezpieczeństwa raczej nie stosowano. A zatem, byłoby to najlepsze miejsce do przeprowadzenia naszego planu. Powiedziałam o tym Sarze. Postanowiłyśmy wrócić tu następnego dnia z zamiarem dokonania operacji „uwolnienia”.

Tak się też stało. Wybrałyśmy porę, kiedy dzieci zaczęły zjeżdżać się do szkoły. Podobnie jak inni podjechałyśmy pod bramę samochodem, nie zwracając na siebie uwagi. Lustrując uważnie podjeżdżające samochody, wśród niezliczonej gromady uczniów wypatrywałyśmy Tarika. Nasze tradycyjne stroje i zasłony na twarzach powodowały, że nie wyróżniałyśmy się w tłumie. Lekcje już wkrótce miały się

zacząć, a chłopca wciąż nie było. Szybkim krokiem weszliśmy do szkoły, udając się wprost do klasy, którą odwiedziłam wcześniej, ale znajdowało się tam niewiele dzieci. TT wśród nich nie było.

78

Zaczynała nas ogarniać desperacja. Wróciliśmy ponownie na szkolny dziedziniec. Teren był podzielony według roczników. Szybko udało nam się znaleźć część przeznaczoną dla chłopców w wieku Tarika. O ogrodzenie opierał się muskularny mężczyzna, mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt. Był ubrany w skórzaną kurtkę i palił papierosa.

- To musi być Adil, ochroniarz - szepnęłam do Sarry. - Powinniśmy działać możliwie jak najszybciej. Czy widzisz gdzie Tarika?

-Nigdzie go nie widzę! - wyszeptała w odpowiedzi. Wodziła oczami nad zasłoną, lustrując morze twarzy na szkolnym dziedzińcu. Na szczęście dla nas, ochroniarz nie wydawał się zwracać na swego podopiecznego bacznej uwagi. Z przyjemnością zaciągał się papierosem. Prawdopodobnie nie przychodziło mu nawet do głowy, że ktoś mógłby mu porwać dziecko sprzed nosa, ze szkoły strzeżonej przez strażników. Nagle Sarra zeszywniała.

- To on - powiedziała ledwo słyszalnym głosem, wskazując na grupę chłopców stojących w głębi dziedzińca.

Spojrzałam na ochroniarza. Na szczęście wciąż był pogrążony w swoich myślach. Kiedy ponownie się obejrzałam, Sarra podbiegła już do chłopców i pochyliła się nad jednym z nich. To musiał być Tarik. Ale cała sprawa wydawała się dosyć dziwna. Podczas poprzednich misji głęboko utkwilo mi w pamięci, że dzieci w chwili rozpoznania swych matek zarzucały im ręce na szyję. Matka i dziecko sprawiali wrażenie wrośniętych w ziemię, nie mogli się rozłączyć. Za każdym razem byłam zmuszona przypominać im, że czas ruszać w drogę. Tymczasem Tarik wydawał się nie reagować na widok matki. Podeszłam do nich i usłyszałam, jak Sarra próbowała go do czegoś przekonać. Mówiła mu, że powinien z nią pójść, ale on uparcie odmawiał.

- Nie mogę, mamusiu, tak powiedział mi tatuś. Nie wolno mi. Sarra zaoponowała, argumentując, że jest jego matką, więc on zawsze może z nią pójść, ilekroć wyrazi takie życzenie. Chłopiec nie chciał jednak ruszyć się z miejsca.

- Nie wolno mi nigdzie chodzić bez Adila - oznajmił. Rozglądał się wokół nerwowo i raz po raz rzucał okiem na ochroniarza, który wciąż nie patrzył w naszą stronę. Miałyśmy zaledwie dwie minuty, zanim rozlegnie się dźwięk dzwonka i dziedziniec się wyludni, wystawiając nas bezlitośnie na widok publiczny.

- Sarra - zasyczałam. - Musimy natychmiast odjechać.

Obie wzięłyśmy chłopca za ręce, pośpiesznie prowadząc go do samochodu. Ponieważ wyraźnie się opierał, praktycznie unosiłyśmy Tarika,

79

po czym wepchnęłyśmy go na tylne siedzenie. Szybko wsiadłyśmy, Sar-ra wrzuciła bieg i ruszyła w stronę bramy. Na nieszczęście inne samochody próbowały odjechać w tym samym czasie, toteż musiałyśmy się włączyć do kolejki, z wolna posuwając się do przodu. Wstrzymywałam oddech, spodziewając się w każdej chwili dźwięku

alarmu i biegnącego ku nam ochroniarza. Kiedy przejeżdżałyśmy przez bramę, pochyliłam Ta-rika i przykryłam go bluzką, która leżała na tylnym siedzeniu. Strażnicy ledwie na nas spojrzeli. Niebawem wyjechałyśmy na główną drogę. Udało nam się!

Oddalając się od szkoły, mogłyśmy wreszcie odetchnąć. Trzeba było podsumować naszą sytuację. TT był bardzo nieszczęśliwy i wciąż powtarzał, że powinien wrócić do domu. Sarra nie chciała nawet tego słuchać, mówiąc mu, że poleci z nią do Anglii. Zapewniała go, że będzie mu miło zobaczyć dziadka i rodzeństwo, ale jej wyjaśnienia nie rozwiały jego niepokoju. Wyglądał na przestraszonego i czuł się nieswojo, siedząc z nami w samochodzie.

Sarra podała mi swój telefon komórkowy i poprosiła, żebym zadzwoniła do jej ojca. - Słuchaj, TT - powiedziała wesoło - czy nie chciałbyś zamienić paru słów ze swoim dziadkiem? Bardzo by się ucieszył, gdyby cię usłyszał...

Chłopiec odbył z dziadkiem krótką rozmowę, ale szczerze mówiąc nie odniosłam wrażenia, by poprawiło mu to nastrój. Usiadł nadąsany na tylnym siedzeniu, a następnie poprosił o swoją grę, którą Sarra przezornie wzięła ze sobą, pragnąc dodać mu otuchy. Gra wkrótce go pochłonęła, co dało nam czas na zastanowienie się nad sytuacją.

Czułam się wyjątkowo niekomfortowo na myśl o tym, co zrobiłam. Zazwyczaj, kiedy przeprowadzałam podobne akcje uwolnienia, dzieci na widok dawno nie oglądanych matek reagowały spontanicznie wielką radością. Wpadały po prostu w ich ramiona i robiły to, co im sugerowano, bez zadawania zbędnych pytań. Byłam zaskoczona widocznym brakiem serdeczności pomiędzy Sarra a Tarikiem. Przekonywała mnie, że syn czuł się w Dubaju bardzo nieszczęśliwy, tymczasem prawda wydawała się zupełnie inna. Ujawniał niezadowolenie od pierwszych chwil, kiedy został zabrany ze szkoły i spod opieki swego ochroniarza. Wydawał się ogromnie zmartwiony tym, co powie jego tata.

Fakt, że musiałyśmy obchodzić się z nim obcesowo, wpychając go siłą do samochodu, niepokoił mnie. Czułam, jakbyśmy zabierały chłopca wbrew jego woli. Od czasu do czasu gazety opisywały mnie jako „zawodową porywaczkę”, z czym nigdy się nie zgadzałam. Uważam się za

80

osobę, która jedynie umożliwia matkom odzyskanie utraconych dzieci wówczas, kiedy zostały siłą od nich zabrane, wbrew swojej woli. Tym razem czyn, którego właśnie dokonaliśmy, bardziej jednak przypominał porwanie. Stąd rodził się mój niepokój.

Było zdecydowanie za "późno na tego typu rozterki. Miałyśmy dziecko na tylnym siedzeniu samochodu i nie ulegało wątpliwości, że tutejsze władze zakwalifikują nasze działanie jako czyn karalny, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę potęgę i wpływy rodziny Al-Habtur. Prom do Iraku z Port Raszid miał odpłynąć dopiero po południu. Zaczynałam się coraz bardziej denerwować na myśl, że będę musiała tak długo czekać -byłoby to ryzykowne szczególnie w wypadku, gdyby został wszczęty alarm i władze rozpoczęłyby poszukiwania.

Zadzwoniłam do Mahmuda po radę.

- Myślę, że nie powinnyśmy się tu kręcić, czekając na prom - powiedziałam mu. -

Może lepiej byłoby udać się do Kataru i stamtąd do Iraku. Przynajmniej miałabym wrażenie posuwania się do przodu.

Mahmud zwrócił mi uwagę, że chcąc dojechać do Kataru, najpierw będziemy musiały przemierzyć terytorium Arabii Saudyjskiej. Tak nagła zmiana planów niosła ze sobą pewne niebezpieczeństwo, ale nie widziałam innej możliwości. Nie mogłybyśmy kręcić się wokół Port Raszid przez kilka godzin z opierającym się dzieckiem, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Czułam, że byłoby to zbyt duże ryzyko.

Podzieliłam się z Sarra moimi przemyśleniami. Postanowiłyśmy pojechać do Iraku wzdłuż drogi nadmorskiej przez Katar. W ten sposób będziemy przynajmniej w drodze, co oznaczało krok do przodu. Udałyśmy się do Hiltona, aby zabrać bagaże i opłacić rachunek. Następnie wróciłyśmy na pustynną autostradę, zmierzając do granicy saudyjskiej. Tarik przestał się odzywać, bawiąc się swoją grą i patrząc przez okno. Coś niedobrego wisiało w powietrzu.

Zrobiłyśmy przerwę na toaletę tuż przed kontrolą graniczną. Zauważyłam kierowcę ciężarówki, który siedział w cieniu i odpoczywał. Podeszłam do niego i zaczęłam swobodną rozmowę.

- Dzień dobry - odezwałam się po arabsku. - Ile czasu będziemy jechać stąd do Kataru?

Kierowca spojrzał na nasz samochód, w którym Sarra rozprostowywała nogi.

Ponieważ nie widział w pobliżu nikogo oprócz niej, zrobił zdziwioną minę i zapytał:

- A gdzie jest wasz kierowca? Roześmiałam się jak idiotka i powiedziałam:

81

- To ona.

Potrząsnął głową, jakby rozmawiał z jakimś głupkiem, co - patrząc z perspektywy czasu - okazało się prawdą.

- Kobiety nie mogą prowadzić samochodu w Arabii Saudyjskiej. Zostaniecie zatrzymane przez policję. Czy macie wize do Kataru?

Oczywiście nie miałyśmy. Nie uwzględniliśmy tej trasy w swoich planach, toteż nie dysponowałyśmy niezbędnymi dokumentami. Powiedziałam mu o tym wszystkim, żywiąc płonną nadzieję, że ten przypadkowo spotkany nieznajomy wymyśli jakieś rozwiązanie ratujące nas z opresji. Oczywiście nie mógł tego zrobić. Jeszcze raz pokręcił tylko głową.

- No cóż, jeżeli nie macie dokumentów, które pozwoliłyby wam wjechać na terytorium Kataru, zostaniecie zatrzymane. Wprawdzie możecie komuś zapłacić, by został kierowcą waszego samochodu na terytorium Arabii Saudyjskiej, jednak zawrócą was przy następnej granicy.

Odwrócił wzrok i ponownie zaciągnął się papierosem, myśląc z pewnością, jakie jesteśmy niemądre.

Wróciłam do samochodu, żeby przekazać Sarze złe wieści.

- Nie mamy zatem innego wyjścia - stwierdziła. - Musimy wrócić do Port Raszid i trzymać się pierwotnego planu.

Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy rzeczywiście nie ma pojęcia o powadze naszej sytuacji, czy też jest po prostu jedną z niepoprawnych optymistek, które zawsze zdecydowane są robić dobrą minę do złej gry. Zapewne jedno i drugie.

Jechałyśmy z powrotem przez pustynię Abu Żabi do Dubaju i Port Raszid. Kiedy dotarłyśmy do portu, starałam się zorientować, czy dzieje się tam coś niezwykłego, na przykład blokada drogowa lub jakaś oczywista akcja policji, ale nic szczególnego nie zauważyłam. Niewykluczone, że wszystko układało się dla nas pomyślnie. Alarm nie został jeszcze wszczęty; w szkole mogli myśleć, że Tarik po prostu zachorował. Być może nie odkryją prawdy do czasu, gdy lekcje dobiegną końca i ochroniarz Adil zostanie posłany po chłopca. Trochę podniosło mnie to na duchu. Nie wszystko było stracone.

Postanowiłam, że pojedziemy do kasy biletowej w porcie. Prom miał odpłynąć za niecałą godzinę, toteż przynajmniej nie musiałyśmy się tu zbyt długo kręcić.

Wysiadłam z samochodu i poprosiłam Sarre, by powoli okrążyła budynek i zabrała mnie stąd za dziesięć minut. Weszłam do środka i kupiłam dwa bilety pierwszej klasy na prom. Nie chciałam, żeby Tarik narzekał na warunki na pokładzie.

Prawdopodobnie nie był przyzwyczajony do podróżowania klasą turystyczną.

82

Z biletami w torebce wyszłam na zewnątrz i czekałam przy drodze. Zobaczyłam nadjeżdżającą Sarre, która zatrzymała się obok mnie. Kiedy otwierałam drzwi, aby usiąść na tylnym siedzeniu, poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłam się i zobaczyłam grupę mężczyzn w tradycyjnych arabskich strojach. Jeden z nich pokazał nam dokumenty potwierdzające, że są agentami tajnej policji. Od tej chwili byliśmy aresztowani.

A więc stało się! W końcu zostałam złapana. Dotąd szczęście mi sprzyjało, ale teraz los chciał inaczej. Byłam naprawdę przerażona. W jednej chwili przypomniałam sobie towarzyszące mi od pewnego czasu złe przecucia i wątpliwości. Fakt, że Tarik stawiał taki opór przed pójściem z nami, wydawał się wskazywać, że zostaniemy oskarżone o porwanie. Prośba o łagodny wymiar kary, którą sąd mógł przyjąć od błędzającej, ale jednak kochającej matki, nie miała zastosowania w tej sprawie.

Porwałyśmy chłopca, korzystając z chwili nieuwagi jego ochroniarza, mimo że dziecko błagało nas, by tego nie robić, ponieważ chciało wrócić do swego ojca.

Policjanci z ponurymi minami eskortowali nas do budynku policji znajdującego się w porcie. Zostałyśmy wprowadzone do jednego z pomieszczeń, kazano nam usiąść i czekać. Umundurowani policjanci na posterunku byli dla nas mili i proponowali herbatę, jednak tajni agenci, którzy nas aresztowali, zachowywali kamienny wyraz twarzy. Sprawy wyglądały nieciekawie. Pozwolono mi zabrać z samochodu moją torbę na ramię. Fakt, że jej nie przeszukali, był pewną oznaką miłosierdzia. Wewnątrz znajdowały się nasze mapy z zaznaczonymi ewentualnymi drogami ucieczki, co stanowiłoby niezbity dowód, że starannie zaplanowałyśmy całą operację porwania.

Wciąż czekaliśmy na kogoś, chociaż nie chcieli nam powiedzieć, na kogo. Wkrótce miało się okazać, że chodziło o Raszida Al-Habtura i jego ojca. Obaj mieli na sobie arabskie stroje. Policjanci traktowali ich z ogromnym szacunkiem, co wyraźnie rzucało się w oczy. Niestety, potwierdziły się moje poprzednie przypuszczenia: istotnie byli tak potężni i wpływowi, jak się tego obawiałam. Raszid chciał od razu zabrać Tari-ka, ale oficer policji nadzorujący sprawę zwrócił mu uwagę, że najpierw musi zostać rozstrzygnięta kwestia, komu zostanie powierzona opieka nad dzieckiem.

Zgodnie z decyzją sądu apelacyjnego pełną jurysdykcję w tej sprawie miały sądy

pierwszej instancji w Dubaju. Sarra tymczasem uważała, że to ona ma prawo do opieki nad dzieckiem. Ponieważ jednak przywiozła Tarika do Dubaju legalnie i z własnej woli, to Dubaj stał

83

się jego miejscem zamieszkania, a tutejsze prawo stało po stronie Raszi-da.

Ustalenie, że to on jako biologiczny ojciec ma prawo do opieki nad dzieckiem, nie zajęło im wiele czasu.

Zostałyśmy zabrane w konwoju policyjnych samochodów i w błyskach świetlnych sygnałów na główny posterunek policji. Przesłuchiwano na przemian Sarrę i mnie. Zanim nas rozdzielono, pośpiesznie wymieniłyśmy szeptem kilka zdań. Ustaliłyśmy, że przedstawimy następującą wersję wydarzeń: Sarra przyjechała do Dubaju, żeby zobaczyć swego syna, ale gdy tylko ujrzała Tarika, emocje wzięły górę nad rozsądkiem, złapała go w ramiona i już nie chciała nikomu oddać. Taka wersja wyglądałaby raczej na spontaniczny akt powodowany miłością niż chłodno wykalkulowany plan.

Policjanci okazali się stanowczy, ale sprawiedliwi. Od czasu do czasu robili przerwę i pozwalali nam czegoś się napić. Nie mam żadnych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki byśmy traktowane. W pewnym momencie, kiedy przesłuchujący mnie policjant wyszedł z pokoju, natychmiast wykorzystałam możliwość, by pośpiesznie wyjąć z torebki wszystkie mapy oraz papiery i upchnąć je w niewidocznym miejscu za jego biurkiem, pozbywając się wszelkich obciążających dowodów.

W końcu, po kilku godzinach przesłuchania, decyzje zostały podjęte. Tarik mógł wrócić do domu ze swoim ojcem. Nasza przyszłość rysowała się jednak znacznie bardziej ponuro. Sarra miała zostać oskarżona

o porwanie, ja zaś o współudział.

Wydałam z siebie cichy jęk, a moje oczy wypełniły się łzami. Cała charakterystyczna dla mnie brawura gdzieś zniknęła. Jak mogłam być taka głupia i dać się wciągnąć w tę mętłą sprawę? Moja tendencja do skakania głową na głęboką wodę ściągnęła teraz na mnie spore kłopoty. Gdybym logicznie i starannie przemyślała całą sprawę, doszłabym do wniosku, że różni się ona zasadniczo od przypadków, nad którymi pracowałam w przeszłości. Zazwyczaj to ojciec porwał z Wielkiej Brytanii dziecko, które próbowałam uwolnić. Gdyby mnie na tym złapano, byłabym w lepszej sytuacji. Mogłabym powiedzieć, że to on był porywaczem. W myśl obowiązującego w Wielkiej Brytanii prawa, wywożąc swoje dziecko bez zgody matki, ojciec popełnia poważne przestępstwo

i dziecko musi zostać zwrócone matce.

Ta sprawa była zupełnie inna. Fotheringhamowie nie tylko zabrali Tarika do Dubaju z własnej woli, ale zrobili to, ponieważ mieli finansową motywację - dom za darmo, zapewnione staranne wykształcenie dla dzieci, a także pracę dla Neila. Ponadto orzeczenie sądu, zarówno w Wiel-

84

kiej Brytanii jak i w Dubaju, było korzystne dla Raszida. Obie podjęłyśmy zupełnie niezgodnie z prawem działania. Byłam przerażona i pozostawiona samej sobie. Kiedy będzie mi dane znów zobaczyć własne, ukochane dzieci?

Zaprowadzono nas nałół do cel i zabrano należące do nas rzeczy oraz biżuterię. W

celi panowały spartańskie warunki, ale przynajmniej była czysta. Po chwili pozwolono mi ją opuścić i skorzystać z telefonu. Zadzwoiłam do domu i powiedziałam Mahmudowi, co się wydarzyło. Jego głos wydawał się smutny i odległy. Poprosiłam, żeby zajmował się dziećmi i nie tracił wiary. Kiedy wróciłam do celi, położyłam się na materacu, rozmyślając o dzieciach. Powinnam być teraz z nimi, przytulać je i układać do snu. Zamiast tego siedziałam zamknięta w ponurej celi, o tysiące kilometrów od nich. Znalazłam się w największych tarapatach, w jakich kiedykolwiek byłam. Długo płakałam, aż w końcu udało mi się usnąć. Później okazało się, że jeszcze nie raz będę musiała stawić czoło tak trudnym sytuacjom. Następnego dnia zostałyśmy przeniesione do innych cel. Była tam cała grupa kobiet różnych narodowości, wśród nich wiele ze Wschodniej Europy, które trafiły do aresztu oskarżone o prostytutkę. Wszystkie zachowywały się bardzo przyjacielsko. Pomyślałam wówczas, że łatwo osądzamy innych z perspektywy naszego wygodnego, bezpiecznego życia. Kiedy jednak sami popadamy w trudne sytuacje, potrafimy docenić przyjazny gest ze strony każdego człowieka. Spotkałam Angielkę, Vicky Clarke, która znalazła się w więzieniu za styczność z narkotykami. Była uroczą osobą i cieszyłam się, że mam kogoś, z kim można porozmawiać oprócz Sarry, która zaczynała mnie denerwować. Z uporem powtarzała niemądre opinie. Wierzyła na przykład, że kiedy brytyjska prasa zdobędzie informację o naszych kłopotach, w ciągu kilku godzin zostaniemy uwolnione, oraz że Neil wszystko rozwiąże. Przeniosła się w świat fantazji, nie dopuszczając do świadomości, co rzeczywiście z nami się dzieje.

Vicky wyjaśniła, że przebywa w areszcie śledczym, oczekując na spotkanie z prokuratorem. Trwało to już cztery miesiące - odnosiłam wrażenie, że wymiar sprawiedliwości działa w Dubaju bardzo wolno. Poradziła mi, którego prokuratora należy unikać, gdyż jest prawdziwym sadystą. Najchętniej skazałby wszystkich na karę chłosty i śmierć przez powieszenie, i bynajmniej nie należał do wyjątków. Jej słowa potwierdziło kilka przysłuchujących się rozmowie kobiet, które mówiły po angielsku. Dorzuciły swoje opinie, zgadzając się z oceną Vicky. Zaczęłam

85

się zastanawiać, kiedy opuszczę mury więzienia, i rozmyślania te wprawiły mnie w depresję. Naprawdę byłam przekonana, że może to trwać całe lata. W końcu zgaszono światła i udało mi się zapaść w głęboki sen.

Następnego ranka Sarra została wezwana na spotkanie z przedstawicielem brytyjskiej ambasady. Nie było jej przeszło godzinę, a ja z niepokojem czekałam na dole. Czy przekaże mi jakieś dobre wiadomości? Wróciła sprężystym krokiem, pełna optymizmu. Mimo, że przedtem mnie irytowała, teraz udzielił mi się jej dobry nastrój.

Przyszła moja kolej. Odprowadzono mnie do sali, w której odbywały się spotkania. Zostałam przedstawiona kobiecie imieniem Suzanne. Zastałam tam również tęgiego, wesołego mężczyznę z brodą. Przedstawił się jako szef organizacji zajmującej się obroną praw człowieka. Suzanne zapytała, czy czegoś potrzebuję, a ja poprosiłam o kilka podstawowych rzeczy, takich jak pasta do zębów i ręcznik. Chciałam również, by powiadomiła moją rodzinę, że wszystko jest ze mną w porządku.

Powiedziała mi, że nasza historia została opisana w angielskich gazetach, co mogło



mieć negatywne reperkusje. Gdyby Neil nie chlapał językiem o naszej wyprawie do Dubaju, która miała na celu sprowadzenie Tarika do domu, sprawa nie przedostałaby się do prasy. Żaden kraj nie lubi, kiedy inni dyktują mu, co ma robić. Obawiałam się, że negatywne relacje prasowe mogą sprowokować władze w Dubaju do udowodnienia, że osoby, które dopuszczają się tu podobnych czynów, mogą zostać surowo ukarane.

Wyjaśniono mi, że nie możemy uniknąć wniesienia aktu oskarżenia, co mogło się zakończyć wyrokiem trzech lat więzienia. Poczułam się tym bardzo przygnębiona i jak dziecko powtórzyłam:

- Ale Sarra mówiła, że wszystko będzie w porządku. Suzanne z rozpaczą potrząsnęła głową.

- Nie wiem, co kazało jej myśleć w ten sposób. Niektórzy ludzie słyszą tylko to, co chcą usłyszeć.

Podziękowałam im za poświęcenie mi czasu, po czym zabrano mnie z powrotem do celi.

Jeszcze tego popołudnia dużą grupę więźniarek przetransportowano do głównego kobiecego więzienia, oddalonego o kilka godzin jazdy, w pozbawionej okien furgonetce. Poczułam ulgę, widząc obok nas Vi-cy. Policjanci, jak zawsze, byli bardzo mili. Pocieszali nas, mówiąc, że nie mamy się czym martwić. W więzieniu, do którego jechałyśmy, panowały dobre warunki, a nawet był ogród. Zapewniali, że będą się tam o nas troszczyć.

86

Kiedy jednak dotarliśmy na miejsce, okazało się, że więzienie wygląda jak każde inne - było ogromne i złowrogie. Zupełnie upadłam na duchu. Po przyjeździe przedstawiono nas kobiecie, która pełniła funkcję naczelnika więzienia. Okazała się osobą bardzo sympatyczną. Na samym wstępie stwierdziła, że jest jej przykro, iż się tu znalazłyśmy. Sądziła, że nikogo nie powinno się aresztować za próbę doprowadzenia do spotkania i ponownego połączenia matki z synem. Nie wątpiłam w szczerść jej słów. Sarra i ja zostałyśmy umieszczone w celi z Vicky i pewną Filipinką. Przy każdej ścianie stały dwie piętrowe prycze, ale nie było żadnych koców ani poduszek. Podczas pobytu w więzieniu najtrudniej było znieść monotonię. Przebywałyśmy w naszych celach niemal przez cały dzień, zabierano nas tylko do stołówki na posiłek. Było to przygnębiające doświadczenie. W pomieszczeniu brakowało naturalnego światła, a jedzenie miało paskudny smak. Niezmiennie serwowano jakiś rodzaj mięsa duszonego z jarzynami. Nawet gdybym chciała coś zjeść, nie dawano nam sztućców, a ja nie potrafiłam się zmusić, aby jeść rękami, tak jak robiły to inne kobiety.

Z wielkimi oporami korzystałam z toalet, które były bardzo brudne. Martwiłam się, że mogę coś złapać od jednej z prostytutek. Pozwalano nam jednak raz dziennie korzystać z prysznica. Po kilku dniach zabrano mnie i Sarrę do prokuratora. Założono nam kajdanki i załadowano do furgonetki. W drodze do sądu zatrzymaliśmy się przy posterunku policji, na który odstawiono nas zaraz po zatrzymaniu, prawdopodobnie w celu zabrania większej liczby więźniów.

Pod wpływem impulsu poprosiłam o spotkanie z mężczyzną z brodą, szefem organizacji zajmującej się prawami człowieka, z którym rozmawiałam już wcześniej.

Ku memu zdziwieniu wyrażono na to zgodę. Zostałam odprowadzona do jego biura, a on zapytał, co może dla mnie zrobić. Wyrzuciłam z siebie całą litanię skarg dotyczącą więzienia, w którym nas trzymano.

- To hańba - powiedziałam. - Te biedne kobiety nie mają koców ani poduszek, pożywienie jest niejadalne, nie ma sztuców, toalety są brudne... Jeżeli nie jest to naruszenie podstawowych praw, doprawdy nie wiem, jak nazwać opisaną przeze mnie sytuację.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się żadnej zadowolającej odpowiedzi, ale uśmiechnął się i powiedział:

- Niech pani zostawi to mnie. Zobaczę, co będę mógł zrobić.

Jego życzliwość, a także uprzejmość naszych więziennych strażników dodały mi otuchy. Zaczęłam żywić nadzieję, że w końcu sprawy nie

87

potoczą się aż tak źle. Po kilku godzinach jazdy, zatrzymując się od czasu do czasu, aby zaczerpnąć trochę orzeźwiającej wody, dotarliśmy do biura prokuratora w Dubaju. Było tam wielu przedstawicieli środków masowego przekazu, łącznie z pracownikami zespołu przygotowującego program Tonight with Trevor McDonald, którzy oczywiście znali Sar-rę z jej wcześniejszego występu w tym programie. Ktoś przynajmniej wykazywał zainteresowanie naszą sprawą, chociaż nie stanowiło to gwarancji szczególnego traktowania. Sarra pierwsza weszła do biura prokuratora, a kiedy stamtąd wyszła, nie miałam żadnej możliwości porozmawiania z nią. Teraz była moja kolej.

Dowiedziałam się, że stanę przed prokuratorem, przed którym mnie ostrzegano.

Wprawdzie nie wyglądał szczególnie groźnie - był mężczyzną drobnej budowy, w okularach ze złotymi oprawkami - ale kiedy zaczął mówić, zrozumiałam, dlaczego wszyscy się go bali. Dosłownie trząśł się ze złości, gdy pytał, jakim prawem ośmieliłyśmy się przyjechać do jego kraju z zamiarem uprowadzenia Tarika i zerwania tym samym więzi łączącej ojca z synem. Uważał, że próbowałyśmy zakpić z obowiązujących tu praw. Za ich naruszenie będziemy musiałyśmy zapłacić.

Wyzaczył datę naszej rozprawy sądowej. Następnie wyraził zgodę na zwolnienie nas za kaucją, pod warunkiem że oddamy paszporty i nie będziemy próbowały opuszczać Dubaju.

Rzucił mi gniewne spojrzenie.

- Jeżeli podejmie pani jakąkolwiek próbę wyjazdu z kraju, wróci pani do więzienia bez możliwości opuszczenia jego murów.

Był tylko jeden szkopuł - oprócz tego, że musiałyśmy oddać paszporty, ktoś musiał za nas poręczyć, oddając również swój paszport.

- Nie martw się - powiedziała Sarra beztrusko. - Poprosiłam o tę przysługę koleżankę. Przyjdzie tu później.

Koleżanka była stewardesą, z którą Sarra pracowała przed laty. Po kilku godzinach stało się jasne, że nie przyjdzie. Z ciężkim sercem wsiadłyśmy do furgonetki, by wrócić na noc do więzienia. Musiałyśmy próbować znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Kiedy ponownie prowadzono nas do cel, inne więźniarki okazywały nam wiele życzliwości. Wiadomość o możliwym zwolnieniu nas za kaucją dotarła już do więzienia, co było dla mnie niespodzianką. Jednocześnie czułam wzruszenie, że te

kobiety tak bardzo się z tego cieszyły. Niedługo przyszli strażnicy więzienni, aby się z nami przywitać. Dowiedziałam się od nich, że więźniarki są zadowolone, ponieważ moja rozmowa z szefem organizacji do spraw przestrzegania

88

praw człowieka przyniosła pozytywne rezultaty. Tego popołudnia przyszła przesyłka z czystymi prześcieradłami, kocami, poduszkami i Bóg wie, czym jeszcze.

Mężczyzna dotrzymał słowa i nawet strażnik wydawał się wdzięczny.

Wróciłyśmy do naszej celi zupełnie wyczerpane. Nawet Sarra, zazwyczaj pełna życia i imponująco wesoła, w obliczu druzgocących przeciwności losu sprawiała wrażenie zmęczonej i wymizerowanej. Próbowалам ją pocieszyć, ale zaczęła płakać. Fakt, że koleżanka nie przyszła ze swoim paszportem jako poręczeniem naszej kaucji, zupełnie ją załamał.

Pomoc miała jednak przyjść z innej strony. Tego wieczoru zostałyśmy wezwane do biura naczelnika. Jeden z członków zespołu pracującego przy produkcji programu Tonight with Trevor McDonald dobrowolnie zaoferował swój paszport w celu poręczenia za nas. Miał na imię Nigel. Miałam ochotę zarzucić mu ręce na szyję. Cynicy powiedzieliby, że chcieli zrobić show z Sarra i czyniąc to, zagwarantowali sobie wyłączność na emisję programu. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Zabrano nas do hotelu Światowego Centrum Handlu w Dubaju, który był wzorem komfortu. Wzięłyśmy prysznic, ubrałyśmy się w świeżą bieliznę, by wreszcie położyć się w wygodnych łózkach na czystych prześcieradłach - to jedno z moich najmiłszych wspomnień. Zadzwońlam do Mahmuda z informacją, że zostałyśmy zwolnione za kaucją.

Zapytałam o dzieci. Niestety Chalid nie czuł się dobrze, ale powoli wracał do zdrowia. Mąż poinformował mnie, że prasa zwariowała na punkcie naszej historii. Dzwonili do niego różni dziennikarze, proponując mu tysiące funtów za opowiedzenie jej ze swojego punktu widzenia. Poprosiłam, żeby pod żadnym pozorem nie mówił nikomu ani słowa. Jeżeli prokurator zacząłby mnie postrzegać jako zawodową porywaczkę, mogłabym trafić do więzienia na kilka lat.

Zgodnie ze swoim przyrzeczeniem Mahmud nadal mnie wspierał. W wywiadzie dla „Sunday Times” przedstawił moją rolę bardziej jako negocjantki niż porywaczki, twierdząc, że „przypominam raczej Matkę Teresę, a nie Jamesa Bonda”. W tym samym wywiadzie oświadczył, że jest pewien, iż władze Dubaju potrafią dostrzec we mnie kogoś, kim naprawdę jestem - „anioła bez skrzydeł”.

Tak więc zostałyśmy w Dubaju, mając prawo poruszać się po kraju, ale bez możliwości powrotu do Wielkiej Brytanii. Kolejne tygodnie wlokły się niemiłosiernie. Ekipa programu Tonight with Trevor McDonald opłaciła Neilowi Fotheringhamowi przelot do Dubaju i zorganizowała spotkanie z Sarra. Wzbudziło to we mnie uczucie silnej niechęci; wszystko

89

było fałszywe i sztuczne. Nigdy szczególnie nie przepadałam za Neilem, a teraz zaczynałam go coraz bardziej nie lubić. Byłam pewna, że zdradził prasie nasze plany. Jedna z gazet opublikowała nawet mapę szlaku naszej ucieczki. Tylko Neil i Mahmud należeli do grona osób, które mogły wyjawic im te szczegóły — ja zaś miałam

niezbitą pewnością, że mój mąż tego nie zrobił. Wciąż budziłam duże zainteresowanie środków masowego przekazu, które chciały kupić ode mnie relację na temat wyprawy do Dubaju. Zdobyte przeze mnie informacje potwierdziły przypuszczenie, że Neil sprzedał swoją wersję naszej historii. Istotnie wyjawiał dziennikarzom fakt, że ucieczka była wcześniej zaplanowana, ale twierdził, iż on sam nic o niej wcześniej nie wiedział. Czułam, że naraża mnie na ryzyko utraty wolności. Mój niepokój nie był bezpodstawny. Kiedy wróciłyśmy przed oblicze prokuratora, ten odmówił zwrotu naszych paszportów. Powiedział, że sprawdzają w Interpolu, czy angażowałam się w tego typu działalność wcześniej.

Tymczasem prawnicy Raszida przygotowywali dokumenty, zgodnie z którymi miał on odstąpić od oskarżeń, gdyby Sarra zgodziła się na przekazanie mu opieki nad dzieckiem. Pomimo rozpaczliwych próśb biednego Nigela, pragnącego za wszelką cenę odzyskać swój paszport, odmówiła.

Następnie Raszid złagodził swoje warunki. Powiedział dziennikarzowi „Evening Standard”: „Dosyć już wtrącania się mediów w naszą sprawę, koniec tego całego dramatu. Jeżeli się zgodzi, mogę przygotować porozumienie dotyczące opieki nad naszym synem w ten sposób, aby widywała go, kiedy tylko zechce. Nie może brać prawa w swoje ręce. Im wcześniej wyrazi zgodę na zamieszkanie chłopca w Dubaju, tym szybciej rozwiąże swoje problemy”. Stało na tym, że gdyby Sarra podpisała klauzulę, w której zobowiąże się nie rozmawiać z prasą, wówczas mogłaby wrócić wkrótce do domu.

Nie było to oczywiście równoznaczne z uzyskaniem pozwolenia na powrót do Wielkiej Brytanii dla mnie. Ktoś musiał być w końcu ukarany dla przykładu. Zdecydowałam odwołać się do najwyższych władz w kraju, szejka Al-Maktuma, władcy Dubaju i Abu Żabi. Napisałyśmy list z wyrazami skruchy z powodu tego, co uczyniłyśmy, obiecując nigdy więcej tak nie postępować. Osobiście motywowałam potrzebę powrotu do domu koniecznością opieki nad chorym dzieckiem i chęcią połączenia się z mężem.

Następnego dnia siedziałyśmy w pobliżu hotelowej recepcji, pijąc kawę z pracownicą firmy prawniczej, kiedy powstał jakiś tumult. Weszło

90

kilku ochroniarzy, za którymi podążała mała grupka mężczyzn. Był to sam szejk Al-Maktum. Otoczyli go kręgiem i odprowadzili do prywatnej sali restauracyjnej, po czym ustawili się przed drzwiami. Chwilę później podeszłam do nich, usilnie prosząc, by pozwolili mi przekazać mój list władcy emiratu, ale odmówili. Poradzono mi złożenie petycji na dworze szejka, to jednak mogłoby zająć wiele czasu. Błagałam ich, ale pozostali nieugięci.

W końcu, zdając sobie sprawę, że dalsze próśby nie odniosą skutku, wróciłam na swoje miejsce przy stoliku, pilnie obserwując wejście do restauracji. Po kilku godzinach drzwi się otworzyły i szejk wyszedł. Zerwałyśmy się na równe nogi, próbując zbliżyć się do niego z listem, ale przed nami natychmiast wyrosli ochroniarze. Szejk powstrzymał ich jednak, pytając, czego chcemy. Powiedziałyśmy o naszym liście.

Wskazał na mężczyznę stojącego obok niego, mówiąc:

- Pan Chalifa się tym zajmie.

Mężczyzna podał nam swój numer telefonu komórkowego i poprosił, by nawiązać z nim kontakt. Zadzwoiliśmy dziesięć minut później, a on powiedział nam, że szejk poparł naszą petycję. Mogłyśmy zabrać nasze paszporty z biura prokuratora generalnego następnego ranka.

Udało nam się! To nie do wiary, ominięłyśmy proces sądowy i uzyskałyśmy przebaczenie od najwyższej władzy w tym kraju.

Zgodnie z obietnicą paszporty znalazły się w naszych rękach. Mogłyśmy wrócić do domu.

8

## W ŚWIETLE JUPITERÓW

Byłam w Dubaju z Sarą Fotheringham przez siedem tygodni. Kiedy wróciłam, środki masowego przekazu ogarnęło jakieś szaleństwo. Rozpoznawano mnie na ulicy, co wydawało się dziwne, ponieważ przedtem moją pracę wykonywałam w tajemnicy. Kobiety, którym pomagałam, potrzebowały pomocy, a nie rozgłosu. Gdy twoja twarz jest pokazywana na pierwszych stronach gazet, nie zawsze służy to sprawie, o czym przekonałam się, będąc w Dubaju.

Kiedy przechodziłyśmy przez halę przylotów, podeszła do mnie kobieta i objęła mnie, mówiąc: „Witaj w domu. Kontynuuj swoją pożyteczną pracę”. Musiała widzieć moje zdjęcie w gazetach. Dostałam też kwiaty od dwóch reporterek. Sprzedałam całą historię na prawach wyłączności pewnemu niedzielnemu czasopismu, toteż jeden z pracujących w nim dziennikarzy czekał na lotnisku. Powitał nas, kiedy wyszłyśmy z samolotu, zaprowadził do samochodu i odwiózł do domu. Nareszcie spędziłam wieczór z dziećmi, co sprawiło mi ogromną radość. Byłam szczęśliwa, kiedy przytulały się do mnie i siadały mi na kolanach, wydając okrzyki radości.

Następnego dnia ponownie spotkałam się z tym dziennikarzem. Po raz pierwszy widziałam go w Dubaju, gdzie przebywał służbowo, pisząc artykuł o Sarze. Zapłacił jej z góry dwadzieścia tysięcy funtów za prawa do opisanie całej historii. Później jednak poznał mnie i chciał opublikować również moją wersję wydarzeń. Wszystko wydawało się ustalone. Na koniec wyjaśniliśmy sobie jeszcze pewne szczegóły. Nie chciał, żebym do niedzieli z kimkolwiek rozmawiała. Tego właśnie dnia miał się bowiem ukazać reportaż z naszej wyprawy. Natomiast rozmowa, o ile pamiętam, miała miejsce w środę.

92

Niektóre gazety zamieściły artykuły przedstawiające mnie jako osobę zupełnie niewinną. W rezultacie ludzie dzwonili do brytyjskiej ambasady w Dubaju, apelując: „Uwolnijcie Donyę. Nie zrobiła przecież nic złego”. Słyszałam później, że w mojej sprawie odebrano w Ministerstwie Spraw Zagranicznych mnóstwo telefonów. Jednak wówczas, w Dubaju, pod koniec owego feralnego dnia, w którym zostałyśmy zatrzymane, zaplanowałyśmy posłużenie się fałszywymi dokumentami - Tarik miał przecież podróżować, posługując się paszportem mojego syna. Zdawałyśmy sobie oczywiście sprawę, że robimy coś bardzo niewłaściwego i niezgodnego z prawem. Artykuł, który ukazał się w prasie tego dnia, kiedy zostałyśmy aresztowane, ujawniał szczegóły naszych planów. Przypuszczam, że właśnie jego treść zdenerwowała władze. Nigdy nie będę tego pewna, ale tak myślę.

Na domiar złego w pierwszy weekend po naszym powrocie do Anglii perypetie moje

i Sarry zostały opisane w innej gazecie - o ile sobie przypominam, w „Daily Mirror”. Dziennikarz, z którym poprzednio rozmawiałam, sądził, że zawarłam inną umowę z jego plecami, i moje postępowanie bardzo go uraziło. Ja też nie byłam zadowolona z jego poczynań, opublikował bowiem przedtem historię przekazaną mu przez Neila, czym sprawił mi wiele kłopotów. Jestem przekonana, że w dużym stopniu przyczyniło się to do naszego aresztowania i osadzenia w więzieniu. Byłam więc na niego wściekła.

Od innego dziennikarza dowiedziałam się, że Neil próbował sprzedać nasze „przygody” każdemu, kto był gotów za nie zapłacić. Myślał tylko o pieniądzach, zupełnie nie doceniając powagi sytuacji. Nie sądził, że Sarra zostanie aresztowana za próbę zabrania do Wielkiej Brytanii swojego dziecka.

Musiałam się nauczyć sztuki pływania z rekinami. Mówią, że jeżeli człowiek zadaje się z kimś, komu nie można ufać, powinien być bardzo ostrożny. Tak właśnie czułam się z reporterami. Wielu dziennikarzy to bardzo mili ludzie, ale znajdują się na ogół pod niewiarygodnie silną presją swoich redakcji, które oczekują od nich zdobywania za wszelką cenę nowych materiałów. Aby to osiągnąć, gotowi są posunąć się do wszystkiego. Na przykład jedna z gazet opublikowała artykuł o mnie i o Sarze bez mojej zgody, chociaż faktycznie rozmawiałam z dziennikarzem, który się pod nim podpisał. Nigdy nie dostałyśmy za to ani pensa. Kiedy byłam w Dubaju, jedna z redakcji przysłała mi faks, proponując za wywiad osiem tysięcy funtów, toteż podpisałam umowę i odesłałam faksem. Rozmowa ze mną rzeczywiście wkrótce się ukazała,

93

mimo to redaktorzy oświadczyli później, że mój faks nigdy do nich nie dotarł. Takie wypadki zdarzają się, gdy człowiek ma do czynienia z prasą. Od tego czasu stałam się twardsza i miałam znacznie mniej zaufania do ludzi.

Nie wszyscy przedstawiciele mediów są jednak źli. Z niektórymi spośród nich udało mi się nawet zaprzyjaźnić, szczególnie z Sharon Hen-dry, redaktorką naczelną „The Sun”. Zaprosiła mnie na uroczystość rozdania nagród w konkursie Kobieta Roku. Wzięłam ze sobą Amirę, która patrzyła na wszystko, co działo się wokół niej szeroko otwartymi oczami. Siedziałyśmy obok Noela Edmondsa. Uroczystość odbywała się w Roof Garden w Kensington, cieszącym się opinią jednego z najbardziej eleganckich miejsc w zachodnim Londynie. Zaaranżowano nawet stawy pełne flamingów i inne tego typu atrakcje. Wszystko to wyglądało fantastycznie. Spotkałam Billa Sheppertona z Shepperton Studios, który był zainteresowany zrobieniem filmu na kanwie moich doświadczeń. Zupełnie dla mnie niespodziewanie poznałam te wszystkie znakomitości ze środowiska mediów. Miałam nawet okazję porozmawiać z Melindą Messenger, będącą wówczas w ciąży - i wtedy uświadomiłam sobie, że to jest wspanialsze od wszystkich nagród. Dar od losu, który mogą otrzymać również zwykli ludzie. Ogarnęło mnie uczucie dumy, gdyż zdałam sobie sprawę, jak ogromnym szczęściem jest mieć dzieci.

Wsiadłam do windy z Billem, żeby zjechać do podziemnego garażu. W windzie spotkałam żonę premiera, Cherie Blair, której towarzyszył ochroniarz. Wdała się w pogawędkę z moją córką, mówiąc jej, że ma śliczną torebkę. Do windy wsiadł też Noel Edmonds. Podczas uroczystości opowiadał o tym, jak stracił swoją matkę i

stwierdził - opierając się na własnym doświadczeniu - że zdaje sobie sprawę ze szczególnie silnych więzi łączących matkę z dziećmi. Wspomniał o moich zdjęciach w gazetach, a ja obróciłam to w żart, zwracając się do Cherie:

- Całkiem niedawno byłam w tym samym kraju co pani mąż -w Iraku.

Tony Blair właśnie wizytował tam żołnierzy brytyjskich.

- Wszyscy wróciliśmy cali i zdrowi, więc miejmy nadzieję, że innym też się to uda - dodałam.

Wówczas Cherie zdała sobie sprawę, kim jestem, i powiedziała:

- Niech pani kontynuuje swoją pożyteczną pracę.

Była kobietą z wielką klasą i wydawała się osobą, która mówi dokładnie to, co myśli. I od razu polubiła Amirę, za co ją pokochałam.

94

Kiedy po raz pierwszy wróciłam z mojej misji, byłam szczęśliwa, widząc Mahmuda i dzieci. Dzięki niemu rodzina mogła normalnie funkcjonować. Stanowił dla mnie oparcie. Mieliśmy swoje wzloty i upadki, jak każde normalne małżeństwo, ale z biegiem czasu sprawy naprawdę przybrały zły obrót. Jeżeli ktoś zostanie osadzony w więzieniu - nawet na krótki czas - jego życie ulega radykalnej zmianie. Pozostawiony sam ze sobą, z daleka od swoich dzieci, odkrywa, kim naprawdę jest. Wysłałam za mąż, urodziłam dzieci... lecz nigdy nie miałam czasu dla siebie. Przynajmniej jako osoba dorosła. Przez ostatnie kilka lat usiłowałam być dobrą żoną i matką. Prawdę mówiąc, nie myślałam w owym czasie o swoich potrzebach. Przypuszczam, że właśnie to odbiło się niekorzystnie na moim dalszym życiu.

Podczas siedmiu tygodni spędzonych w Dubaju zaznałam - co zakrawa na ironię - nieco wolności. Chociaż zostałam aresztowana, czułam się wolna w takim sensie, że nie miałam obok dzieci. Mogłam skoncentrować się na sobie i zastanowić nad swoją sytuacją, chociaż bardzo za nimi tęskniłam.

Chociaż władze Dubaju przetrzymywały mój paszport, mogłam stosunkowo swobodnie się poruszać. Pod względem emocjonalnym i psychicznym nie byłam jednak wolna, ponieważ cały czas dręczył mnie strach. Czułam się chora, jakby cała ta sytuacja zaczęła mnie przerastać. Każdego ranka wstawałam bardzo zdenerwowana. Podobnie było pod koniec dnia, kiedy kładłam się do łóżka.

Siedziałam w restauracji i myślałam: „Chciałabym po prostu pojechać do domu”.

Gdy człowiek znajdzie się w miejscu, w którym nie ma ochoty być, chciałby mieć przy sobie swój paszport i czuć się wolny. Paszport daje wolność i możliwość kontroli nad sytuacją, powrotu do swojego życia. Kiedy zostanie się pozbawionym tego dokumentu, ma się poczucie, jakby całą tę kontrolę się utraciło. Paszport jest przepustką do normalnego życia - bez niego można popaść w nie lada kłopoty. Aby ich uniknąć, dobrze jest też znać miejscowe obyczaje i obowiązujące przepisy. Na przykład w Dubaju można zostać aresztowanym, gdy pije się alkohol poza obrębem hotelu. Przepis ten nie dotyka akurat mnie, gdyż nie piję alkoholu, ale inni przyjezdni mogą być nieświadomi, że postępują niezgodnie z prawem. Odwiedzając obce kraje, należy po prostu je znać. Turyści nie spodziewają się restrykcji, przyjeżdżając choćby do Dubaju.

95

Wydaje się, że jest to przyjazny kraj, bardzo zresztą popularny wśród brytyjskich

turystów. Jednak wbrew pozorom jest taki sam jak inne kraje Bliskiego Wschodu. Żeby czuć się tam bezpiecznym, trzeba znać muzułmańską obyczajowość. Dowiedziałam się wielu rzeczy o Dubaju, przebywając z kobietami w więzieniu i słysząc, za co tam trafiły. Niektóre znalazły się w areszcie za stosunkowo poważne przestępstwa, ale inne uwięziono za drobne wykroczenia. Podobne przewinienia w Wielkiej Brytanii kończą się jedynie pouczeniem. Kiedy tam byłam, zaczęłam analizować życie, które pozostawiłam za sobą, w domu. Postanowiłam, że nie dopuszczę więcej do przeżywania tak wielkich stresów i podejmowania tak szaleńczych kroków, że będę spędzać więcej czasu z dziećmi, częściej z nimi rozmawiać i uważniej słuchać. Teraz już wiedziałam, że każdą sprawę należy dobrze przemyśleć, zanim podejmie się jakąś decyzję. W sprawie Fotheringhamów powiedziałam „tak” bez uprzedniego dokładnego jej rozważenia. Zaufałam Sarze i uwierzyłam jej słowom. Gdy spędziłam z nią więcej czasu, zdałam sobie sprawę, że popełniłam poważny błąd w jej ocenie.

W Dubaju, mając dużo wolnego czasu, zaczęłam myśleć o moich relacjach z Mahmudem. Doszłam do wniosku, że moje małżeństwo nie jest wszystkim, czego pragnę. Może byłam za bardzo od niego uzależniona albo też myślałam za dużo o dzieciach, a niewystarczająco o własnych potrzebach. Faktem jest, że dwukrotnie wyszłam za mąż, nie zastanawiając się nad tym zbyt długo. W naszych wzajemnych stosunkach dominowało przyzwyczajenie, codzienne rutynowe czynności dotyczące głównie dzieci. Kiedyś ja i Mahmud nie chcieliśmy się ani na chwilę rozstawać. Potem - jak mi się wydaje - wszystko zaczęło się po prostu rozpadać. Mój mąż nigdy nie był zbyt romantyczny, chociaż potrafił oczywiście sprawiać miłe niespodzianki. Jednak kiedy zabrał mi Allawiego i Amirę, przekreślił wszystkie te miłe wspomnienia.

Moja następna podróż zawiodła mnie do Iranu. Napisał do mnie wówczas, ostrzegając, abym na siebie uważała i zapewniał o swojej miłości. Zatrzymałam te listy. A jednak podczas mojej nieobecności planował już porwanie naszych dzieci i wyrobienie im paszportów. Tak więc jego działania były starannie przemyślane. Za to właśnie jestem wściekła na mężczyzn, którzy dopuścili się porwania. Że planują to wszystko i kalkulują na chłodno. Ich postępowanie nie jest podyktowane dobrem dzieci. Moim zdaniem, gdy człowiek robi coś z premedytacją, postępuje źle. Jeżeli popełnia przestępstwo albo wszczyna awanturę pod wpły-

96

wem impulsu, to inna sprawa. Jednak zaplanowanie i przeprowadzenie porwania z zimną krwią jest wyjątkowo karygodne.

Będąc w Dubaju, nie miałam oczywiście pojęcia, co Mahmud robi. Wciąż ufałam, że jest dobrym ojcem, zdolnym zrobić dla dzieci wszystko. Wierzyłam w jego miłość, ponieważ moja nieobecność wydawała się sprawiać mu cierpienie. Musiał radzić sobie sam z wieloma sprawami. Zapewne to, że nie mógł dłużej znosić swojego położenia, zniszczyło nasze małżeństwo. Środki masowego przekazu też nie przyczyniły się do poprawy jego sytuacji, dzwoniąc do niego i proponując pieniądze za opowiedzenie swojej wersji wydarzeń. Oferowano mu do dwudziestu pięciu tysięcy funtów, co jest ogromną sumą dla każdego, a szczególnie dla kelnera. Prosiłam go jednak, by z nikim nie rozmawiał. Przychylił się do mojej prośby i



mówił jedynie o pozytywnych faktach, które mogły pomóc mojej sprawie. Media zawładnęły moim życiem. Otrzymywałam wiele ofert od prasy, w tym zaproszenia do wzięcia udziału w brytyjskich programach GMTV, Richard and Judy i Trisha. Zaproponowano mi także wystąpienie w programie 60 Minutes, emitowanym w Ameryce. Miałam jednak dosyć szumu medialnego wokół mojej osoby i chciałam spędzać jak najwięcej czasu z dziećmi. Tego roku w grudniu zabraliśmy je na wakacje. W okresie poprzedzającym tę podróż każdą wolną chwilę poświęcałam moim pociechom. Społeczność sąsiedzka okazała się wspaniała i zjednoczyła się wokół nas. Moją sąsiadkę poproszono, żeby opowiedziała o mnie w programie Kilroy, ale odmówiła. Wszyscy nam sprzyjali.

Rok wcześniej postanowiłam, że muszę przelać moje myśli na papier. Nawiązałam kontakt z człowiekiem, który mógł mi pomóc w zredagowaniu tekstu, Andrew Croftsem, i poprosiłam o wspólne napisanie książki. Od tej pory zapisywałam wszystko, co się zdarzyło. Pamiętam, że po raz pierwszy odwiedził mnie w domu 11 września 2001 roku, w dniu, w którym dokonano przerażającego ataku na Twin Towers. Byliśmy na górze i przeglądaliśmy notatki, kiedy Mahmud krzyknął: „Zejdźcie na dół i zobaczcie, co się stało”. Andrew zdenerwował się i natychmiast zadzwonił do swojej żony. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje; obawialiśmy się, że Wielka Brytania może zostać zaatakowana. Chciał bezwzględnie wrócić do domu w Sussex, gdzie była jego rodzina. Ja natychmiast udałam się po dzieci do szkoły.

97

Andrew pisał książkę przeszło rok i powoli zbliżał się do końca. W tym okresie bardzo często rozmawiałam z nim przez telefon - w ten sposób przeprowadzał ze mną wywiady. Interesowały się mną środki masowego przekazu, co pochłaniało wiele mojego czasu, toteż ilekroć miałam wolną chwilę, spędzałam ją z dziećmi. Patrząc z perspektywy, dochodzę do wniosku, że w pewnym momencie powinnam była zdać sobie sprawę, iż moje stosunki z Mahmudem wyraźnie się popsuly. Często dochodziło między nami do kłótni. Myślę, że coraz bardziej drażniła go uwaga, jaką na sobie skupiałam. Podobnie jak większość mężczyzn na Bliskim Wschodzie, cechuje go poczucie dumy. Pracował w restauracji jako kelner, a tymczasem do mnie wciąż wydzwaniano z ośrodków telewizyjnych i różnych gazet. Prawdopodobnie mógł niekiedy myśleć, że jego pozycja jest zagrożona. Oczywiście, nie zauważyłam w porę oznak niebezpieczeństwa. Podczas jednej ze sprzeczek napomknęłam nawet, że może nadszedł czas, by rozważyć kwestię rozwodu, co przypuszczalnie niemile go zaskoczyło.

W tym czasie skontaktowała się ze mną telewizyjna spółka producencka Shine, której właścicielką jest córka Ruperta Murdocha, Elisabeth. Pracujący tam filmowcy nakręcili wiele świetnych filmów dokumentalnych. Zamierzali zrobić dokument o porwaniu dziecka. Odbyłam spotkanie z jedną z producentek, Amerykanką Moniką Garnsey. Odwiedziła mnie w domu i opowiedziała o planach realizacyjnych. Skontaktowali się z kobietą, która nazywała się Alison Lalic. Miała około trzydziestu pięciu lat i mieszkała w Liverpoolu. Podczas wakacji, które spędzała kiedyś w Jugosławii, poznała Bośniaka imieniem Ramiz i wyszła za niego za mąż. Siedem lat temu porwał ich dwie małe córeczki do Bośni. Shine chciała tam wysłać ekipę filmową, która miałaby się zorientować, czy byłoby możliwe odszukanie

uprowadzonych dzieci. Zaproponowali mi wyjazd razem z tą ekipą. Ustaliłam, że spotkam się z Alison następnego dnia w Cafe Rouge w Whiteleys. Byłam zupełnie załamana, kiedy usłyszałam jej historię. Bardzo jej współczułam. W wieku dwudziestu trzech lat pojechała na wakacje do Jugosławii. Spotkała na dyskotece przystojnego miejscowego chłopaka, z którym nawiązała wakacyjny romans. Po powrocie do Wielkiej Brytanii nadal pozostawała w kontakcie telefonicznym z młodym Bośniakiem. W styczniu 1990 roku ponownie udała się do Jugosławii, żeby poślubić Ramiza. Zamieszkali w małej wiosce przy północno-zachodniej granicy Bośni, skąd pochodził i gdzie mieszkali jego bracia i siostry. Rodzina życzliwie przyjęła Alison, ale życie w tak

98

małej wiosce na odludziu było dla niej szokiem kulturowym. Ponadto istniały małe szanse na znalezienie tam pracy.

Po sześciu miesiącach przenieśli się do Wielkiej Brytanii. Osiedlili się w Liverpoolu, rodzinnym mieście Alison, gdzie kupili dom. Wkrótce urodziła im się córka, którą nazwali Samantha. Dwa lata później na świat przyszła Rebecca.

- Był bardzo dobrym ojcem - powiedziała Alison - i miał absolutnego bzika na punkcie swoich małych córeczek.

W 1992 roku w Bośni wybuchła wojna. Bracia Ramiza walczyli na linii frontu. I nagle nastąpiła w nim wielka przemiana. Choć był muzułmaninem, nigdy nie należał do osób szczególnie religijnych. Po wojnie jednak stał się pobożnym wyznawcą proroka i codziennie chodził do meczetu. Alison czuła, że staje się dla niej obcy, że nie jest mężczyzną, za którego wyszła za mąż.

Historia ta przypominała mi wiele innych i doskonale odpowiadała moim spostrzeżeniom dotyczącym muzułmanów. Często zdarzało im się odwracać plecami od rozwiązań Zachodu, szczególnie kiedy mieli małe córeczki. Gdybym znała w tym czasie Alison, powiedziałabym jej, że jest to podręcznikowa wręcz sytuacja, a dzieci znajdują się w poważnym niebezpieczeństwie. Ale oczywiście nie znałam jej wówczas.

Ramiz nie tylko zamknął się przed Alison, ale stał się w stosunku do niej chłodny, a nawet nieprzyjemny, zaś w ich małżeństwie brakowało szczęścia i miłości. Sprawy kulały aż do 1995 roku, kiedy Alison rozwiodła się z Ramizem. Przyznano jej opiekę nad dziećmi i przez kilka miesięcy wydawało się, że wszystko ułoży się dobrze.

Pomimo rozwodu Ramiz nadal był troskliwym i odpowiedzialnym ojcem. Często składał im wizyty i utrzymywał z dziećmi oraz byłą żoną regularne kontakty.

Tego lata poprosił Alison o pozwolenie zabrania dziewczynek na wakacje do Niemiec, gdzie mieszkali jego rodzice. Chciał, żeby zobaczyli swoje wnuczki, zaś Alison, będąca z natury osobą życzliwą, nie odmówiła tej - jak się wydawało - rozsądnej prośbie. Dziewczynki nigdy jednak stamtąd nie wróciły.

Czytelnicy pomyślą zapewne, że zachowanie Alison było naiwne. Jednak większość ludzi nie spodziewa się, że coś takiego może się zdarzyć, ponieważ o podobnych wydarzeniach rzadko mówi się w mediach. Reżyserzy kręcą na przykład dla telewizji filmy dokumentalne, ale nie ogląda ich wystarczająco duża liczba widzów. Tego typu sprawy nie zyskują po prostu odpowiedniego rozgłosu. W Wielkiej Brytanii istnieje organizacja zwana Ponowne Połączenie Rodziny, której celem jest

udzielanie pomocy w wypadkach porwań dzieci, ale - jak już podkreślałam wiele razy - może ona jedynie udzielić porady. Organizacja ta jest częściowo finansowana przez Departament Spraw Konstytucyjnych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Działa zgodnie z literą prawa. Jej pracownicy nie mogą zatem pojechać do danego kraju, aby pomóc kobiecie w odebraniu dzieci - nikt nie jest w stanie tego zrobić. Mogą tylko naświetlić swoim klientkom problem od strony prawnej i praktycznej. Jeżeli ojciec odmawia oddania dzieci, możliwości zrobienia czegokolwiek są bardzo niewielkie.

Alison odchodziła od zmysłów. Każdego dnia dzwoniła do domu brata Ramiza, Safita. Wyszło na jaw, że Ramiz zabrał córki do Bośni. Przez wiele miesięcy nie chciał z nią rozmawiać. Nie pozwalał również na rozmowę z dziećmi, chociaż usilnie go o to prosiła. Powiedział Alison, że dziewczynki nie nazywają się już Samantha i Rebecca, zadając jej tym kolejny, okrutny cios; nosiły teraz imiona muzułmańskie: Aisza i Safija.

Po czterech miesiącach ustąpił, dając zgodę na kontakt telefoniczny, ale zawsze udawało mu się znaleźć jakąś wymówkę żeby córki nie rozmawiały z matką. A to dziewczynki były w domu przyjaciółki i odrabiały lekcje, a to leżały już w łóżku lub zapomniały, jak się mówi po angielsku. Biedna kobieta odchodziła niemal od zmysłów.

Oddała sprawę do sądu, który wydał międzynarodowy nakaz aresztowania Ramiza. Jak wyjaśniłam wcześniej, jeżeli kraj jest sygnatariuszem konwencji haskiej, porwanie dziecka uznaje się za przestępstwo karne. W tym wypadku władze bośniackie miały obowiązek próbować odnaleźć ojca. Biorąc pod uwagę fakt, że brat Ramiza był policjantem, zadanie to nie powinno było nastęczać wielu trudności. Najwyraźniej jednak rodzina zrobiła wszystko, co mogła, by ochronić Ramiza przed władzami.

Teraz córki Alison miały około dziesięciu i dwunastu lat. Była już w Bośni kilka lat temu z ekipą BBC, ponieważ ktoś powiedział, że je tam widział. Pojechała do domu, w którym - jak sądzili przygodni świadkowie - przebywały dzieci, ale nie było tam po nich śladu. Pomimo faktu, że sądy na mocy międzynarodowego nakazu przyznały jej całkowitą opiekę nad dziećmi, rząd nie mógł w tej sytuacji nic uczynić. Ramiz, oskarżony o porwanie dzieci, był poszukiwany przez policję, toteż było mało prawdopodobne, by nagle się pojawił i powiedział: „No cóż, przepraszam...”. Opowiadając mi tę historię, Alison wyglądała na zrozpaczoną, była w złym stanie psychicznym. Po problemach, jakie przed sześcioma mie-

100

siącami miałam w Dubaju, postanowiłam nie angażować się więcej w tego typu sprawy. Zanim spotkałam się z Alison, powiedziałam Monice, że chciałabym jedynie być konsultantką telewizyjnego programu dokumentalnego. Nie miałam ochoty jechać do Bośni. Kiedy jednak zobaczyłam zdesperowaną matkę, nie byłam w stanie jej odmówić. Zacerpnęłam głęboki oddech, starając się nie myśleć, co powie Mahmud, i oświadczyłam: „Zgoda, jeżeli są w Bośni, znajdziemy je”.

Wszyscy pracownicy Shine byli bardzo zadowoleni z mojej decyzji. Alison również. Kiedy powiedziałam o tym Mahmudowi, prawie nie zareagował. Pokiwał tylko

głową i stwierdził:

- A zatem znów będę musiał zajmować się dziećmi. Co mam im tym razem powiedzieć?

Widziałam, że nie jest szczęśliwy, ale przynajmniej nie robił mi żadnych wymówek. Spotkałam się ponownie z ekipą z Shine. Drugim producentem programu, obok Moniki, był Paul Hamann. Bardzo go polubiłam. Wysoki mężczyzna, mówiący z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer, który umiał sprawić, że ludzie czuli się przy nim swobodnie. W skład ekipy wchodziła też jeszcze jedna kobieta, Michelle Ross, pełniąca funkcję asystentki producenta. Wszyscy bardzo dobrze się rozumieliśmy i z czasem zaczęłam ich uważać za przyjaciół.

Postanowiliśmy zebrać możliwie jak najwięcej informacji, zanim udamy się do Bośni z całą ekipą filmową. Podpisaliśmy więc kontrakt z Bośniakiem Edinem, którego znaleźliśmy dzięki kontaktom z pewnym tygodnikiem. Miał on za zadanie dowiedzieć się, czy dzieci w ogóle tam są, zanim poniesiemy koszty związane z wyjazdem całej grupy. Po pewnym czasie przekazał nam informację, że widział dzieci. Chodziły do szkoły w pobliżu Bihar, miasta położonego na północno-zachodnim krańcu kraju. Mieliśmy więc punkt zaczepienia i mogliśmy przystąpić do działania.

Tym razem pożegnanie z dziećmi nie sprawiło mi wiele bólu. Misja była całkowicie uczciwa i zgodna z obowiązującymi normami - prawo międzynarodowe stało po naszej stronie. Ustaliliśmy, że wyjeżdżamy tylko na trzy dni. Wszystko wydawało się stosunkowo proste.

Polecieliśmy do Sarajewa - ja, Monika, Michelle, Alison, brat Alison Darren i moja koleżanka Maria, która była żoną Irakijczyka. Towarzyszyło nam też kilku kamerzystów, toteż można powiedzieć, że wyróżnialiśmy się wśród innych pasażerów. Przylecieliśmy do Sarajewa 30 listopada 2002 roku.

101

Gdy wylądowaliśmy w Bośni, celnicy sprawdzili cały nasz sprzęt. Byli nieco podejrzliwi, ale Monika wyjaśniła, że jesteśmy brytyjską ekipą telewizyjną, która kręci film o Bośni i odbudowie kraju po wojnie. Nasze wyjaśnienie zadowoliło celników i pozwolili nam w końcu przejść.

Na zewnątrz spotkaliśmy się z naszymi „lokalnymi detektywami”, łącznie z Edinem, czyli „rzucającym się w wir całą naprzód”, jak zaczęliśmy go nazywać, ponieważ bez zastanowienia pakował się w najróżniejsze sytuacje. Przypominał mi faceta z kozią bródką występującego w filmie Park Jurajski, który przez cały czas czymś się opychał. Załatwili nam terenowego volkswagena busa z rozsuwanymi drzwiami. Z takich samochodów korzystają zwykle Australijczycy podróżujący po Europie. Miałam ochotę zaśpiewać melodię z filmu Scooby-Doo, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jeżeli tego nie zrobię. Zażartowałam, że moglibyśmy pójść na całego, wypisując litery „UN” na drzwiach naszego pojazdu, ale tak naprawdę nie było to wcale śmieszne. Gdy przeprowadza się tajną operację, należy za wszelką cenę unikać rzucania się w oczy.

Mówiąc szczerze, Bośnia mnie nie zachwyciła. Cały kraj sprawiał przygnębiające wrażenie. Było przeraźliwie zimno i szaro. Pamiętam, że podobał mi się tylko wiejski krajobraz - byłoby tu pięknie, gdyby nie środek zimy. Pamiętam jeziora i rzeki, które

miały niemal zielony lub nie-bieskawozielony kolor. Jechaliśmy krętymi drogami nad brzegami jezior, przez wydrążone w górach tunele, przełęcze... Jestem pewna, że gdybym wróciła tu w lecie, uznałabym tę okolicę za niewiarygodnie piękną. Jednak śnieg i mroźne powietrze nie pozwalały w pełni napawać się urokami pejzażu. W każdej wiosce czy miasteczku stały zniszczone przez kule i bomby budynki, przypominając o strasznej, niedawnej historii. Nic nie zachowało się w całości. Przyjechaliśmy do Biharu jeszcze przed zmrokiem, planując się tam zatrzymać. Znaleźliśmy hotel sprawiający wrażenie nory. Z zewnątrz wyglądał jak wzniesiona w latach sześćdziesiątych szkoła zawodowa, zaś wewnątrz przywodził na myśl sceny z filmu Lśnienie. Wydawało się, że składa się głównie z długich marmurowych korytarzy. Zameldowaliśmy się i odbyliśmy krótkie spotkanie konsultacyjne. Wyraziłam życzenie obejrzenia jeszcze tego wieczoru szkoły, z której zamierzaliśmy zabrać dzieci. Należało to zrobić, aby dobrze wszystko zorganizować następnego dnia. Musieliśmy wiedzieć, jakich ewentualnych zagrożeń należy się spodziewać. Monika i Michelle zgodziły się na moją propozycję, ale Edin

102

nie był zbyt zadowolony. Ponieważ jednak Shine mu płacił, musiał się podporządkować.

Podwiózł nas do budynku, gdzie - jak nam uprzednio powiedział -uczyły się dzieci. Znajdował się on około dziesięciu minut drogi od naszego hotelu. Stąd schodziło się stromą drogą prowadzącą do wiejskiej szkoły średniej. Na wzgórzu panował dosyć duży ruch, co stwarzało niebezpieczeństwo dla przechodzących dzieci, zwłaszcza, że droga nie miała nawet odpowiednio szerokiego pobocza. Aby dotrzeć do szkoły na poranne lekcje, dzieci szły jeszcze po ciemku, o siódmej lub ósmej rano. W Londynie nikt nie chciałby nawet na chwilę spuścić z oczu swoich pociec w takiej sytuacji. Tutejsze dzieci wydawały się bardzo samodzielne, co jest normalną rzeczą na wsi. Edin uważał, że nazajutrz powinniśmy zaparkować mikrobus przed szkolnym budynkiem i uprowadzić dzieci, kiedy będą szły na lekcje.

- Chyba żartujesz - powiedziałam. - Wokół będzie mnóstwo uczniów, pada śnieg, jest bardzo mało prawdopodobne, że od razu rozpoznamy córeczki Alison. Zakładając nawet udaną akcję, musielibyśmy zapewnić sobie szybki odwrót, co w takich warunkach atmosferycznych byłoby trudne do wykonania. Nie chodzi jedynie o zabranie dziewczynek do samochodu. Powinniśmy prowadzić obserwacje przez kilka dni, żeby się upewnić, o które dzieci nam chodzi.

Zdecydowaliśmy się zatem działać ostrożnie, zgodnie z moim planem. Obejrzelśmy ponownie drogę do szkoły, którą dzieci przemierzają każdego dnia, a następnie wróciliśmy do hotelu. Położyliśmy się do łóżek, by wstać o piątej rano i wrócić na punkt obserwacyjny w pobliżu szkoły. Weszłam do pokoju Alison zobaczyć, czy jest gotowa psychicznie do podjęcia ustalonych działań, i odniosłam pozytywne wrażenie. Martwiłam się jednak trochę o Darrena. Miał prowadzić samochód, a zatem pełnić funkcję kierowcy, który - w konsekwencji - będzie uciekał z miejsca porwania. Kiedy zapytałam go, czy jest przygotowany na taki rozwój wypadków, nie wydawał się uszczęśliwiony. Sądzę, iż prawdopodobnie martwił się tym, że jesteśmy na terytorium, gdzie żyła rodzina Ramiza, a Safit był w dodatku policjantem. Alison, która tu kiedyś mieszkała, twierdziła, że każdy mężczyzna w tej okolicy nosi pistolet

i nie waha się go użyć w potrzebie. Wiedzieliśmy, co prawda, że Bośnia podpisała konwencję haską, ale na tym odludziu nie dawało nam to wielkiego oparcia. W końcu jednak Darren obiecał, że zrobi wszystko, co będzie konieczne. Musieliśmy przyjechać pod szkołę wczesnym rankiem, ponieważ

103

lekcje rozpoczynały się o godzinie 7.30. Nie chcąc ryzykować, byliśmy na miejscu już około 6.45. Zsunęliśmy w mikrobusie zasłony i co jakiś czas wyglądaliśmy na zewnątrz. Monika i Michelle siedziały w innym samochodzie. Mieliśmy walkie-talkie, żeby być ze sobą w kontakcie. Obok nas przeszło zaledwie kilkoro dzieci. Schodziły ze wzgórza i kierowały się do okazałego budynku szkoły średniej. Żadne z nich nie wchodziło do podstawówki. Długo obserwowaliśmy teren, ale nikt tam nie wszedł. Wzięłam walkie-talkie i powiedziałam:

- Nikt nie idzie do szkoły podstawowej. Czy jesteście pewni, że nie ma dziś jakiegoś święta?

Około godziny 8.30 musieliśmy zrezygnować z dalszej obserwacji, gdyż nie miała ona sensu. Poza tym obawialiśmy się zwrócenia na siebie uwagi.

Później dowiedzieliśmy się, że budynek szkoły podstawowej został na rok zamknięty. Funkcjonowała tylko jedna szkoła i młodsze dzieci również tam chodziły. A zatem, jakim cudem Edin mógł widzieć dziewczynki we wskazanym budynku? Nie wydawało się to wiarygodne.

Wróciliśmy do naszego hotelu w Biharze. Po śniadaniu odbyliśmy naradę. Alison była zrozpaczona. Ranek przyniósł niepowodzenie.

-Jak on może być tak okrutny? - pytała z płaczem. - Dziewczynki są ciałem z mego ciała i krwią z mojej krwi. Będą myślały, że mi na nich nie zależy. Posądzą mnie o brak serca.

Usiadłam i rozmawiałam z nią przez chwilę, przekonując, żeby się nie poddawała. Opowiedziałam jej o kobietach, którym poprzednio pomagałam i które odzyskały swoje dzieci, w nadziei że doda jej to trochę otuchy. Była jednak bardzo przygnębiona.

Problem z obserwowaną przez nas wioską polegał na tym, że rodzina Ramiza żyła tu od pokoleń, zaś okolicznych mieszkańców cechuje niewiarygodna lojalność. Kiedy Ramiz z córkami wrócił do domu, ożenił się z tutejszą dziewczyną, a ludzie z wioski naturalnie przyjęli ich do swego grona. Alison uważali za zwykłą wichrzycielkę z odległego kraju. Przypuszczam, że gdyby taka sama sytuacja wydarzyła się w małej wiosce na północy Anglii lub w innej części naszego kraju i pojawiła się tam młoda Bośniaczka, zabiegając o odzyskanie swoich dzieci, miejscowi niechętnie by się do tego wtrącali. Ze względu na sprawną policję i system sądowy w Wielkiej Brytanii, podobna sytuacja nie mogłaby mieć miejsca. Stosujemy się do przepisów znacznie bardziej rygorystycznie niż wiele innych krajów.

Alison była w wiosce już trzy razy, usiłując wytropić swoje córki, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Udało się jej jedynie zobaczyć ich fo-

104

tografię, co przekonało ją, że trop jest właściwy i zaczyna się właśnie tutaj. Jedną z najsmutniejszych rzeczy, jakie od niej usłyszałam, było stwierdzenie, że powracanie do tej okrutnej, wrogiej wioski w pewien sposób przybliżało ją do dzieci.

Znalazła może jedną lub dwie osoby, które próbowały jej pomóc.

- Tutejsza społeczność jest bardzo zintegrowana - powiedziała Alison. - Ludzie mówią, że widzieli dziewczynki, ale kiedy tylko dowiadują się, że w sprawę zaangażowana jest policja, zaczynają się wycofywać.

Tego popołudnia pojechaliliśmy do domu brata Ramiza. Mieszkał w jednym z trzech budynków stojących rzędem w polu. Wysiadłam z samochodu i rozglądałam się, trzymając za rękę Michelle. Dom Safita nie wyróżniał się niczym szczególnym: był dwupiętrowy, a w niewielkiej odległości za budynkiem rozciągał się cmentarz, do którego prowadziła alejka. Z mikrofonem w ręku i w specjalnych okularach z ukrytymi na nosie kamerami wyszeptałam:

- Tych dzieci tu nie ma, nie ma żadnych oznak świadczących o ich pobycie.

Miałam do tych spraw szósty zmysł. Nie widziałam wokół żadnych zabawek ani dziecięcych wózków dla lalek. Nikt jednak mi nie wierzył.

Następnego ranka odbyliśmy kolejną bezcelową podróż, czekając w okolicy szkoły, ale nigdzie nie było śladu dziewczynek. Czułam się sfrustrowana i ogarnęła mnie złość na Edina. Odnosiłam wrażenie, że urządza nam pogoń za mrzonkami. Nie zamierzałam nadal kręcić się wokół bez celu, kiedy nie było nawet najmniejszego śladu po dzieciach. Zażądałam, by Edin zrezygnował z pełnionej funkcji eksperta i znawcy tutejszego środowiska, ponieważ nie wywiązał się ze swego zadania.

Wprawdzie upierał się, jakoby widział dziewczynki w szkole, ale to się nie potwierdzało. O ile zdążyłam się zorientować, kłamał, żeby dostać pieniądze.

Mieszkał tu jednak Safit, a jego dzieci na pewno chodziły do szkoły. Pomyślałam, że gdyby cokolwiek się tam wydarzyło, dzieci po powrocie do domu powiedziałyby o tym swoim rodzicom. Mając to na uwadze, postanowiliśmy zaryzykować i udać się do szkoły.

O odbyliśmy rozmowę z dyrektorem. Do jego gabinetu przyprowadzono córkę Safita, żeby mogła z nami porozmawiać. Edin załatwił nam tłumaczkę, która nie przypadła mi do gustu. Sprawiała wrażenie bardzo niegrzecznej, obsesowej i szorstkiej w obęjsciu. Nie zadawała

105

pytań w taki sposób, jak byśmy sobie tego życzyli, nie tłumaczyła naszych słów prostym językiem. Trzeba wiedzieć, jak powinno się rozmawiać z dziećmi, ale ona zachowywała się tak agresywnie, że mała dziewczynka czuła się przerażona. Alison płakała, pytając, czy nie widziała jej córek, ale bratanica odparła, że nie miała z nimi kontaktu od bardzo dawna. Według dyrektora nikt z otoczenia nie wiedział, gdzie one są. Alison była jednak przekonana, że wszyscy kłamią, by kryć Ramiza.

W pewnej chwili podszedł do nas szkolny dozorca. Wyraził chęć porozmawiania z nami. Był to uroczy starszy pan.

- Rozumiem ją doskonale - powiedział przez tłumaczkę, wskazując na Alison. - Zrobiłbym to samo dla moich dzieci.

Wyjaśnił, że Aisza i Safija faktycznie chodziły do tej szkoły, ale tylko przez kilka miesięcy. Ramiz zabrał je stąd, ale nie wiadomo dokąd. Dozorca obiecał, że jeśli tylko dowie się czegokolwiek, nawiąże z nami kontakt. Kończąc, zwrócił się do mnie:

- Powiedz jej, by nie płakała. Dziewczynki nie wyglądały na smutne, to dobre dzieci.

Stało się wówczas jasne, że dyrektor wiedział więcej, niż nam wyjawiał. Alison miała rację, obawiając się spisku i muru milczenia. Z wielkim smutkiem patrzyłam, jak chodzi po szkole i przysiada na krzesła, mówiąc, że być może siedziała na nim jedna z jej córeczek. Miałam wrażenie, że patrzę na tonącego.

Wiedziałam już, jaki będzie kolejny punkt naszego planu.

- Musimy teraz dostać się do domu Safita i założyć podsłuch. Kiedy jego córka wróci do domu, z pewnością opowie o wszystkim swoim rodzicom. Powinniśmy wiedzieć, jak zareagują.

Edin bardzo się przestraszył.

- W żadnym wypadku nie wolno nam tego robić - stwierdził. - To nielegalne i grozi więzieniem.

Wiedziałam, że nie można na niego liczyć.

Tymczasem pomocną dłoń wyciągnął do mnie jeden z kamerzystów, Richard.

- Zgoda, pójdę tam z tobą i pomogę ci w założeniu podsłuchu, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby zrobił to Edin. Płacono mu za wykonywanie określonej pracy, a jak do tej pory wszystko, czym się wykazał, to jeżdżenie wkoło mikrobusem. Dyskutowaliśmy o tym w samochodzie. W końcu Edin, Alison i ja udaliśmy się do domu Safita

106

z urządzeniem podsłuchowym. Zapukaliśmy do drzwi, które natychmiast się otworzyły.

Gospodarze zaprosili nas do środka i zachowywali się dosyć przyjaźnie.

Zaproponowali nam coś do picia, ale podziękowałam, tłumacząc się przestrzeganiem postu - był ramadan\*. Chciałam jak najszybciej zainstalować przyniesione urządzenie. Rozglądałam się wokół, szukając jakiegokolwiek dowodu obecności dziewczynek w domu, na przykład ich zdjęcia na tle charakterystycznego obiektu. Nie wypatrywałam fotografii Brighton Pier\*\* lub czegoś w tym stylu, ale po prostu jakiejś wskazówki, która mogłaby mi pomóc. Niczego takiego nie widziałam, ale dostrzegłam oprawione wersy Koranu. Tego typu rzeczy pochodzą z Bliskiego Wschodu. Był to w końcu pewien trop.

W trakcie rozmowy umieściliśmy pod stołem urządzenie podsłuchowe. Alison płakała, błagając ich o jakieś informacje, ale nie chcieli nam nic powiedzieć.

W końcu Safit przyznał, że Ramiz dzwoni od czasu do czasu, ale on nie zna numeru brata; czekali tylko na telefony od niego. Opowiadali jakieś niewiarygodne historie, mówiąc, że Ramiz nigdy nie dzwoni z tego samego telefonu. Twierdzili, że odzywa się zwykle co trzy miesiące, i nie wiedzieli, w jakim kraju aktualnie przebywa. Na koniec obiecali, że gdyby cokolwiek słyszeli, dadzą nam znać. Nie pozostawało zatem nic innego, jak się pożegnać.

W samochodzie zaczęliśmy nasłuchiwać, co mówili po naszym wyjściu. Byli autentycznie przestraszeni. Absolutnie nie ufali ani mnie, ani Edinowi i nie dali się nabrać na naszą opowieść, że jesteśmy jakoby przyjaciółmi zaniepokojonymi całą tą sytuacją. Wzięli nas za tajnych agentów. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że ich córeczka wróciła ze szkoły. Słyszeliśmy, jak mówiła:

- Cześć mamusiu, cześć tatusiu, zgadnijcie, co się wydarzyło? Dzisiaj do szkoły



przyszła Alison z jakąś nieznaną panią...

Opowiedziała wszystko ze szczegółami, a my mogliśmy to usłyszeć. Powstał tylko jeden problem - co czterdzieści pięć minut należało zmieniać

\*Nazwa dziewiątego miesiąca księżycowego kalendarza muzułmańskiego. W ramadanie wszystkich muzułmanów obowiązuje post, należący do 5 obowiązków wyznawcy islamu. "Zwany też Pałace Pier w Brighton. Pałac wzniesiony na molo, stanowi jedną z największych atrakcji turystycznych Wielkiej Brytanii.

107

kasetę w magnetofonie. Ukryliśmy go na cmentarzu, na tyłach budynku.

Przypominało to scenę z filmu The Blair Witch Project\* - chodziliśmy niepewnym krokiem ze szpiegowskimi lornetkami na nosie pośród panującej wokół ciemności, co sprawiało, że nasze oczy wydawały się białe. Jedynie Richard i Michelle mieli odwagę pójść i zmienić taśmy. Edin oczywiście nie chciał tego zrobić.

W pewnej chwili rodzina Safita zadzwoniła do Ramiza. Poinformowali go, że Alison złożyła im wizytę i poszukuje swoich dzieci. Wiedzieli także o sprzedaniu przez nią jakiś czas temu starego domu w Liverpoolu, toteż Safit doradzał bratu, żeby wykorzystał desperację Alison i wydobył od niej część pieniędzy. Namawiał go też, aby przekonał byłą żonę do podpisania ugody, w myśl której zrezygnowałaby z prawa do opieki nad dziećmi i przekazała je jemu. W zamian - zasugerował - mogłaby widywać dzieci. Postępowanie Safita stanowiło dobitny przykład, jak okrutni potrafią być ludzie, żerując na cudzym nieszczęściu i wykorzystując je dla uzyskania korzyści finansowych.

W ciągu kolejnych dni Ramiz dzwonił do rodziny wiele razy. Skradaliśmy się, żeby zmieniać taśmy i przynosiliśmy do hotelu, by Edin je tłumaczył. Pewnego razu, kiedy Michelle i Richard przyszli z nowym nagraniem, Edin wybiegł z pokoju, krzycząc: - Musimy wyjechać jeszcze dzisiaj! Znaleźli urządzenie podsłuchowe! Jedno z dzieci znalazło zainstalowaną pluskwę. Usłyszeliśmy, jak mama pyta: „Co to jest?”, i taśma się urwała.

Wyciągnęli mnie z łóżka na naradę. Wyglądałam jak Rip Van Winkle\*\* w długiej koszuli nocnej, w wełnianej czapce, szaliku i botkach. W hotelu było przeraźliwie zimno. Edin chciał, żebyśmy wyjechali jeszcze tej nocy, ale uparłam się i nie wyraziłam na to zgody.

- Nie ma mowy - powiedziałam. - Wyjedziemy rano. To wiejska kobieta, nie będzie wiedziała, co to za urządzenie. Prawdopodobnie pomyśli, że jakaś część wypadła z wideo.

\*Film amerykański z gatunku horrorów. Historia zaginięcia grupy studentów, którzy poszukiwali legendarnej czarownicy.

\*\*Tytułowy bohater opowiadania pisarza amerykańskiego Washingtona Irvinga (1783-1859), uśpiony przez duchy w górach Catskill w czasach kolonialnych, który budzi się po 20 latach w niepodległej Ameryce.

Wróciliśmy do łóżek. Rano wszyscy doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu kręcić się po okolicy. W każdym razie poszukiwanych dzieci tu nie było.

Przed powrotem do Londynu postanowiliśmy spędzić jakiś czas w Mostarze, odwiedzając tamtejszy sierociniec. Miasto znajdowało się w południowo-zachodnim rejonie kraju, w stosunkowo niewielkiej odległości od Sarajewa. Zabraliśmy jedzenie

i prezenty dla dzieci. Wspominam to jako jedno z najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Sierociniec był piękny. Zbudowała go żona egipskiego prezydenta, Suzanne Mubarak, która uczestniczyła także w ceremonii otwarcia. Dzieci mieszkały w domkach w stylu alpejskim. Każdy domek nosił nazwę piramidy albo innego obiektu związanego z Egiptem. Na terenie sierocińca była wspaniała sala gimnastyczna. Dawały się, co prawda, we znaki braki żywności, ale warunki życia były doskonałe. Od razu polubiłam pewną dziewczynkę w wieku około trzynastu lat, która nie chciała wypuścić z rąk pluszowego misia. Dzieci myślały, że jestem księżniczką z Anglii, jak Lady Di, ponieważ przywiozłam mnóstwo słodczy i czekolady. Każdy domek miał pokój dzienny i sypialnię na górze. Sierociniec zbudowano w pobliżu potężnego, zapierającego dech w piersiach wodospadu. Z okien rozciągał się widok na kaskady spadającej z dużej wysokości wody. Spędziliśmy tam około trzech godzin, bawiąc się z dziećmi. Następnym punktem programu było przejście przez most w Mostarze. Nazajutrz, 6 grudnia, nadszedł dzień powrotu do Wielkiej Brytanii.

Alison wpadła w przygnębienie i była niemal na skraju załamania nerwowego. Ta spokojna, drobna kobieta pracowała jako przedszkolanka. Powrót do domu bez dzieci stanowił dla niej ogromny cios. Wiązała wielkie nadzieje z naszą podróżą i sądziła, że przyniesie ona oczekiwany rezultat. Po powrocie przesłuchaliśmy zapisy rozmów telefonicznych zarejestrowanych w domu Safita. Zwróciło naszą uwagę, że rodzina dzwoniła do Ramiza w każdy piątek, zawsze pod ten sam numer.

Był to numer prywatnego mieszkania w Teheranie. Misja do Iranu wydawała się przedsięwzięciem znacznie bardziej niebezpiecznym. Nie wiedziałam nawet, czy będę w stanie stawić jej czoło. W kraju tym obowiązuje bowiem ścisłe prawo szari'i. Dreszcz przeszedł mnie po plecach, kiedy pomyślałam, co mogliby zrobić z Brytyjką, która usiłowałaby porwać ojcu dwie małe dziewczynki.

Pierwsza reakcja Mahmuda była dosyć zdecydowana.

- Do cholery, na pewno nie pojedziesz do Iranu! Jeżeli cię złapią, zostaniesz stracona.

108

109

Uparłam się jednak i stwierdziłam, że mimo wszystko pojedę.

- Rób, jak uważasz - odparł.

Patrząc wstecz, wydaje mi się, że właśnie wówczas zaczął przygotowywać swój złowrogi plan uprowadzenia dzieci.

Spędziliśmy razem wigilię. Postanowiłam polecieć do Iranu po Nowym Roku.

Michelle była tam już od pewnego czasu. Zajmowała się sprawami organizacyjnymi, załatwiała wizy i tym podobne. Udało się jej odnaleźć dzielnicę Teheranu, gdzie Ramiz mieszkał z córkami, a nawet sfilmować dziewczynki jeżdżące na wrotkach przed blokiem. Przesłała nagranie pocztą elektroniczną, zaś Monika poprosiła Alison, żeby przyszła do mnie obejrzeć na laptopie materiał filmowy. Były to bardzo smutne chwile. Od razu poznała swoje córki. Uważała, że wyglądają na nieszczęśliwe. Jak sądzę, dopatrywała się czegoś więcej, niż faktycznie można było dostrzec.

Odczuwała prawdopodobnie silną potrzebę, by wierzyć, że czuły się nieszczęśliwe.

Nie chciała zaakceptować faktu, iż mogłyby o niej zapomnieć i żyć swoim życiem.

Po wielu latach usilnych poszukiwań wiedziała w końcu, gdzie są jej dzieci.

Załamala się i zaczęła szlochać, ale bardziej z ulgi niż z rozpaczy. Reakcja Alison poruszyła mnie do głębi i płakałam razem z nią.

- Nie martw się, pojedziemy tam i zabierzemy je - stwierdziłam stanowczo.

Trzy dni później, 29 stycznia 2003 roku, znalazłyśmy się na pokładzie samolotu lecącego przez Monachium do Teheranu. Wcześniej przeprowadziłyśmy rozmowę z urzędnikami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, którzy już na wstępie uprzedzili nas, że każda próba uzyskania przez nich jakiejś informacji może zaalarmować Ramiza. Wówczas zaczęłam podejrzewać, że Alison albo angielskie władze zdołali go wytropić. Wobec tego podjęłyśmy podróż jako zwykłe turystki.

W samolocie siedziałam obok wysokiego mężczyzny mówiącego z amerykańskim akcentem. W trakcie rozmowy powiedział mi, że pracuje jako niezależny dziennikarz. W tym czasie spotykałam się z mnóstwem dziennikarzy, co wywoływało problemy między mną a Mahmu-dem. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, ale ten dziennikarz również miał się do tego przyczynić. Był jednak miły i czarujący.

Wymieniliśmy numery telefonów. Obiecał, że skontaktuje się ze mną, kiedy wróci do Londynu.

W Teheranie przeżyłam rozczarowanie. Zawsze wyobrażałam sobie Iran jako kraj bardzo romantyczny. Kojarzył mi się ze starożytną Persją i jej kulturą. Tymczasem zobaczyłam miasto zasypane śniegiem

110

i mroźne. Usilnie próbowałyśmy zatrzymać jakiś samochód, który mógłby nas zawieźć do hotelu. Nasze wysiłki zostały w końcu uwieńczone sukcesem i wkrótce zameldowałyśmy się w recepcji jednego z teherańskich hoteli. Następnego dnia skierowałyśmy swe kroki do budynku, obok którego widziano bawiące się dziewczynki. Każdego ranka przez dwie godziny kręciłyśmy się samochodem wokół miejsca zamieszkania dzieci, żeby je dostrzec, gdy będą szły do szkoły. Dziewczynki mieszkały z ojcem w dosyć przyjemnej podmiejskiej dzielnicy Teheranu, z przyzwoitymi domami i sklepami. Byłam tak zmarznięta, że gdyby przyłożono mi kijek do pleców, przypominałabym loda na patyku. Siedziałam w samochodzie przez - jak mi się wydawało - cały wiek z Moniką, Michelle, Alison i wynajętym kierowcą. W końcu musiałam wysiąść, aby mieć wrażenie, że coś robię. Zaczęłam spacerować po terenie, próbując się czegoś dowiedzieć. Weszłam do sklepu, by kupić paczkę herbatników. Powiedziałam sklepikarzowi, że przeprowadzam się do Teheranu, ponieważ mój mąż będzie wykładał na tutejszym uniwersytecie.

Noszenie hidżabu w krajach islamu ma jedną istotną zaletę. Wszyscy zachowują się bardzo przyjacielsko. Przekonani, że jesteś muzułmanką, nabierają do Ciebie sympatii. Uważałam Irańczyków za czarujących, naprawdę serdecznych ludzi.

Czułam się źle, mając świadomość, że nie jesteśmy osobami, za które się podajemy. Skradałam się wokół budynku, uciekając się do różnych drobnych krętaństw. Niekiedy jednak trzeba tak postępować dla zrealizowania szlachetnego celu.

Ustaliłyśmy miejsce, gdzie Ramiz mieszkał z bośniacką żoną i dziewczynkami.

Pomimo że nie miał żadnych kwalifikacji, udało mu się otrzymać pracę na uniwersytecie w Teheranie. Sąsiedzi nazywali go „profesorem z Bośni”. Pewnego ranka poszłyśmy w ślad za nim, co w zasypanym śniegiem Teheranie, zwłaszcza przy bardzo ożywionym ruchu ulicznym, było nie lada wyczynem. Dzięki naszej

wytrwałości dowiedziałyśmy się, że w drodze do pracy korzystał z dwóch autobusów, co zajmowało mu około godziny. Uznałyśmy to za dobrą nowinę. Nie byłoby nam na rękę, gdyby pracował niedaleko domu i - w razie potrzeby - mógł natychmiast wrócić. Alison pierwsza zauważyła go tego ranka, idącego na uniwersytet ze swoją teczką.

- To on. To Ramiz! - stwierdziła cała zeszywniała ze strachu.

Było oczywiste, że się go bała.

Obserwowałyśmy mieszkanie, ale przez dwa dni nie udało nam się dostrzec niczego szczególnego. Trzeciego dnia powiedziałam Monice,

111

że - jak sądzę - obserwujemy nie to mieszkanie. Posprzeczałyśmy się i wysiadłam z samochodu, mówiąc:

- W porządku. Idę zobaczyć, czy rzeczywiście tam mieszkają.

Byłam przekonana, że obserwujemy niewłaściwe mieszkanie. W przeciwnym razie musiałybyśmy w końcu zobaczyć dziewczynki. Bardzo lubię Monikę. Problem polegał na tym, że nasze nerwy były już mocno napięte. Znajdowałyśmy się pod presją tego, co chcemy zrobić, bałyśmy się, że zostaniemy przyłapane, a ponadto czułyśmy się naprawdę zmęczone. Wszystkie dokładałyśmy wielu starań, by zrealizować założony plan.

Michelle i ja zaczęłyśmy rzucać w siebie śnieżkami, przyłączając się do bawiących się dzieci. Za względu na trudne warunki pogodowe i grubą pokrywę śnieżną na ulicach, większość dzieci miała nieoficjalne wakacje. Wdałam się w rozmowę z pewnym chłopcem i zapytałam go, skąd pochodzi. Odparł, że wywodzi się z Indii, ale jego ojciec pracuje w Teheranie. Powiedziałam mu o dwóch małych dziewczynkach, które bawiły się z moją córką kilka dni temu. Zapytałam, czy wie, gdzie one mieszkają. Wyjaśnił, że w innym bloku na trzecim piętrze. Obserwowałyśmy zatem niewłaściwy budynek.

Podjechałyśmy tam samochodem i zaczęłyśmy przed domem rzucać w siebie śnieżkami, robiąc wiele hałasu. Kątem oka obserwowałam okna mieszkania. W pewnym momencie zauważyłam, że zasłona się porusza. Ukazała się mała dziewczynka, miniaturowa wersja Alison. Uśmiechnęłam się do niej, a ona odwzajemniła mój uśmiech, ale w nieco nieufny sposób. Kontynuowałyśmy zabawę, aż w końcu dziewczynki zeszyły na dół i przyłączyły się do nas, rzucając śnieżkami. Bawiłam się z nimi, tarzając się w śniegu. Sądziły, że jesteśmy szalone. Nie mówiły ani słowa po angielsku.

Nagle dostrzegłyśmy idącą w naszym kierunku Alison. Podeszła prosto do dzieci, ale one nie wiedziały, kim jest. Pochyliła się nad nimi i pokazała im bransoletkę, którą kiedyś nosiła jedna z córek. Miała nadzieję, że przypomną sobie znajomy przedmiot. Dziewczynki nie wykazały jednak żadnego zainteresowania. Samantha, czyli Aisza, starsza z dwóch córek, zaczęła rzucać w nią śnieżkami naprawdę mocno, więc powiedziałam Monice, że powinnyśmy natychmiast stąd odejść. W pewnym momencie z budynku wyszedł mężczyzna, żeby zobaczyć, co się dzieje, i ogarnął mnie strach. Z pewnością nie miałam ochoty, aby zatrzymała mnie teherańska policja. Wsiadłyśmy do samochodu, ruszając z powrotem do hotelu w centrum miasta.

Usiadłyśmy, żeby przedyskutować, co należało zrobić. Problem polegał na tym, że córki nie rozpoznały Alison, toteż nie mogłyśmy ich po prostu porwać. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby dwie małe dziewczynki zostały w tym kraju uprowadzone przez cudzoziemki? Zaczęłyby krzyczeć, wezwano by policję i Bóg wie, co jeszcze. To wszystko budziło wielkie obawy. Alison była oczywiście zrozpaczona. W końcu zobaczyła swoje dzieci, a one jej nie poznały.

Nic więcej nie mogłam zrobić, więc następnego dnia wróciłam samolotem do Anglii. Monika i Michelle zostały z Alison w Teheranie. Obejrzałam materiał filmowy, który nakręciły po powrocie do Wielkiej Brytanii i serce mi się krajało, gdy na to patrzyłam. Alison ciągle telefonowała do mieszkania córek, a kiedy jedna z nich podnosiła słuchawkę, próbowała z nią rozmawiać, posługując się kilkoma znanymi jej arabskimi słowami. Dziewczynki wciąż jednak powtarzały: „Nie dzwoń do nas, przestań nas niepokoić”.

Pewnego razu udało jej się skontaktować z Ramizem. Błagała go, żeby nie odkładał słuchawki. Obiecała przekazać mu połowę kwoty uzyskanej ze sprzedaży domu. Zgodziła się też zrezygnować na jego korzyść z prawa do opieki nad dziećmi, pod warunkiem, że wróci do Bośni i pozwoli jej widywać się z córkami. Zapadło milczenie, po czym odłożył słuchawkę.

Ekipa z Shine również rozmawiała z Ramizem, próbując wysondować, czy Alison może zobaczyć się z dziewczynkami. Tym razem Ramiz całkowicie zmienił stanowisko. Spotkał się z byłą żoną, po czym pojechali razem do jego domu. Niebawem otrzymaliśmy od niej list, w którym pisała, że było to wspaniałe przeżycie. Po raz pierwszy od niemal ośmiu lat poczuła się jak prawdziwa mama. Kiedy wróciła do Anglii, tydzień lub dwa później, spotkałam ją i widziałam, że jest szczęśliwa. Wreszcie nawiązała kontakt z córkami. Poprosiła również odpowiednie władze, aby zaniechały oskarżeń przeciwko Ramizowi. Dowiedziałam się później, że wróciła do Teheranu i dziewczynki nazwały ją w końcu mamą. Ramiz zgodził się nawet na wyjazd córek do Wielkiej Brytanii, kiedy już dorosną, na studia lub w innym celu. Należy pamiętać, że przez długi czas matka i córki były rozdzielone, toteż zmiana w ich relacjach zachodziła stopniowo. Alison była jednak przygotowana na podjęcie ryzyka. Dzieci nazywały ją teraz mamą, co stanowiło duży krok naprzód. Odzyskiwała z powrotem swoje życie, a jej córki chciały mieć ją przy sobie. Wszystkie dzieci pragną być ze swoją mamą. Jeżeli dziecko zostaje zabrane od matki,

gdy ma dwa lub cztery lata, powoli o niej zapomina, toteż odbudowanie łączących ich więzi wymaga wiele pracy. Nie pamiętam, co się ze mną działo, kiedy miałam cztery lata i wątpię, czy ktokolwiek inny mógłby to pamiętać. Jednak w tych dziewczynkach istniała potrzeba, a nawet silne pragnienie, kontaktu z matką i te uczucia należało pielęgnować.

Życie bywa okrutne, ale czasami nie pozostaje nam nic innego, jak się z tym pogodzić.

MOJ ŚWIAT SIĘ ZAWALIŁ

Po przyjeździe z Teheranu wróciłam do normalnego życia. Mahmud i ja byliśmy jak dwoje obcych sobie ludzi, żyjących pod jednym dachem. Niemal zupełnie ze sobą nie rozmawialiśmy. W dodatku bezustannie wybuchały między nami kłótnie. Nie wiedziałam, dokąd nas to zaprowadzi. William, mężczyzna, którego spotkałam w samolocie, skontaktował się ze mną i zaprosił mnie na lunch, a ja pomyślałam: „Dlaczego nie?”. Spędziliśmy miło czas. Później spotykaliśmy się co kilka dni, żeby wypić razem kawę lub pójść na spacer. Był świetnym towarzyszem, ale nic się między nami nie działo. Uważałam go jedynie za dobrego kolegę.

Oczywiście, Mahmud postrzegał to inaczej. Mamrotał coś gniewnie pod nosem i zachowywał się wrogo wobec Williama, kiedy ten odwiedził nas w domu. Dzieci jednak go uwielbiały, zaś mój mąż zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nic nas nie łączy, choćby z jednego prostego powodu - nie miałabym na to czasu. Dzień wypełniały mi po brzegi różne obowiązki: odprowadzałam dzieci do szkoły i odbierałam je, robiłam zakupy, doby ledwie na to starczało. William stanowił po prostu kolejny pretekst dla Mahmuda, by mnie atakować. W ciągu kilku następnych tygodni oddaliliśmy się od siebie, jak nigdy przedtem.

Byłam w euforii z powodu interesujących wydarzeń, które działy się wokół mnie. Shine montował program dokumentalny, zaś Andrew Crofts skończył pisać moją pierwszą książkę, która wkrótce miała zostać wydana. Wiedziałam, że się rozwijam, a w moim życiu zaczynają dziać się ciekawe rzeczy. Przypuszczam, iż Mahmud czuł się tym zagrożony. Postanowiłam to jednak ignorować, ponieważ niewiele mogłam w tej sprawie zrobić.

115

Nadszedł wtorek, 25 marca, dzień, który całkowicie zmienił moje życie. Rano Mahmud postanowił zabrać dwoje najmłodszych dzieci do dentysty. Zadzwoił do mnie i powiedział: „Allawi nie czuje się dobrze i nie pójdzie do szkoły. Postanowiłem wziąć go ze sobą, kiedy zaprowadzę Amirę do dentysty”. Córka była zapisana na wizytę w Eastman Dental Hospital przy Gray's Inn Road na King's Cross, ponieważ miała problemy z tylnymi zębami, które nie chciały wyrosnąć. Mahmud zabierał ją tam na odpowiednie zabiegi.

Tego dnia spotykałam się z reporterką ze szkockiego wydania „The Sun”. Chciała napisać artykuł o matkach, którym porwano dzieci i zamierzała przeprowadzić ze mną wywiad. Umówiłam się z nią na spotkanie, jak zwykle w Cafe Rouge w Whiteleys. Spędziłyśmy tam około trzech godzin, kontynuując rozmowę podczas lunchu. Przez całe popołudnie próbowałam dodzwonić się na komórkę Mahmuda, ale była wyłączona. Chciałam zapytać, jak się miewa Amira, ale nie niepokoiłam się zbyt. Nie miałam powodu, by coś podejrzewać. Po południu zadzwonił do mnie Marlon. Powiedział mi, że Mahmud nie odebrał go ze szkoły. W tym momencie dotarło do mnie, że dzieci zostały porwane. Rozboleł mnie brzuch. Byłam absolutnie przekonana, że to zrobił.

Zdesperowana zadzwoniłam do Williama. Okazał się osobą bardzo opanowaną i niezwykle pomocną w sytuacji kryzysowej. Powiedział mi, żebym została tam, gdzie jestem, i od razu przyjechał. Wskoczyliśmy do taksówki i udaliśmy się do szkoły po Marlona, a następnie po Chalida. Chalid chodził do tej samej szkoły co Allawi i Amira, usytuowanej w ładnym wiktoriańskim budynku w Maida Vale. Uczęszczają

do niej przeważnie dzieci rodziców pochodzących z Bliskiego Wschodu. Jedna z nauczycielek wciąż tam jeszcze była i powiedziała mi, że Allawi z Amirą nie przyszli tego dnia do szkoły. Szalałam ze zmartwienia. Jak mogłam pozwolić, żeby to się stało? Wciąż uprzedzałam inne mamy, wyczulając je na najmniejsze oznaki niebezpieczeństwa. Mówiłam, że muszą zawsze mieć się na baczności i zachowywać czujność. A teraz, jak głupia, pozwoliłam, by przytrafiło się to właśnie mnie. Zadzwoiłam do Eastman Dental Hospital. Recepcjonistka potwierdziła, że nikt nie przyszedł na umówioną wizytę Amiry. Następnie William powiadomił policję. Zdawałam sobie sprawę z panującego wokół mnie zamieszania, ale nie potrafiłam tego pojąć. W żaden sposób nie wydawało mi się to rzeczywiste. Czułam, jakby to wszystko było nieprawdziwe, jakby nie miało prawa się wydarzyć. Nazbyt szokujące, by przyjąć za praw-

116

dę. Biorąc pod uwagę misje, jakich podejmowałam się w celu odzyskania porwanych dzieci innych matek, los spłatał mi zbyt okrutnego figla.

Byłam zupełnie oszołomiona. Jak można się czuć, kiedy człowiek, któremu ufasz i uważasz za dobrego, który wspiera cię, gdy pomagasz innym matkom znajdującym się w bardzo trudnej sytuacji, nagle zmienia się i kradnie twoje dzieci? Słowo „zrozpaczona” nie oddaje nawet w przybliżeniu stanu mego ducha. W ciągu godziny cały mój świat się zawalił.

Trudno sobie nawet wyobrazić, że można przeżywać coś bardziej rozdzierającego serce. Wyglądałam przez okno, ilekroć słyszałam samochód. Jeździłam wokół taksówką, w tę i z powrotem, mając nadzieję, wbrew wszelkim logicznym przesłankom, że ich zobaczę, a cała ta sytuacja zaistniała z jakiejś innej przyczyny. Był to absolutny koszmar. Chalid czuł się niepoczyszony, Marlon też był w strasznym stanie. Zadzwoiła moja siostra, a szwagierka, Ibtihal, pojawiła się u nas w domu. Wciąż wtulałam się w ubrania moich dzieci, rozglądając się za rzeczami zabranymi przez Mahmuda. Policja była u mnie do godziny jedenastej w nocy, a następnie wrócili rankiem, by powiadomić mnie, że Mahmud odleciał poprzedniego dnia rano do Bejrutu; wiadomość tę potwierdzili funkcjonariusze na lotnisku.

Powiedzieli nam, że gdyby mój mąż wciąż przebywał z dziećmi na terytorium Libanu, libański rząd mógłby interweniować i dzieci zostałyby mi zwrócone. Odnotowano jednak, że Mahmud przekroczył granicę Syrii i nic już nie dało się zrobić. Widocznie pracownicy brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych mieli w Libanie swoich ludzi, którzy byliby w stanie pomóc w odzyskaniu dzieci. Uważali, że tamtejsze władze również czyniłyby w tym celu starania. W Syrii sytuacja wyglądała jednak zgoła inaczej.

Tego dnia, kiedy porwano moje dzieci, byłam załamana, ale również wściekła. Szczerze mówiąc, jestem przekonana, że gdybym dopadła Mahmuda i miała ze sobą strzelbę, zabiłabym go. Odstrzeliłabym mu głowę. Pamiętam obecność Williama, który próbował zapanować nad sytuacją, a także wiele osób przychodzących i wychodzących z mieszkania, ale tak naprawdę nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje. Byłam zbyt zrozpaczona. Siedziałam przy oknie, wciąż wyglądając na zewnątrz. Czekałam na nich, choć w głębi serca wiedziałam, że ich nie zobaczę. Nie miałam nawet kluczy, by dostać się do mieszkania, ponieważ Mahmud wziął je

ode mnie tego ranka. Musiałam pożyczyć zapasowy komplet od mojej koleżanki Fatimy. Nigdy nie wybaczę mężowi krzywdy, jaką mi wyrządził. Wiem, że powiedział moim małym dzieciom, iż

117

mamusia o wszystkim wie, ma zamiar przyjechać i spotkać się z nimi na miejscu. Wymyślił na poczekaniu bzdurną historyjkę, według której mieliśmy się spotkać w Iraku. W Iraku! Przecież w tym kraju trwała wojna. Czyżby tego nie zauważył? Powiedział im to wszystko jedynie po to, żeby wsiadły z nim do samolotu.

Ibtihal została u mnie przez cały wieczór. Pomimo roli, jaką odegrałam, pomagając jej dotrzeć do Wielkiej Brytanii, i faktu, że ryzykowałam więzienie, by wydostać z Iraku jej syna Jusufa, nie było między nami głębszej przyjaźni. Czułam, że jest osobą chłodną i wyrachowaną. Kierowała się zawsze tylko i wyłącznie swoim interesem. Przyjechała z niczym, teraz zaś mieszkała w komunalnym domu, opłacanym z funduszy miejskich, żyła z zasiłku, uczęszczała na uniwersytet... I nigdy naprawdę nie doceniła faktu, że otrzymała od nas finansowe wsparcie, kiedy zjawiała się w Wielkiej Brytanii.

Powiedziała mi o odwiedzinach Mahmuda kilka dni temu. Poprosił ją o pieniądze, ponieważ chciał zabrać dzieci do Iraku. Zwierzył się siostrze, że pragnie wyjechać z młodszą dwójką, gdyż nie czuje się szczęśliwy. Twierdził, iż zażądałam rozwodu i zamierzałam polecieć z dziećmi do Ameryki. Domyślałam się teraz, jak mogło dojść do podjęcia przez niego takiej decyzji. Istotnie powiedziałam mu, że uważam, iż sprawy między nami nie układają się dobrze i nie potrafię tak dłużej żyć. Nasze wzajemne stosunki pozostawiały wiele do życzenia, a ja musiałam myśleć o przyszłości. Ciągle się kłóciliśmy i towarzyszył nam nieustanny stres. Każdy, kto żył w nieszczęśliwym związku, może zaświadczyć, że takie życie jest straszne. Nie było to również uczciwe w stosunku do dzieci. Podczas kolejnej awantury straciłam panowanie nad sobą, domagając się rozwodu, ale nie wiem, skąd mu przyszło do głowy, jakoby chciała wyjechać z dziećmi do Stanów. A poza tym był jeszcze William. Łączyła nas tylko przyjaźń, ale męska duma Mahmuda musiała zostać zraniona, kiedy widział mnie spędzającą tak dużo czasu z innym mężczyzną. To, czy mieliśmy, czy nie mieliśmy romansu - a faktycznie nie mieliśmy - było dla niego nieistotne. Nie chciał widzieć swojej żony utrzymującej przyjazne kontakty z innym mężczyzną, szczególnie w obecności jego dzieci. Teraz jestem w stanie to dostrzec i zrozumieć. Sądzę, że wykorzystał Williama jako pretekst dla usprawiedliwienia tego, co planował zrobić. Nigdy nie powiedziałam, że już go nie kocham, ale po prostu nie mogłam żyć w ten sposób.

Jeszcze tego wieczoru odwiedziła mnie siostra Sandra razem z mężem Pauliem. Byli naprawdę serdeczni i okazywali mi wiele serca. Pano-

118

wała miła atmosfera, aż do chwili, kiedy powiedziała mi o czymś, co zupełnie mnie zaszokowało. Oświadczyła, że Ibtihal zadzwoniła do niej na dzień przed planowaną akcją, by powiedzieć o planie Mahmuda wywiezienia dzieci do Iraku. Nie wierzyłam własnym uszom. Jak mogła mnie o tym nie zawiadomić? Odpierała moje zarzuty, mówiąc, że dzwoniła do mojego męża. Chciała go nakłonić, by zmienił zdanie, ale nie zastała go w domu, a jego telefon był wyłączony. Ogarnęła mnie wściekłość.



Gdyby do mnie zadzwoniła, miałabym się na baczności i uniemożliwiłabym wywiezienie dzieci z kraju.

Sandra nie rozumiała, dlaczego tak bardzo się zdenerwowałam, słysząc, że została w pewien sposób uprzedzona o tym, co się stanie. Wydawała się uosobieniem spokoju. Mówiła, że wszystko będzie dobrze i nie powinnam się martwić. Jej słowa wprawiły mnie w jeszcze większe rozdrażnienie - Mahmud dzwonił do Ibtihal i gdybym o tym wiedziała, wyostrzyłoby to moją czujność. Tymczasem moja siostra nawet nie pomyślała o przekazaniu mi tak istotnej wiadomości.

Chciałabym jednak cofnąć się myślami do wtorku 25 marca. Kiedy zostałam w domu z Williamem, miałam w głowie kompletny mętlik. Przy Sandrze, która niespodziewanie mnie odwiedziła, a także Ibtihal i całym tym towarzystwie nie byłam w stanie rozsądnie myśleć. Moje mieszkanie przypominało Picadilly Circus. Kiedy pojawiła się policja, potwierdzając, że Mahmud z dziećmi poleciał tego dnia do Bejrutu, sprawdziłam, czy w domu zostały ich paszporty. Okazało się, że nadal były na swoim miejscu. Dopiero następnego dnia dowiedziałam się, że mieli nowe paszporty. Zostały one wydane dwa miesiące wcześniej, 17 stycznia. W ten sposób wyszło na jaw, że mój mąż planował porwanie dzieci od pewnego czasu. Kiedy byłam w Iranie, pomagając kolejnej matce, załatwił za moimi plecami duplikaty brytyjskich paszportów. Skłamał, mówiąc, że oryginalne paszporty zostały zgubione i potrzebują nowych. Działał z premedytacją. To mnie naprawdę bardzo bolało. Przez cały ten czas pozostawałam w błogiej nieświadomości i zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co może nastąpić. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym kiedykolwiek znowu mu zaufać.

Zaczął powoli zabierać rzeczy. Był zmuszony przechowywać je w domu przyjaciela. Później odkryłam, że była to kobieta - nazwijmy ją umownie Lajlą. Była Irakijką z Bagdadu. Musiała mu pomagać. Darzyła Mahmuda sympatią jeszcze zanim się pobraliśmy. Po dziś dzień nie potrafię jej wybaczyć. Sama jest matką, toteż jeżeli posiadała pewną wiedzę, co się wydarzy lub gdzie są moje dzieci, powinna była mi powiedzieć.

119

Nie miałam jej telefonu, ale zapłaciłam prywatnemu detektywowi, żeby zdobył zapis rozmów przeprowadzanych z telefonu komórkowego Mahmuda. Chciałam go w ten sposób wysledzić. Można to zrobić, ale usługa należy do drogich, ponieważ tego typu działanie jest nielegalne. Kosztowała mnie około tysiąca pięciuset funtów. Dzięki zdobytej informacji wiedziałam, że Mahmud zadzwonił do Lajli po swoim wyjeździe, była więc zorientowana w jego poczynaniach.

Później dowiedziałam się o dalszych działaniach mego męża. Następnego dnia, po przylocie do Bejrutu przekroczył granicę i dostał się na terytorium Syrii. Dzieci powiedziały mi później, że pojechali w góry, gdzie zamieszkali z rodziną, która miała psa. Musiały tam spać na podłodze. Mahmud do dzisiaj nie chce ujawnić, kim byli ci ludzie. Obawia się, że mogłabym próbować wyciągnąć wobec nich konsekwencje, choć nie wiem, co ma na myśli.

Interpol powiadomił nas, że Mahmud przekroczył granicę syryjską, jednak już wcześniej zdążyłam się zorientować, iż przebywa na terenie Syrii. Upewniłam się ostatecznie, wybierając numer jego komórki. Zaw-sze łączyła się ona z SyriaTel.

Zostawiałam mu wiadomości, błagając go, by przynajmniej pozwolił mi porozmawiać z dziećmi. Pozostawał jednak nieczuły na moje prośby, nigdy nie odbierał telefonów ani do mnie nie oddzwaniał. Czułam się zraniona, ponieważ telefonował kilka razy do Sandry i Paula. Przekazali mi, że nie chciał, bym rozmawiała z dziećmi, a ponadto miał zamiar zabrać je wkrótce do An-Nadżafu. Do An--Nadżafu! Było to samo centrum działań wojennych! Zdawałam sobie sprawę, co to znaczy, bowiem przez cały czas pilnie śledziłam przekazywane przez media informacje o konflikcie w Iraku.

26 marca o godzinie 11.30 przed południem dwa amerykańskie pociski samosterujące dalekiego zasięgu uderzyły w środek targu pełnego sprzedawców i kupujących w gęsto zaludnionej dzielnicy Asz-Szaab w północnym Bagdadzie. Co najmniej piętnastu niewinnych cywilów zostało zabitych, a przeszło pięćdziesięciu rannych. Wiadomości na kanale Al-Dżazira ukazywały zwęglone samochody i zakrwawione ciała, które wynoszono z miejsca wypadku. Docierały do nas relacje o zamieszkach. Trudno mi było oglądać poszkodowane w wyniku wybuchu, owinięte w bandażę dzieci. Dziennikarskie reportaże opisywały życie osób rannych w ataku: niczego niepodejrzewający Irakijczycy przygotowywali lunch dla klientów na bazarze. W jednej chwili ich podstawowe źródło utrzymania zostało całkowicie zniszczone. Artykuł, który niedługo potem przeczytałam w „The Guardian” jeszcze bardziej pogłębił dręczące

120

mnie obawy o moje dzieci: „Dom nie jest miejscem bezpiecznym, podobnie jak gospodarstwa rolne i targ. Nigdzie nie jest bezpiecznie”.

Gdy do tych prasowych i telewizyjnych relacji dodało się nocne widoki z Bagdadu bombardowanego ze wszystkich stron i niebo rozświetlone eksplozjami, można sobie łatwo wyobrazić, że odchodziłam od zmysłów. Rodzina Mahmuda mieszkała w An-Nadżafie, około stu pięćdziesięciu kilometrów na południe od Bagdadu, pamiętałam jednak, że jego brat przebywał w stolicy. Nie wiedziałam, czy mój mąż był na tyle szalony, by tam pojechać, chociaż okazał się wystarczająco szalony, aby zabrać dzieci do strefy wojennej. Wszystkiego zatem można było się spodziewać. Sam An-Nadżaf również był niebezpiecznym miejscem. Znajdowała się tam baza szkoleniowa bojowników lojalnych w stosunku do szyickiego duchownego Muktady as-Sadra. Stąd też miasto mogło stać się w każdej chwili nowym punktem zapalnym. Czytając o tych atakach, truchlałam z niepokoju. Myśl, że moje dzieci mogą znajdować się wśród zabitych, pogrzebanych w gruzach, była zbyt straszna, by mogła mi się pomieścić w głowie. William próbował mnie przekonywać, że dzieciom nic się nie stanie, ale skąd mógł o tym wiedzieć? Mówienie o precyzji w bombardowaniach jest bzdurą. W czasie wojny śmierć ponoszą tysiące cywilów.

Jak się później okazało, Mahmud przekroczył granicę Iraku dopiero w dniu, kiedy Bagdad został wyzwolony. Pamiętam niewiarygodne sceny pokazywane w telewizji, gdy burzono pomniki Saddama.

Wreszcie zadzwonił do Sandry z Syrii i powiedział jej, że dzieci czują się świetnie, ale nie wrócą do Wielkiej Brytanii. Teraz znałam przynajmniej jego intencje. Od tej pory coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu o konieczności wyruszenia w ślad za nimi. Nie wiedziałam, co zrobię, kiedy tam przyjadę, ale byłam pewna, że nie

mam innego wyjścia.

10

## WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DONIKĄD

Tego wieczoru, kiedy zdałam sobie sprawę, że dzieci zostały uprowadzone, postanowiłam zadzwonić do Moniki ze spółki producenckiej Shine. Wiedziałam z doświadczenia, że poszukiwania na Bliskim Wschodzie - mieszkanie w hotelach, opłacanie kierowców i lokalnych informatorów - kosztuje dużo pieniędzy.

Pomyślałam, że jeżeli zdołam ich namówić, by podjęli się zrobienia następnego filmu, tym razem o mnie, z pewnością pokryliby wydatki. Monika przyszła następnego dnia z Michelle i panią Ros z Chanel 4.

Ten tydzień był szalony - wszyscy składali mi wizyty, zaopatrując w żywność. Pytali, w jaki sposób mogliby pomóc. To jedna z wielkich zalet zintegrowanej społeczności, w jakiej żyję: każdy stara się przyjść z pomocą. Mam bliską przyjaciółkę Latifę, której syn bawi się z Marlo-nem. Tej nocy spała u mnie na kanapie, podczas gdy ja siedziałam w fotelu. Byłam jej wdzięczna za dotrzymanie mi towarzystwa w tych ciężkich chwilach.

Kiedy przyszły Monika i Michelle, Latifa dyskretnie nas opuściła. Nadszedł czas, by omówić sytuację. Usiadłam z nimi przy stole i zaczęłyśmy rozmowę. Przypominało to naradę wojenną. Dzięki Bogu, że były tu ze mną, ponieważ czułam się zbyt zrozpaczona, aby rozsądnie myśleć. Wszystkie zgodziłyśmy się co do jednego: należało dostać się do Syrii i spróbować odnaleźć dzieci, zanim ten szaleniiec będzie próbował zabrać je do Iraku - zakładając, że jeszcze tego nie zrobił.

Monika była bardzo praktyczna i przejęła kontrolę nad sytuacją. Podkreśliła, że będzie to drogie przedsięwzięcie, wliczając opłaty za lot na Bliski Wschód, wynajmowanie kierowców i płacenie lokalnym informa-

122

torom... takie działania podejmowałyśmy już wcześniej z Alison Lalic. Wiedziałyśmy zatem, czego możemy się spodziewać.

- W porządku, zróbmy, co w naszej mocy, żeby zebrać fundusze -oświadczyła z entuzjazmem.

Ze swej strony byłam gotowa uczynić wszystko, by odzyskać moje dzieci.

Zaproponowałam zrealizowanie kolejnego telewizyjnego programu dokumentalnego. Powiedziała, abym się nie martwiła, i obiecała wszystkim się zająć. Dotrzymała słowa. Paul Hamann, dyrektor kreatywny Shine, również okazał się niezwykle życzliwy. Mam za co być im wdzięczna. Paul żywił niezłomne przekonanie, że uda nam się odzyskać dzieci. Tłumaczył mi, bym niepotrzebnie się nie martwiła. Mówił to w bardzo przekonujący sposób; naprawdę mu wierzyłam.

William jednak ich nie lubił. Miał podejrzenia co do intencji, jakimi się kierowali. Sam był dziennikarzem i kwestionował motywy twórców programu Shine. Mówił mi na przykład: „Uważaj na nich. Ty ich nie obchodzisz, oni cię wykorzystują. Chodzi im tylko i wyłącznie o film”. Zaangażował się w tę sprawę i był może nawet zbyt opiekuńczy. Czułam się zupełnie sparaliżowana z powodu szoku, jaki przeżyłam, zaś William pragnął troszczyć się o mnie. W tym czasie nie chciałam nic jeść ani pić. Monika i Michelle pomogły w zgromadzeniu pewnej sumy. Ja wzięłam wszystkie środki, jakimi dysponowałam, i w ten sposób zebrałyśmy trochę pieniędzy. Wszyscy

otaczali mnie ogromną życzliwością. Okazali mi niewiarygodną pomoc. Nigdy jej nie zapomnę. W końcu, we wtorek 1 kwietnia byliśmy gotowe do wyruszenia w drogę. Ludzie doradzali mi, żebym próbowała być silna i zachować dystans, traktując swoje zadanie, jakbym wykonywała pracę dla jednej z moich podopiecznych. Oczywiście, nie potrafiłam się tak zachowywać. Gdy chodziło o moje dzieci, sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. Umiałam być silna dla dobra kobiet, którym pomagałam, ale tym razem od moich działań zależał los własnych dzieci. Przedtem byłam organizatorką, a teraz stałam się ofiarą. Ta nowa rola wprowadziła mnie w dezorientację. Czułam wdzięczność na myśl, że otacza mnie tak wielu życzliwych ludzi, którym mogłam ufać i którzy wiedzieli, co robią.

Tego popołudnia pojechałam na Heathrow z Moniką, Michelle, Mar-lonem i Chalidem. Nie byłam w stanie rozsądnie myśleć - paliły mnie policzki i popadłam w otępienie. Martwiłam się też pieniędzmi. Miałyśmy ograniczony budżet, toteż zebrane środki należało wydawać ostrożnie. Dzieci sprawiały wrażenie oszołomionych tym wszystkim, co się wokół nich działo.

123

Wkrótce weszliśmy na pokład samolotu, który niebawem wystartował. Nie był to długi lot, trwał tylko około czterech godzin. Wszyscy byliśmy pełni powagi, niemal tak, jakby umarł nam ktoś bliski. Uczestniczyłam w tego typu misjach wiele razy, ale znajomość rutynowych działań nie poprawiała mi samopoczucia. Cały ciąg zdarzeń przypominał straszny sen i panowała wśród nas śmiertelnie poważna atmosfera. Monika i Michelle miały do moich dzieci niezwykle serdeczny stosunek. Chalid zachowywał się nerwowo, toteż kiedy do Moniki podeszła stewardesa ze stolikiem na kółkach, kupiła mu misia British Airways, uściskała go i przytuliła. Nazwał go Brit i cieszy się nim do dzisiaj. Muszę przyznać, że chłopcy również stanęli na wysokości zadania. Gdy schodziliśmy do lądowania w Bejrucie, Chalid wyglądał przez okno, obserwując miliardy migoczących w dole świateł. Odwrócił się do mnie i powiedział smutnym głosem:

- Mamusiu, spójrz na to ogromne miasto. Tyle tu świateł i mnóstwo ludzi. Jak znajdziemy Amirę i Allawiego?

Ogrom stojącego przed nami zadania uderzył mnie, jakbym natrafiła na ścianę. Miałam ochotę się rozplakać, myśląc o beznadziejności sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Musiałam jednak nadal być silna dla dobra dzieci.

Uśmiechnęłam się do niego i uścisnęłam mu rękę.

- Nie martw się, kochanie. Znajdziemy ich, nie smuć się tym. Chciałabym czuć się taką optymistką, na jaką wyglądałam.

Walid, kierowca, z którego usług korzystałam podczas poprzednich podróży do Bejrutu, spotkał się z nami na lotnisku. Jest czarującym mężczyzną i wciąż pozostaje z nim w kontakcie. Zabrał nas do hotelu Savoy, gdzie mieliśmy się zatrzymać. Był to okazały, nowoczesny budynek, położony w odległości zaledwie dziesięciu minut jazdy samochodem z lotniska. W elegancko meblowanych apartamentach hotelowych, czuliśmy się jak w przytulnym mieszkaniu. Ze względu na dzieci było to lepsze rozwiązanie niż zatrzymanie się w tanim hotelu. Chłopcy od razu polubili to miejsce, zwłaszcza że naprzeciw znajdował się Burger King i plaża. Apartament był piękny, a łóżka przykrywały puszyste arabskie koce. Zameldowaliśmy się w recepcji

i ułożyłyśmy dzieci do snu. Byłyśmy wyczerpane, więc wcześniej udałyśmy się na spoczynek. Tej nocy udało mi się nawet zasnąć.

Następnego ranka opracowałyśmy plan dalszego działania. Po wyjściu z hotelowego apartamentu skierowałyśmy się na główną aleję, ciągnącą się wzdłuż plaży. Był piękny dzień, świeciło słońce, a Bejrut wyglądał cudownie. Ruch uliczny wydawał się niewiarygodny, ulicami

124

płynęło morze samochodów. Monika nawiązała kontakt z naszą lokalną informatorką w Bejrucie, Leną. Przysłała po nas samochód, toteż pierwszą rzeczą, jaką postanowiłyśmy zrobić, to spotkać się z nią.

Lena jest matką samotnie wychowującą dwoje dzieci i mieszka w pięknym, stylowym mieszkaniu V Bejrucie. Pracuje jako dziennikarka. Powiedziała mi później, że kiedy spotkała mnie tego dnia, wyglądałam na pięćdziesięcioletnią kobietę, zupełnie pozbawioną chęci do życia. Narzeczony Leny był szefem policji w Bejrucie, dzięki czemu miała bardzo rozległe kontakty. Potrafiła się dowiedzieć, o której godzinie Mahmud przekroczył granicę. Znała też inne szczegóły. Po dziś dzień pozostajemy ze sobą w kontakcie. Przyjechała nawet do Anglii, żeby się z nami zobaczyć.

Jej volkswagen garbus stał na zewnątrz. Do wstecznego lusterka była przyczepiona para ogromnych, włochatych maskotek, co - jak sądziłam - wskazywało na poczucie humoru Leny. Żywiłam zatem nadzieję, że znajdziemy wspólny język. Mieszkała w apartamencie na ostatnim piętrze budynku. Pamiętam, że winda była nieczynna, więc musieliśmy wchodzić po schodach. Drzwi otworzyła nam drobna Filipinka.

Lena miała dużego, puszystego perskiego kota, którego od razu polubiłam. Darzę te zwierzęta wielkim sentymentem, gdyż sama jestem właścicielką dwóch kotów.

Chalid zaczął się z nim bawić. Powiedziała mu, że jej dwie córki są teraz na nartach, a oczy mojego syna zaokrągliły się ze zdziwienia.

- W Bejrucie możesz rano jeździć na nartach, a po południu pływać w morzu - stwierdziła z uśmiechem.

Chalid był zafascynowany. Lena traktowała go bardzo przyjaźnie. Nieco później, kiedy wróciły dziewczynki, zabrały moich chłopców do swego pokoju, żeby zająć się Internetem, my zaś usiadłyśmy przy herbacie. Nadszedł czas, żeby omówić nasz plan. Informatorką oznajmiła, że jest gotowa pojechać z nami do Iraku, jeżeli zajdzie taka potrzeba, ale nie sądziłam, by było to konieczne. Ucieszyłam się, że Mahmud i dzieci są jeszcze na terenie Syrii. Mimo obaw, jakie żywiłam przed tygodniem, w głębi serca nie myślałam, iż będzie na tyle szalony, by wybierać się do Iraku, gdzie trwa wojna. Powiedział, co prawda, Sandrze, że ma zamiar się tam udać, ale ja w to nie wierzyłam. Żaden ojciec nie byłby tak obłąkany, aby to zrobić. Niezależnie od tego, jak skrzywiony psychicznie stał się Mahmud, nie sądziłam, by mógł podjąć decyzję o wyjeździe do kraju ogarniętego wojną. Zgodziłyśmy się zatem, że naszym pierwszym celem będzie Syria.

125

Walid wyraził chęć podwiezienia nas do granicy syryjskiej, gdzie dokonalibyśmy wymiany samochodów. Lena, która nam towarzyszyła, miała załatwić kierowcę po drugiej stronie granicy.

Droga z Bejrutu do granicy libańsko-syryjskiej biegnie jednym z najbardziej znanych starożytnych szlaków Wschodu. Po drodze mija się góry Dar al-Bajdar, a trasa kończy się w Al-Massnaa. Zatrzymaliśmy się na krótką przerwę w kawiarni w Sztorze, po libańskiej stronie, gdzie zmieniliśmy kierowców. Pokonanie drogi z Bejrutu do Damaszku zajmuje zaledwie trzy godziny. Uwzględniając jednak stan napięcia wywołany wymianą ognia między uczestnikami wojny domowej, byliśmy zmuszeni zatrzymywać się przy wielu posterunkach obsadzonych policją. Szczególnie utkwił nam w pamięci piękny zjazd między wzgórzami w kierunku Syrii oraz widok ginącej daleko we mgle, szeroko rozpostartej panoramy Damaszku. Patrzyłam na te wszystkie domy i myślałam: „Moje dzieci mogą gdzieś tam być, a ja nawet o tym nie wiem”.

Kierowca zatrzymał się tuż przed Damaszkiem, gdzie znajduje się olbrzymie wolnocłowe centrum handlowe, z wieloma sztyldami, które wydają się dziwnie znajome, jak choćby Dunkin' Donuts. Była to dobra okazja do wypicia kawy i zakupu wody dla dzieci. Czuły się tak zmęczone, że nie wykazywały żadnego zainteresowania nowym otoczeniem. Wszyscy zachowywaliśmy się bardzo spokojnie, zdając sobie sprawę z powagi zadania, którego się podjęliśmy. Modliłam się, by nasze działania zakończyły się powodzeniem. Co pewien czas jeden z chłopców brał mnie za rękę i ścisnął ją. Może chcieli mnie w ten sposób zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Przyjechaliśmy do małego hotelu. Zatrzymało się tam wielu Irakijczyków, którzy przypuszczalnie chcieli znaleźć się w bezpiecznym miejscu, z dala od wojny. Nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi - byli prawdopodobnie przyzwyczajeni do obecności mediów. Widząc kamerę Moniki, brali nas za ekipę filmową i pozostawili w spokoju. Zazwyczaj, kiedy człowiek pojawia się w towarzystwie kierowców oraz lokalnych informatorów i ma ze sobą kamery, traktowany jest jako osoba niepożądana. Zamieszkałam w pokoju wspólnie z chłopcami. Stało w nim kilka pojedynczych łóżek, które zsunęliśmy. Wiedziałam, że Chalid i Marlon byli zmęczeni, zwłaszcza że na zewnątrz panował upał. Po długiej podróży samochodem mieli jednak ochotę wyjść i pograć w parku w piłkę. Ale było już późne popołudnie, musieliśmy zjeść wieczorny posiłek i odpocząć. Następnego dnia czekało nas wiele nowych zadań.

126

Po kolacji umyłam chłopców pod prysznicem, po czym ubrali się w piżamy. Wyjrzelśmy przez okno na to dziwne miasto. Do naszych uszu dobiegł azan\* z pobliskiego meczetu, wzywający ludzi do modlitwy. Była to zakurzona i ponura część miasta. Naprzeciw naszego hotelu stały zaniedbane domy mieszkalne. Okolica sprawiała wrażenie przygnębiającej, a mnie udzielił się ten nastrój. Nasz hotel nie przypominał Marriotta ani innych hoteli wysokiej klasy, do których byłam przyzwyczajona, co też nie poprawiało mi humoru. Damaszek wypełniał różnokolorowy tłum. W pewnej chwili przyszło mi do głowy pytanie: „Co ja tu w ogóle robię?”.

Położyłam się do łóżka, przytuliłam do chłopców i usnęłam. Dobrze spaliśmy tej nocy. Następnego ranka, około szóstej, obudziło mnie dobiegające z pobliskiego minaretu wezwanie do modlitwy. Uświadomiłam sobie wówczas, że jestem teraz w

innej części świata. Chłopcy nie mogli w to uwierzyć. Wyskoczyli z łóżek, bardzo tym podnieceni. W kilka minut byliśmy już na dole, gdzie czekały na nas Monika i Michelle, po czym udaliśmy się na miejscowy posterunek policji.

Zastaliśmy tam na służbie młodego policjanta z Aleppo. Okazał się niezwykle przyjazny. Powiedziałam mu, że mój mąż i dzieci zaginęły, wobec tego chciałabym, aby zarejestrowano ich jako osoby poszukiwane. Być może, ktoś mógłby ich zobaczyć - przecież nigdy nic nie wiadomo. Policjant okazał dużą pomoc.

Powiedział, bym się nie martwiła, i że zrobią wszystko, co w ich mocy, aby odnaleźć moją rodzinę. Chociaż nie sądziłam, by byli w stanie cokolwiek zrobić, jego przyjazna twarz dodawała mi otuchy. Czułam wdzięczność za życzliwość, jaką mi okazał.

Teraz trzeba było zająć się uzyskaniem wizy do Iraku. Skierowaliśmy zatem kroki do irackiej ambasady. Uprzedziłam chłopców, że jeżeli ktokolwiek ich zapyta, mają powiedzieć, iż byliśmy z Mahmudem na wakacjach i w jakiś sposób się pogubiliśmy. Zabawny był fakt, że iracka ambasada stała naprzeciwko amerykańskiej. Kilkaset kilometrów stąd jeden kraj zadawał drugiemu ciężkie ciosy, nieustannie go bombardując. Tymczasem w Damaszku obie ambasady były otwarte i wzajemnie tolerowały swoje istnienie. Były usytuowane naprzeciw siebie i można było załatwiać w nich różne sprawy, jakby nic się nie zmieniło w stosunkach między obu krajami. Zwróciło moją uwagę, że na zewnątrz kręciło się wielu członków ochrony.

W ambasadzie panował chaos. Kłębiło się tu mnóstwo ludzi, którzy chcieli otrzymać wizy lub uzyskać informacje o krewnych. Mężczyźni

'Wezwanie do modlitwy, śpiewnie recytowane przez muezina z minaretu pięć razy dziennie.

127

siedzieli po jednej stronie, a kobiety po drugiej. Na zewnątrz dzieci w szkolnych mundurkach demonstrowały przeciwko Amerykanom. To było szaleństwo: świat w stanie wrzenia. Zupełnie upadłam na duchu. Kiedy pomyślałam o tysiącach ludzi uwikłanych w konsekwencje wojny, wysiedlonych ze swoich domów, nie mogłam sobie wyobrazić, jakim sposobem zdołam odnaleźć moje dzieci.

Udałam się do ambasady z brytyjskim paszportem. Irakijczycy nienawidzili Brytyjczyków z powodu ich zaangażowania w wojnę, toteż sądziłam, że nie mam żadnych szans. W końcu wyszedł do mnie sekretarz ambasady. Miał na imię Tahir i okazał się uroczym człowiekiem. Mierzył około stu siedemdziesięciu centymetrów, był łysy i nosił okulary od Cartiera w złotych oprawkach. Był ubrany w garnitur i krawat. Myślę, że od razu mnie polubił. Zaczęłam z nim trochę flirtować i często się uśmiechałam. W trakcie moich poprzednich misji zauważyłam, że ilekroć udawało mi się pozyskać przychylność mężczyzn w tej części świata, życie stawało się znacznie łatwiejsze. Zamówił soki dla dzieci i herbatę dla nas, a następnie zaprosił do swego gabinetu, posadził i zapytał, co może dla mnie zrobić. Powiedziałam, że straciłam męża. Sądził, że mój małżonek zmarł, toteż złożył mi kondolencje.

Wyjaśniłam, że zagubiłam go w ulicznym tłumie, co uznał za zabawne, biorąc pod uwagę, iż opacznie zrozumiał moje słowa. Zapytał, czy mąż przebywa obecnie w Iraku. „Niestety nie wiem - odparłam - i dlatego właśnie tu jestem”. Chciałam w ten sposób sprawdzić, czy Mahmud przyszedł do ambasady po wizę. Urzędnik nie

podejrzewał, że ojciec porwał dzieci, ponieważ towarzyszyło mi dwoje pozostałych. Który mężczyzna zabrałby młodsze dzieci, zostawiając starsze? Mahmud jednak świadomie wybrał młodszą dwójkę. Tylko one mogły ulec jego namowom, by wyjechać z kraju bez matki. Marlon i Chalid zadawaliby zbyt wiele niewygodnych pytań.

Poprosiłam pana Tahira o wizy, ponieważ, jak zapewniałam, pragnęłam możliwie szybko sprawdzić, czy mój mąż dotarł już do naszej rodziny w Iraku. Stwierdził, że muszę w tej sprawie spotkać się z ambasadorem, i wyszedł z gabinetu. Kiedy wrócił, poprosił, żebym z nim poszła. Ambasador był niskim, przysadzystym mężczyzną. Nosił wąsy i okulary. Sprawiał wrażenie bardzo miłego człowieka. Zapytał, czy mówię po arab-sku, na co odpowiedziałam twierdząco. Chciał się dowiedzieć, dlaczego nalegam na wyjazd do Iraku. Powiedziałam mu, że jestem Irakijką, podobnie jak mój mąż, i chcielibyśmy być znowu razem. Wyjaśniłam też, że kiedy się zgubiliśmy, Mahmud zapewne pojechał do swojej matki, gdyż

128

był to cel naszej wspólnej podróży. Nie wiem, czy uwierzył w tę historię, ale jako dżentelmen nie chciał mnie wypytywać.

Zaczął nam opowiadać o trudnej i niebezpiecznej sytuacji w Iraku. Zaznaczył również, że nie będę mogła otrzymać wizy tego samego dnia. W odpowiedzi stwierdziłam, że nie potrzebuję jej aż tak pilnie. Na razie zamierzałam rozejrzeć się za mężem i dziećmi w Syrii, a dopiero potem chciałabym pojechać do Iraku.

Ambasador zapytał mnie również, czy między mną a mężem były jakieś problemy. Roześmiałam się, jakby powiedział coś zupełnie niedorzecznego.

- Pomędzy mną a Mahmudem? Oczywiście, że nie. Jesteśmy już dłużej małżeństwem i nie ma między nami nieporozumień.

Przemyślał moje słowa i oświadczył:

- Zgoda. Wydamy wizę dla pani i dzieci,

Zapytałam o wizę dla Michelle, która nam towarzyszyła. Monika czekała na zewnątrz ze względu na swoje blond włosy i amerykański paszport.

- Nie, obawiam się, że to niemożliwe - powiedział.

Gdy spytałam o powód odmowy, odparł, że mogłaby pojechać jedyne nie w charakterze „ludzkiej tarczy”. Było to jednoznaczne z brakiem zgody na wydanie normalnej wizy. Był gotów zaaprobować jej wyjazd do Iraku tylko pod warunkiem, że przyłączy się do jednego z oficjalnych konwojów pacyfistów z Zachodu, czyli „ludzkich tarcz”, jak pisano o nich w prasie.

Nie miałyśmy zamiaru zgodzić się na tego typu propozycję, chociaż Michelle powiedziała, że gdyby zaszła taka potrzeba, byłaby gotowa to zrobić. Właśnie dlatego kochałam ludzi z Shine, za pozytywne myślenie podejmowali różne działania z godnym podziwu poświęceniem.

Odebraliśmy wizy dla mnie i dzieci. Byłam szczęśliwa, że je dostałam. Obawiałam się bowiem, że Mahmud może pojawić się i poinstruować pracowników ambasady, aby nie wydawali mi wizy - w takich wypadkach postępuje się zgodnie z wolą męża.

Mieliśmy szczęście, że przyjechaliśmy do ambasady pierwsi. Moja euforia ustąpiła jednak wkrótce, kiedy zdałam sobie sprawę z żałości krótkiego terminu na jaki wiza została wystawiona - zaledwie trzy dni. Zupełnie straciłam zapał.



W głębi duszy wiedziałam, że w ciągu tych kilku dni nic się nie zdarzy. Po wyjściu z ambasady wróciliśmy do hotelu.

Dzieci znów czuły się zmęczone, toteż zaprowadziłam je do parku żeby mogły trochę się rozerwać i pograć w piłkę. Park był nieduży; ni> było w nim prawdziwej zieleni, tylko tu i ówdzie rosły przykurzona

12

krzewy. Usiadłam w kawiarni, zamówiłam sobie arabską herbatę i obserwowałam ludzi. Spacerowały tam romantyczne pary, trzymające się za ręce. Domyślałam się, że są nowożeńcami. Wszędzie bawiło się mnóstwo dzieci. Kierowca, który zabrał nas z libańskiej granicy do Damaszku, przyłączył się do nas. Pograł z chłopcami w koszykówkę, co dobrze im zrobiło. Zauważyłam jednak, że nie byli w tę grę mocno zaangażowani. Wciąż na mnie spoglądali, jakby chcieli potwierdzić, że zauważają mój niepokój, i powiedzieć: „Nie martw się, mamo, wciąż tu jesteśmy”. Na ramionach tej dwójki spoczywał ogromny ciężar. Widziały, że ich mama siedzi zrozpaczona na ławce w dziwnym mieście. Byłam zatroskana, cała we łzach i chciałam jedynie dowiedzieć się, gdzie są moje uprowadzone dzieci. Musiałam jednak być silna dla dobra Marlona i Chalida.

Czułam się winna. Wydawało mi się, że powinnam coś robić, chodzić po ulicach i wypatrywać moich dzieci. Z tego, co wiedziałam, zapewne były nadal w Damaszku. Przyglądałam się ludziom przechodzącym obok mnie i myślałam: „Mogłyby iść ulicą, po drugiej stronie, a ja nawet bym o tym nie wiedziała”. W głowie kłębiły mi się różne myśli. Przypominało to oczekiwanie na wizytę w poczekalni u lekarza i zastanawianie się nad dolegliwościami każdej z siedzących tam osób. Byłam bezradna. Przypomniłam sobie, że pewnego razu, będąc dzieckiem, poszłam z mamą na targ i zgubiłam się. Wpadłam wtedy w przerażenie, gorączkowo próbując ją odnaleźć.

A potem zaczęłam zastanawiać się nad położeniem dzieci: co teraz myślały? Czy tęskniły za mną? Czy były świadome, co się stało? Czy Mahmud radził sobie z Allawim, który był prawdziwym urwisem. Znajomi pocieszali mnie, abym się nie martwiła, gdyż mój mąż na pewno zadzwoni. Kłopoty z Allawim, prędzej czy później, zmuszą go do tego. Rzeczywiście miałam nadzieję, że skontaktuje się ze mną, ale nigdy tego nie zrobił. Próbowaliśmy do niego dzwonić. Niestety, bezskutecznie -jego komórka była zawsze wyłączona.

Kręciliśmy się w kółko, rozglądając się wszędzie, aż w końcu, po kilku dniach, Monika wzięła mnie na stronę i powiedziała:

- Słuchaj, Donya, nasze działania nie przynoszą żadnego rezultatu. Musimy już wracać.

Myślę, że cała ta sytuacja już je zmęczyła. Prawdopodobnie nie miały serca powiedzieć mi, że nadszedł czas, by zrezygnować i pojechać do domu. Nieustannie błąkaliśmy się bez celu, wchodząc do sklepów, kawiarni i innych miejsc, ze zdjęciami dzieci, pytając, czy ktoś je widział. Oczywiście - jak było do przewidzenia - nikt ich nie pamiętał. Zdecy-

130

dowałam, że najwyższa pora, by przyjąć bardziej realistyczną postawę. Dzieci musiały wrócić do szkoły. A ja sama tak naprawdę nie wiedziałam, co tu jeszcze

robię.

- Będzie lepiej, jeżeli wrócimy do Anglii i przemyślimy sprawę jeszcze raz - powiedziała Monika. - Popracujemy nad tym. Musimy znaleźć jakiś nowy trop. To, że tu jesteśmy, nie oznacza, iż uda nam się coś osiągnąć. Nie wiemy nawet, czy są w Syrii, a co dopiero w Damaszku. Wróćmy do domu i pomyślimy o naszym następnym kroku. Być może Mahmud zadzwoni, a my będziemy wówczas mogli pójść tropem tego telefonu. Wszystko jest lepsze niż obecna sytuacja.

Było wiele „być może”. Czułam się pusta, ogromnie smutna i bezradna.

11

## FAŁSZYWE TROPY I PUSTE OBIETNICE

Tak też zrobiliśmy. Wylecieliśmy z Bejrutu w niedzielę, 6 kwietnia 2003 roku.

W poniedziałek udałam się do Kilburn w północno-zachodnim Londynie. Miałam zamiar poszukać sukienek dla Amiry, tak jakbym chciała przekonać samą siebie, że córeczka wróci, a wszystko, co się wydarzyło, było tylko koszmarnym snem, z którego wkrótce się obudzę. Kiedy robiłam zakupy, zadzwonił mój telefon komórkowy. Był to Andrew Crofts, pisarz, który pomógł mi w przygotowaniu mojej pierwszej książki.

- Posłuchaj, Donya - powiedział. — Skontaktował się ze mną pewien mężczyzna. Jest prywatnym detektywem. Twierdzi, że najlepszym w Anglii.

Pozwoliłam Andrew dać mu mój numer telefonu i - jak było do przewidzenia - zadzwonił do mnie. Chciał się ze mną spotkać i obiecywał pomoc w odzyskaniu dzieci. Byłam tak zdesperowana, że skorzystałabym z każdej możliwości pomocy.

Zapytał, gdzie mieszkam i zapowiedział swoje przybycie za kilka godzin. Mój Boże - pomyślałam - jest pełen zapału.

Zjawił się w moim mieszkaniu tego samego popołudnia. Szczerze mówiąc, nie wywarł na mnie najlepszego wrażenia. Miał nadmierną tuszę, moją uwagę zwróciły też jego zbyt duże stopy. Jeździł eleganckim samochodem w ciemnym kolorze.

Wszedł do pokoju, usiadł na kanapie i obiecał dzieciom koszulki drużyny futbolowej, ale nigdy swojej obietnicy nie spełnił. Twierdził, że zna niektórych piłkarzy z mistrzowskiej drużyny. Roztaczał wokół siebie odpowiednią atmosferę, opowiadając chłopcom to, co chcieli usłyszeć. Zapewniał, że może im załatwić koszulki najlepszych zawodników z ich podpisami. Pocieszał Marlona, że-

132

by się nie martwił, gdyż on odzyska jego brata i siostrę. Czułam, że rozbudzanie w chłopcach nadziei i próby zyskania w ten sposób ich zaufania nie powinny mieć miejsca. Być może, był w gruncie rzeczy miłym facetem, ale nie powinien składać obietnic, których nie mógł spełnić. Powtarzał mi ciągle, aby rń się nie zdręczała.

Powoływał się na liczne kontakty i możliwości. Chciałabym podkreślić, że nie była to wina Andrew, który spotkał się z nim tylko raz.

Detektyw wykonał z powodzeniem przynajmniej jedno zadanie. Udało mu się zdobyć billingi rozmów telefonicznych Mahmuda. Uprzedził, że będzie mnie to kosztować sporo pieniędzy, i faktycznie tak było - musiałam zapłacić około tysiąca pięciuset funtów. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że tym razem dotrzymał obietnicy.

We wtorek wpadł, by odebrać pieniądze, a po pewnym czasie wrócił z billingami.

Następnie wybrał się do Marusz, restauracji, w której Mahmud pracował, by

dowiedzieć się, do kogo mój mąż dzwonił tego dnia, kiedy opuścił z dziećmi Wielką Brytanię. Koledzy Mahmuda twierdzili, że nic nie wiedzieli na temat jego planów porwania Allawiego i Amiry. Powiedział im tylko, że zamierza wyjechać, aby zobaczyć się z rodziną. Zwolnił się z pracy kilka tygodni wcześniej, toteż, patrząc wstecz, zdałam sobie sprawę, że bywały dni, kiedy mówił mi, że idzie do pracy, a wcale się tam nie wybierał - czynił wówczas prawdopodobnie ostatnie przygotowania do podróży.

Billingi rozmów wskazywały, że dzwonił do Lajli i mężczyzny - będę go nazywać Hamadą - innego kelnera z restauracji Marusz. Skontaktowaliśmy się z nimi, ale zaprzeczyli, by cokolwiek wiedzieli. Przeglądając zapisy rozmów, zorientowałam się, że telefonował do Lajli na godzinę przed zabraniem dzieci. Kiedy do niej zadzwoniłam, powiedziała jednak, iż od wielu miesięcy nie miała żadnych wiadomości od Mahmuda i nie wiedziała, co się z nim dzieje.

- Kłamiesz! - zaprotestowałam stanowczo. - Mam tu billingi rozmów, które dowodzą, że byliście ze sobą w kontakcie.

Próbowała się tego wypierać, mówiąc, że nigdy by się czegoś podobnego nie dopuściła, dodając, „tak mi dopomóż Bóg”. Wręcz przeciwnie, zrobiłaby wszystko, by pomóc mi w odzyskaniu dzieci. Twierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego. Nie odważyłaby się zaangażować w tak straszną rzecz.

- Przecież sama jestem matką - powiedziała. - Nie zadałabym tak wielkiego cierpienia innej matce.

Pozwoliłam jej skończyć i powiedziałam:

133

- Nie kłam. Wiem, co czujesz do Mahmuda. Jestem kobietą i doskonale zdaję sobie sprawę, kiedy innej kobiecie podoba się mój mąż.

Powiedziałam jej też, że wiedziała o tym cała społeczność.

- Nie opowiadaj kłamstw o Mahmudzie - kontynuowałam. - To, co zrobił, jest rzeczą karygodną. Zupełnie mnie nie obchodzi, co ci o mnie mówił. Jestem dobrą matką.

Będąc mężatką, nie rzucam się też na żonatyh mężczyzn. - Zirytowana rozłączyłam się.

Podobne kłopoty miałam z Hamadą. Zachowywał się bardzo grzecznie, ale stanowczo. On również zaprzeczył, by o czymkolwiek wiedział. Uprzedziłam, że jeżeli potwierdzi się jego kłamstwo, będę go ścigać. Oczywiście wiedziałam, że kłamie. Po wielu perswazjach w końcu się poddał, przyznając, że Mahmud z dziećmi był w jego mieszkaniu. To właśnie tam przebrał Allawiego i Amirę ze szkolnych mundurków w codzienne ubrania.

Przez cały ten okres utrzymywałam kontakt z policją. W owym czasie pracował tam fantastyczny zespół zajmujący się ochroną dzieci, na którego czele stał Andy Mountfield. Wszyscy pracownicy na Paddington Green, gdzie mieściła się ich siedziba, odnosili się do mnie z niezwykłą życzliwością. W sytuacji wywiezienia dzieci z kraju mieli jednak ograniczone pole manewru. Kilku z nich powiedziało mi wprost: „Chcielibyśmy po prostu tam polecieć i przywieźć twoje dzieci z powrotem, ale nie leży to w zakresie naszych kompetencji. Mamy związane ręce”. Policja złożyła nam wizytę w dniu, kiedy dzieci zniknęły. Później Andy regularnie do mnie dzwonił, pytając, czy mam jakieś nowe wiadomości.

Był uroczym mężczyzną po czterdziestce, pełnym godności, bardzo uprzejmym i spokojnym, ojcem rodziny. Sposób, w jaki się do mnie zwracał, przypominał prowadzenie rozmowy przez lekarza. Miał na mnie kojący wpływ. Był policjantem, więc musiał zachowywać dużą ostrożność, aby wszystkie rady, które mi dawał, mieściły się w granicach prawa. Wykazywał dużą troskliwość. Niepokoił się o samopoczucie psychiczne i fizyczne moich porwanych dzieci, zwłaszcza że były w Iraku. Zdawał sobie sprawę, że nie jest to dla nich odpowiednie miejsce. Zachowywał się zawsze bardzo profesjonalnie, nigdy nie przekraczał określonych granic, ale dawał jasno do zrozumienia, że sprawa moich dzieci leży mu na sercu. Znał moją przeszłość i wiedział o pomocy, jakiej udzielałam innym matkom. Zapewne zdawał sobie sprawę, iż pojedą ich szukać. Sądzę, że akceptował to i na swój sposób szanował moje stanowisko. Będąc zaan-

134

gazowany w ochronę zaginionych dzieci, martwił się również o dobro Marlona i Chalida.

Później, kiedy udało mi się odzyskać syna i córkę, odwiedził nas ze swoją koleżanką Margaret. Znałam go z poprzednich wizyt w naszym domu i natychmiast rzuciła mi się w oczy ogromna zmiana w jego zachowaniu. Widziałam, jak na widok Amiry i Allawiego jego twarz się rozpromieniła. Ten policjant naprawdę kochał dzieci i był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Dodawał mi otuchy i wspierał, ponieważ bliskie mu było ich dobro.

Wiedziałam, że policja w rozmaitych sytuacjach składa różne zapewnienia. Próbuje nas przekonać, że panuje nad całą sytuacją i wszystko będzie w porządku. Kiedy jednak moje dzieci zaginęły, zdawałam sobie sprawę z jej ograniczeń, a także z tego, jak niewiele może dla mnie zrobić. Widziałam to zbyt wiele razy.

Zgodnie z moimi przewidywaniami policja - mam tu na myśli zwyczajną policję, w przeciwieństwie do zespołu Andy'ego Mountfielda -okazała się powolna w podejmowaniu jakichkolwiek działań. Biorąc pod uwagę doświadczenia z przeszłości, wiedziałam, jak niezbędne jest szybkie działanie, nawet jeżeli istnieje bardzo niewielka szansa zatrzymania ojca z dzieckiem, zanim wyjadą z kraju.

Należało znaleźć trop jak najwcześniej, a następnie zacząć deptać im po piętach. Policja nie miała jednak takiego podejścia do sprawy. William i ja bezustannie do nich dzwoniliśmy, zawracając im głowę naszymi problemami, i tylko dlatego dalej nad tym pracowali.

William okazywał mi wiele wsparcia. Był przy mnie przez cały czas, przytulał, namawiał do jedzenia i przestrzegania regularnych godzin snu. Spał u siebie, ale wracał następnego dnia. Byłam jednak tak oszołomiona wszystkim, co działo się wokół mnie, że zwałam winę na niego, mówiąc, iż być może Mahmud był zazdrosny i chciał mnie ukarać. William przyjął to jednak spokojnie. Jak twierdził, i tak by do tego doszło. Podkreślał, że mój mąż już w styczniu wystąpił o paszporty, a przecież wtedy nawet się jeszcze nie znaliśmy. I miał rację. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Dlatego często myślę o tym, czy nie za ostro go wtedy zaatakowałam. To straszne, że kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, ranimy tych, na których najbardziej nam zależy.

Prywatny detektyw, którego wynajęłam, oświadczył, że polecimy do Damaszku w

środę 9 kwietnia, dwa dni po naszym pierwszym spotkaniu.

135

Było rzeczą istotną, by działać szybko, kiedy mogliśmy jeszcze wytropić ślady Mahmuda. Detektyw odkrył, że korzystał on z kawiarni interne-towej w stolicy Syrii. Potrzebowaliśmy pilnie pieniędzy na opłacenie przelotów. Zadzwoiłam do Sandry i Paula - nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym się zwrócić. Detektyw poinformował mnie, że zapłacił już za bilety swoją kartą kredytową, więc musiałam zwrócić mu pieniądze. Uprzedził też, że będziemy potrzebowali sporo pieniędzy na kierowców, hotele i inne wydatki. Zgodnie z jego obliczeniami należało zebrać dwa tysiące funtów. Obiecał pracować za darmo, ponieważ chciał pomóc, ale trzeba było pokryć wszystkie koszty.

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że przedstawione przez niego rachunki zupełnie się nie zgadzały. Wiem, że bilety do Bejrutu można kupić dosyć tanio - już za dwieście pięćdziesiąt funtów, a z pewnością nie powinno się zapłacić więcej niż czterysta funtów za jeden. Nie wiedziałam, na co potrzebujemy aż tyle pieniędzy. Nie potrafiłam jednak myśleć rozsądnie. Straciłam charakterystyczny dla mnie obiektywizm. Zaufałam po prostu temu mężczyźnie, wierzyłam, że uda mu się odzyskać moje dzieci. Obiecał brać pokwitowania za swoje wydatki i zwrócić pieniądze, które nie zostaną wydane. Wszystko miało być uzasadnione. Do dziś jednak nie oddał niewykorzystanych pieniędzy ani nie rozliczył się z poniesionych kosztów.

Tego dnia pojechaliśmy spotkać się z Sandrą i Paulem na przystanku autobusowym w pobliżu ich domu w Stevenage. Mieli zajmować się Cha-lidem i Marlonem, kiedy będę za granicą, toteż pożegnałam się z dziećmi i dałam detektywowi pieniądze, które mi pożyczyli. W sumie dostał około trzech tysięcy funtów.

Po raz pierwszy od czasu, gdy dzieci zostały uprowadzone, spędzałam wieczór zupełnie sama. Czułam się bardzo dezorientowana. Nie miałam pojęcia, komu mogę naprawdę ufać. Myślałam, że wszyscy mnie okłamywali - wiedzieli, co się wydarzy, tylko ja dowiedziałam się o tym ostatnia. Traciłam zaufanie do społeczności, w której żyłam. Skoro Mah-mud zwierzył się obcym ludziom - Hamadowi i Lajli - sądziłam, że mógł wyznać swoją tajemnicę również innym, bliższym mi osobom. Komu zatem mogłam ufać? To naprawdę bolało.

W środę po południu mieliśmy lecieć do Bejrutu. Kiedy zgłosiliśmy się do odprawy, urocza pracownica linii lotniczych, Sandra, oznajmiła, że mnie rozpoznała. Słyszała o tym, co mnie spotkało i w związku z tym podniosła nam standard usługi.

Powiedzieliśmy jej o naszym zamiarze odbycia podróży do Iraku. Nie chciałam ujawnić prawdziwego celu wy-

136

jazdu, toteż poinformowałam ją, że uczestniczymy w projekcie charytatywnym i próbujemy zebrać pieniądze, by pomóc moim podopiecznym. Podczas lotu wspaniale odpoczęłam. Przylecieliśmy do Bejrutu późno w nocy, około 22.30. Spodziewałam się ponownie spotkać z Walidem, ale nie było po nim śladu. Jednak kiedy do niego zadzwoniłam, przyjechał i odwiózł nas do granicy, gdzie musieliśmy zmienić kierowcę przed dalszą podróżą do Damaszku. Bardzo się martwiłam o Chalida i Marlona, ale jakaś wewnętrzna siła popychała mnie naprzód. Przyjechaliśmy do tego

samego hotelu, w którym zatrzymaliśmy się podczas poprzedniej podróży, około 1.30 w nocy. Pamiętam, że było mi bardzo zimno. Poszłam prosto do łóżka, zasnęłam i śniły mi się dzieci.

Rano obudził mnie azan, więc wcześnie wstałam. Zjedliśmy śniadanie, po czym wyszliśmy rozejrzeć się po okolicy. Dzień stawał się coraz bardziej upalny.

Przypominam sobie, że w pewnym momencie wyrósł przed nami pies, który pojawił się nie wiadomo skąd, i skoczył na nas. Kiedy stał na tylnych łapach, był wyższy od mojego towarzysza. Przestraszyłam się na dobre, ale sądzę, że pies był po prostu ciekawski. Trudno było mieć pretensje do zwierzęcia. Detektyw wyraźnie się wyróżniał wśród ulicznego tłumu: krzepki mężczyzna z Zachodu, ubrany w wojskowe spodnie z nogawkami upchniętymi w wysoko sznurowane buty. Wyglądał, jakby był moim osobistym ochroniarzem. Przez cały dzień, podobnie jak poprzednio, chodziliśmy wokół centrum miasta, szukając wiatru w polu, to znaczy wypatrując Mahmuda i dzieci. Bezskutecznie rozpytywaliśmy o nich w barach i kawiarniach. Poszliśmy do kawiarenki internetowej, ale nie potrafili nam niczego powiedzieć. Detektyw przypominał sobie o zasłyszanej informacji, że Mahmuda z dziećmi widziano w pobliżu, toteż zaczęliśmy pukać do drzwi okolicznych mieszkań, pokazując ludziom zdjęcia i pytając, czy ich widzieli. Oczywiście zaprzeczali. Wszystkie nasze działania trafiały w próżnię.

Przydarzyła mi się jednak zabawna historia. Na jednej z damasceńskich ulic spotkałam przyjaciela Mahmuda. On również, zbiegiem okoliczności, miał na imię Mahmud. Zapytałam, czy widział mojego męża i dzieci, ale okazało się, że nie. Nie mówiłam mu, co mnie tu sprowadza, po prostu przez chwilę ze sobą rozmawialiśmy. Poprosił, bym wspomniała o naszym spotkaniu Mahmudowi, pożegnał się i poszedł. W tym momencie zaczęłam wątpić w przydatność prywatnego detektywa.

- No cóż, mówiłeś, że znajdziesz Mahmuda, i faktycznie tak się stało. Niestety, to nie był ten, o którego chodzi - rzuciłam uszczypliwą uwagę.

137

O szóstej po południu wróciliśmy do hotelu. Pot spływał z mego „ochroniarza” wiadrami. Z trudem znosił panujący tu upał, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę jego nadwagę. Telefonował do swojej żony. Nie podsłuchiwałam rozmowy, ale z jej przebiegu domyśliłam się, że żaliła się, a on martwił się o nią. Spodziewała się dziecka. Weszłam do jego pokoju i zapytałam, co powinniśmy teraz zrobić.

- Posłuchaj, Donya, sądzę, że należy wrócić do domu. Nie znajdziemy ich.

Jego słowa wprawiły mnie w osłupienie.

- Co masz na myśli?

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy dostarczają mi informacji i otrzymałem wiadomość, że nie ma ich już w Damaszku. Dlatego powinniśmy wrócić do Anglii, spotkać się z Paulem Hamannem oraz ekipą z Shine i zorientować się, czy dostaniemy od nich odpowiednią sumę pieniędzy, by ponownie podjąć poszukiwania. Moglibyśmy ich namówić, żeby zrobili o nas film dokumentalny. Wówczas wszyscy byśmy zarobili. Pomyśl, jak byłoby wspaniale, gdyby w filmie znalazły się sceny nakręcone po odnalezieniu dzieci i powrocie z nimi do domu!

Tak więc w jego wyobraźni powstawał już scenariusz filmowy, on zaś odgrywał w nim rolę bohatera na podobieństwo Bruce'a Willisa. Wiedziałam, że Monika i ludzie z

Shine przejrzą go na wylot. Michelle z kolei należy do osób bardzo bystrych i dosyć praktycznych. Jest producentką, a jej chłopak pracuje jako dziennikarz, toteż niełatwo zamydlić im oczy. Zaczęłam odnosić się do mojego „bohatera” z chłodem i rezerwą. Teraz dopiero odkryłam, że zaangażował się w tę sprawę jedynie dla pieniędzy i sławy.

- Posłuchaj, absolutnie nie mogę się na to zgodzić. Chodzi o moje dzieci. Jeżeli ktoś przywiezie je do domu, będę to właśnie ja.

Zrezygnowaliśmy z naszej misji. W moim wypadku po raz drugi tego samego tygodnia. Czułam się bardzo przybita. Polecieliśmy do Londynu, ponownie przez Bejrut. Na Heathrow, kiedy czekaliśmy na nasze bagaże, zadzwoniła żona detektywa. Z pewnością doszło między nimi do awantury. Słyszałam, jak na niego krzyczała. Skończył rozmowę, żałośnie wzruszył ramionami i powiedział: „Zostawiła mnie”. Tak jakbym miała czas i energię, by myśleć o jego problemach. Jestem przekonana, że pokłócili się, kiedy byliśmy w Damaszku, i to była prawdziwa przyczyna, dla której musieliśmy wrócić.

Chcąc być wobec niego sprawiedliwa, muszę przyznać, że zdobył bil-lingi rozmów telefonicznych Mahmuda. Ale całe to gadanie o czynio-

138

nych przez niego obserwacjach i kontaktach z ludźmi, którzy dostarczają mu informacji, było kłamstwem. Nie sędzę, by miał więcej informacji niż my podczas poprzedniej wizyty w Syrii. Jego plan polegał wyłącznie na tym, byśmy pozostali w Damaszku przez pewien czas i spróbowali coś odkryć. Nie przewidział Jednak problemów z żoną. Miał kłopoty i nie potrafił skoncentrować się na pracy, którą miał do wykonania. Zniknął, a ja złapałam taksówkę i pojechałam do domu.

Po drodze zadzwoniłam do Marlona oczekującego niecierpliwie na wiadomości.

Musiałam mu powiedzieć, że nie znalazłam Allawiego i Amiry, ale zapewniłam go:

- Nie martw się, kochanie, z pewnością ich odnajdę.

Powoli wszyscy zaczęli się przyzwyczajać do tego stanu t<sup>z</sup>^ozy.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że była tam Tracey z dziećmi. Marlon leżał na kanapie. Dowiedziałam się, że musiał pojechać do szpitala, ponieważ miał problem ze stopą. Poczułam się okropnie i zaczęłam płakać. Chłopcy spędzili pierwszą noc z Sandrą i Paulem, a następnie Tracey przywiozła ich do domu. Odnosiłam wrażenie, że koncentrując się na poszukiwaniu zaginionych dzieci, zaniedbywałam jednocześnie tę dwójkę, która została w domu.

12

## RAZ NA WOZIE, RAZ POD WOZEM

Pewnego ranka, mniej więcej tydzień po powrocie z mojej drugiej podróży, obudziłam się, siedząc w fotelu, w którym usnęłam poprzedniego wieczoru. Spędziłam w tym fotelu wiele nocy. Ni z tego, ni z owego, wykręciłam numer Mahmuda. Ku swemu zdziwieniu usłyszałam jego głos. Nie powiedział, gdzie jest, ale na mojej komórce wyświetlił się napis SyriaTel. Jak mi wiadomo, kompania ta zaczęła działać również na terytorium Iraku. Nie byłam jednak pewna, czy znajduje się właśnie tam, czy jeszcze w Syrii. Później dowiedziałam się, że był wówczas w Iraku. Lena wywiesiła w Damaszku plakaty ze zdjęciami dzieci na wypadek, gdyby ktoś je widział. Za jakiegokolwiek informacje oferowała nagrodę. Nie otrzymaliśmy

jednak żadnych wiadomości na ich temat, toteż wydawało się mało prawdopodobne, żeby wciąż tam były.

Rozważając wielokrotnie całą sprawę, doszłam do następującej konkluzji: jedyną osobą, która może odzyskać moje dzieci, jestem ja sama. Problem, jak zawsze, stanowiły pieniądze. Skąd miałam je wziąć? Ponownie nawiązałam kontakt z Sharon Hendry, redaktorką naczelną „The Sun”, która przyszła się ze mną zobaczyć. Była piękną kobietą po trzydziestce. Z czasem się zaprzyjaźniłyśmy. Złożyła mi wizytę, by przedyskutować różne sprawy, a następnego dnia wróciła z ośmioma tysiącami funtów i kontraktem do podpisania. Jego przedmiotem była publikacja tekstu przez „The Sun” na prawach wyłączności, na stronach przeznaczonych dla kobiet.

- Masz szczęście - powiedziała. - Cała ekipa Shine bardzo cię lubi. Wszyscy chcielibyśmy, żeby udało ci się odzyskać dzieci.

140

Tym, co sprowokowało mnie do sprzedania mojej historii, był fakt, że dziennikarz z niedzielnej gazety, z którym wcześniej rozmawiałam, ponownie nawiązał ze mną kontakt. Wiedział - jak mówił - o porwaniu moich dzieci i uprzedzał, że napisze o tymi artykuł. Twierdził, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym udzieliła mu wywiadu na prawach wyłączności, bo jeśli tego nie zrobię, i tak opíše tę historię bez mojej pomocy, a ja nie otrzymam za to żadnych pieniędzy. Nie wiem, w jaki sposób się o tym dowiedział. Wspomniał o telefonie Mahmiuda, który próbował sprzedać mu swoją wersję, ale mu nie uwierzyłam. Mój mąż nie miał sprytu w kwestiach dotyczących mediów. Nie sądzę, żeby przyszło mu coś takiego do głowy i sam wystąpił z podobną inicjatywą. Konsekwentnie przysięgał mi zresztą, że nigdy się z nikim nie kontaktował, i wierzę mu. Dziennikarz zachowywał się dosyć nieprzyjemnie. Mówił, że redakcja gazety zawsze może przygotować artykuł o prawdziwej Donyi, o tym, jak bardzo jestem zachłanna na pieniądze i bez skrupułów manipuluję ludźmi. Na tej właśnie zasadzie działają gazety - w jednej chwili jesteś Matką Teresą, a w następnej skończoną dziwką. Często słyszy się, jak ludzie opowiadają, że czasopisma lubią kogoś wykreować tylko po to, aby go później zniszczyć - a teraz sama tego doświadczałam.

W każdym razie dostałam pieniądze od „The Sun” i byłam gotowa do wyjazdu. Kilka koleżanek z naszej społeczności zaoferowało się pojechać ze mną, ale było to zupełnie nierealne - ich mężowie nigdy by się na to nie zgodzili. Poznałam przemiłą dziewczynę Suad, która naprawdę chciała mi pomóc. Pewnego dnia złożyłam jej wizytę. W trakcie przygotowywania posiłku omawiałyśmy tę sprawę, ale powstał problem nie do rozwiązania - miała małe dziecko. Dowcipkowałyśmy, ponieważ tak się złożyło, że Mahmud przed kilkoma miesiącami wjechał w samochód Suad i powinien był jej zapłacić pięćdziesiąt funtów, by pokryć szkody. Śmiałyśmy się z całego serca, wyobrażając sobie, jak ona pojawia się w miejscu, w którym Mahmud ukrywa się z dziećmi i wali do drzwi jego mieszkania. Gdy jej otwiera, mówi mu: „Przyszłam po moje pięćdziesiąt funtów, a skoro się spotkaliśmy, chciałam ci powiedzieć, że Do-nya pragnie odzyskać swoje dzieci”. Niekiedy śmiech okazywał się najlepszym lekarstwem.

Kilka dni później wpadła Tracey. Powiedziałam jej, że zdecydowałam się na samotną podróż do Iraku w celu znalezienia dzieci.



-Nie możesz jechać sama! - krzyknęła.

- Nie mam wielkiego wyboru, chyba że zechciałabyś pojechać ze mną.

Spojrzała na mnie i po chwili oznajmiła:

141

1

- Zgoda. Pojadę z tobą.

Wpatrywałam się w nią z otwartymi ustami. Po tylu latach wciąż była w stanie mnie zaskoczyć. Wiedziałam, że nie żartuje. Nie robiłaby tego, gdy chodziło o tak ważną sprawę.

- Kupuję bilet na samolot dziś po południu - powiedziałam. - Jeżeli mówisz poważnie, kupię również dla ciebie, ale nie możesz zmienić zdania. Podejmując decyzję na „tak”, powinnaś mieć świadomość, że będziesz musiała zostać ze mną do końca.

Potwierdziła swe postanowienie, toteż poszłam do Queensway i kupiłam dla nas bilety w jednym z biur podróży, które wydają się takie same od Bayswater po Bejrut. Kiedy wróciłam, zastałam moją siostrę pilnującą dzieci. Pokazałam jej bilety, a ona nie mogła w to uwierzyć. Kości zostały rzucone.

Tracey pracowała jako wolontariuszka w Darby i Joan Club. Wszystkie starsze panie w Watford śledziły moją historię, były więc ogromnie podekscytowane, kiedy powiedziała im, że jedzie do Iraku, by pomóc mi odzyskać dzieci. Przyszła do mnie na dzień przed wyjazdem ze swoimi torbami podróżnymi i zaczęłyśmy się pakować. Poszłam na Kilburn i kupiłam trzy ogromne walizki - nie wiedziałam, jak długo będziemy w podróży. Zapakowałam ubrania nie tylko chłopców, ale też Allawiego i Ami-ry. Upewniłam się, że wszystkiego dopilnowałam - zapłaciłam rachunki, uprzedziłam nauczycieli w szkole i wielu znajomych, że przez pewien czas nas nie będzie. Następnie po raz ostatni rozejrzałam się po mieszkaniu, po czym wyszłam i zamknęłam drzwi na klucz. Trzeba było ruszać w drogę. Powiadomiłam Andy'ego Mountfielda, że wyjeżdżam, a on powiedział po prostu: „Z Bogiem!”. Nie mógł oczywiście zaaprobować tego, co robię - było to nielegalne - niemniej jednak życzył mi szczęścia. Wiedział, że nie mógłby mnie powstrzymać, nikt nie byłby w stanie tego dokonać.

Przed wyjazdem rozmawiałam z Ibtihal, która próbowała mi ten pomysł wyperswadować. Powiedziała, że jej matka troskliwie zaopiekuje się dziećmi i że powinnam poczekać, aż minie całe to szaleństwo wojny, a Mahmud się opamięta.

- Zdaję sobie sprawę, jak wiele niebezpieczeństw niesie ta podróż -odparłam - a jednak zupełnie mnie to nie obchodzi. Mahmud nie powinien był postawić mnie ani dzieci w takiej sytuacji. Jeżeli coś by się nam stało, a nawet gdybyśmy wszyscy umarli, przynajmniej byłibyśmy razem.

Zapytałam, jak jej rodzina mogła pozwolić, żeby coś takiego mnie spotkało, zwłaszcza po tym wszystkim, co dla nich zrobiłam. „Pomogłam ci

142

odzyskać syna”, powiedziałam. Nie docenili tego. W przeciwnym wypadku, nie przyglądaliby się temu spokojnie, a już na pewno nie pozwoliliby aby do tego doszło? Ludzie są zawsze zrozpaczeni i pełni wdzięczności, zanim się im pomoże,

ale później zdają się bardzo szybko zapominać, co się dla nich zrobiło.

- Pomogłam ci, żywiłam, troszczyłam się o was. Przywiozłam ciebie i twoich dwóch synów do Anglii. I tak mi się odpłacasz za moją życzliwość? - spytałam z wyrzutem.

- Nie obwiniaj mnie, Donya - odpowiedziała. - Nie mogę zaakceptować tego, co zrobił Mahmud. Nie jest już moim bratem.

Piękne słowa, jestem jednak przekonana, że wiedziała o jego planach i nie uważała za stosowne, by mnie o tym uprzedzić. W mojej książce przedstawiłam ją zatem jako współniczkę w dokonanym przestępstwie, którą prawnicy określiliby mianem podżegaczki. Doszło między nami do poważnej kłótni. Ibtihal stała się w ten sposób kolejną ofiarą postępowania Mahmuda. Egoistyczne i bezmyślne działania ojców decydujących się na porwanie dzieci powodują ogromne szkody i wywołują dotkliwy ból, zaś uporanie się ze skutkami ubocznymi ich postępowania może zabrać całe lata. Kolejnym zmartwieniem, które w owym czasie mnie gnębiło, jakbym nie miała już dosyć innych problemów, był fakt, że Andrew skończył pisać moją pierwszą książkę. Dzwonili do mnie wydawcy, ponagłając, abym energiczniej zajęła się jej promocją. Jak mogłam jednak występować bez końca w audycjach radiowych, programach telewizyjnych czy udzielać wywiadów dla czasopism, opowiadając historie matek, którym w przeszłości pomogłam, kiedy własny mąż porwał moje dzieci? Byłam na skraju załamania nerwowego i ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było opowiadanie prasie i pozostałym mediom o losach innych kobiet, którym mężowie uprowadzili dzieci. Nawet gdyby zagwarantowano mi, że dzięki takiej promocji moja książka stanie się międzynarodowym bestsellerem i zarobię milion funtów, nie mogłabym zachować się inaczej.

Kiedy przyjechała taksówka, żeby zabrać nas na lotnisko, przyszła moja koleżanka Trish pożegnać się z nami. Płakała, prosząc, byśmy na siebie uważały i szczęśliwie wróciły do domu. Ruszając w stronę Heathrow, pomachałyśmy jej na pożegnanie. Była połowa maja. Od czasu, gdy po raz ostatni widziałam dwójkę moich najmłodszych dzieci, minęło osiem tygodni.

Tracey, Marlon, Chalid i ja zgłosiliśmy się do odprawy na popołudniowy lot do Bejrutu. Mój Boże, pomyślałam, robię to tak często, jak

143

niektórzy ludzie chodzą do supermarketu. Lot przebiegał bez przygód. Do Bejrutu przylecieliśmy w sobotę w nocy, około godziny 22.00. Tym razem jednak czułam się inaczej. Nie byłam zdesperowana, zdezorientowana ani zdezorganizowana. Ogarnął mnie dziwny spokój - wiedziałam, dlaczego tu jestem i co zamierzam zrobić. Dało mi to poczucie pewności. Tak czy inaczej, nie miałam zamiaru wrócić do domu bez dzieci.

Podczas dwóch poprzednich podróży problem polegał na tym, że nie wytyczyliśmy sobie żadnego planu ani nie realizowaliśmy misji. Kręciliśmy się w kółko, w nadziei że dzieci po prostu się pojawią. Pozwoliłam zaangażować się w tę sprawę innym ludziom, którzy spowalniali i jakby gmatwali moje myślenie. Teraz miałam jasność - wiedziałam dokładnie, czego chcę.

Walid spotkał się z nami na lotnisku. Zachowywał się jak ukochany wujek - rozdawał dzieciom mnóstwo uścisków, pocałunków i uśmiechów. Zaprowadził nas do swojego nowego niebieskiego samochodu, w którym mogło się zmieścić siedmiu pasażerów,

co stanowiło szczyt luksusu. Zawiózł nas prosto do syryjskiej granicy. Poszedł do biura z paszportami i innymi dokumentami, lecz wyszedł stamtąd zachmurzony.

- Nie mam dobrych wiadomości - powiedział.

Bardzo się zmartwiłam. Być może, ktoś poinformował władze, jakie miałam plany, i moje nazwisko zostało przekazane wszystkim strażom granicznym ze ścisłymi instrukcjami, by nie przepuszczają mnie przez granicę. Jak napisałam wcześniej, Bliski Wschód jest światem mężczyzn. Gdyby tym mężczyznom zaświtała w głowie myśl, że ja, wyzwolona kobieta z Zachodu, przyjadę w ten region z zamiarem porwania dzieci innego mężczyzny, nie miałabym na to żadnej szansy.

Nie powinnam była jednak rozważać tej sytuacji z tak osobistego punktu widzenia. Problem w rzeczywistości polegał na tym, że Colin Po-well, amerykański sekretarz stanu, zażądał od władz Syrii, by nie zezwalały obywatelom irackim na wjazd na jej terytorium. Usiłowałam protestować, mówiąc, że dzieci spędziły już w Syrii dwa tygodnie, ale strażnicy tylko pokręcili głowami. Odpowiednie zarządzenie władz zostało dopiero co wprowadzone i nic nie można było zrobić. Okazywali mi wiele szacunku, z pewnością dlatego, że nosiłam hidżab, ale pozostawali niewzruszeni. Problem stanowiły dzieci - chociaż ja miałam brytyjski paszport, one dysponowały tylko irackim.

W jednym z funkcjonariuszy służb granicznych wzbudziłam współczucie.

144

- Niech pani posłucha - powiedział. - W tej sytuacji nic nie możemy zrobić, ale na pani miejscu usiłowałbym znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Dlaczego nie spróbuje pani pojechać przez Jordanię?

Wróciłam do samochodu i podzieliłam się z Tracey nowinami. Nie byłyśmy pewne, jak powinien wyglądać nasz następny krok. Miałyśmy już opracowany plan, żeby pojechać przez Syrię do Iraku, czułyśmy przyływ adrenaliny, a teraz napotkałyśmy przeszkodę, więc ogarnęło nas przygnębienie. Zdecydowałyśmy, że najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić, to wrócić do Bejrutu, spokojnie przespać noc i zobaczyć, co przyniesie następny dzień. Zadzwończyłyśmy do hotelu Sa-voy. Był jeszcze wolny apartament. Walid zawrócił i pojechaliśmy z powrotem.

Następnego dnia rano nasz kierowca znów się pojawił. Nadszedł czas narady wojennej. Zeszliśmy do restauracji na śniadanie. Siedząc tam w słońcu, popijając kawę i jedząc ciastka, trudno nam było uwierzyć, że za dzień lub dwa pojedziemy do kraju, w którym toczyła się wojna. Wydawało się to surrealistyczne, ale nie było innego wyjścia.

Zapadło postanowienie, że najlepiej będzie pojechać bez dzieci. W ten sposób mogłyśmy dojechać do celu szybciej. Dzieci nie wydawały się zadowolone.

- Ciocia Tracey i ja musimy pojechać do Syrii. Możecie zostać tutaj z wujkiem Walidem - zaproponowałam.

Takie rozwiązanie im odpowiadało. Walid był dla nich dobry i czuły się z nim bezpieczne.

- Zostaniecie u mnie, pobawicie się z moimi dziećmi, a wasza mamusia pojedzie po waszego brata i siostrę - powiedział.

Zabrał dzieci do siebie, po czym przyjechał po nas. Nadszedł czas wyjazdu.

Wyruszyliśmy w podróż do Syrii dobrze znaną nam drogą: przez granicę, trasą prowadzącą wzgórzami w dół, aż do bezładnej zabudowy miejskiej Damaszku. Tym razem udałyśmy się wprost do ambasady Iraku, żeby załatwić wizy, które pozwoliłyby nam dostać się do tego kraju. Bez nich nie udałoby się nam przekroczyć granicy. Kiedy dotarliśmy do ambasady, zaskoczył nas zupełny bezruch wokół budynku. Podczas naszej ostatniej wizyty gmach oblegały tłumy zdesperowanych ludzi, których losy tak gwałtownie pokrzyżowała wojna; byli to smutni wojenni rozbitkowie. Teraz ambasada była zamknięta. Wzięłam ze sobą torbę irackich słodczy i kilka drobnych upominków z Wielkiej Brytanii, żeby wręczyć je Tahirovi, uroczemu sekretarzowi ambasadora,

145

który okazał nam tak wielką pomoc poprzednim razem, ale nikogo z personelu nie było widać. Budynek został zamknięty, a okiennice szczelnie zasunięte. Konsekwencją obalenia partii Baas Saddama było zawieszenie wszelkich funkcji instytucji państwowych Iraku oraz usunięcie symboli związanych z reżimem dyktatora. Dotyczyło to również ambasady w Damaszku. Zastanawiałam się, czy nie należało pojechać do Jordanii i tam poszukać sposobu przedostania się przez granicę. Na wszelki wypadek postanowiłam jednak zapukać do drzwi wejściowych. Ku memu zdziwieniu zostały otwarte i znalazłam się oko w oko ze strażnikiem ambasady. Widocznie jednak ktoś płacił mu pensję.

- Nikogo tu nie ma, nikt nie pracuje, wszyscy stąd odeszli - powiedział łamaną angielszczyzną.

Zapamiętałam go z mojej poprzedniej wizyty w ambasadzie, toteż przywitałam się z nim po arabsku. Wyciągnęłam do niego torbę z cukierkami, a on się poczęstował. Ofiarowanie obcej osobie czegoś do zjedzenia jest w kulturze arabskiej oznaką szacunku i swego rodzaju uniwersalną propozycją pokoju.

- Pamiętam panią - powiedział. - Szukała pani razem z inną kobietą swego męża i dzieci. Znalazłyście ich?

Odpowiedziałam, że nie znalazłam. W głębi serca żywiłam nadzieję, że ten strażnik go widział. Szansę na to były oczywiście niewielkie, ale łudziłam się, że Mahmud przyszedł do ambasady, by wziąć wizy i odpowiednie dokumenty potrzebne do przekroczenia granicy z Irakiem razem z dziećmi. Nie można jednak wykluczyć, że mógł przejść granicę, jadąc przez Jordanię. Zapewne posługiwał się irackim paszportem, by ułatwić sobie przejście przez kontrolę graniczną.

Powiedziałam strażnikowi, że mój mąż oraz dzieci są w Iraku i mam zamiar pojechać tam, by się z nimi spotkać. Zrobił wielkie oczy i pokręcił głową.

- To niemożliwe - powtórzył, wracając do swej łamanej angielszczyzny. - Nie ma wiz, ambasada jest zamknięta.

- A co się dzieje z Tahirem? Gdzie on jest? Czy wciąż przebywa w Damaszku?

Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech. W końcu mógł mi powiedzieć coś pozytywnego. Sprawilo mu wyraźne zadowolenie, że może pomóc damie w opałach, nawet jeżeli była to taka drobnostka.

- Nie ma problemu, zadzwonię do Tahira. Proszę poczekać, zaraz przyjdę - powiedział, po czym wszedł do ambasady.

146

Dotrzymał słowa, ponieważ dziesięć minut później obok nas zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Tahir. Uśmiechnął się i skłonił na powitanie. Przedstawiłam mu Tracey, a on zaproponował, żebyśmy pojechali razem do jego mieszkania, by spokojnie porozmawiać. Nasz kierowca ruszył w ślad za nami, a później czekał na zewnątrz. Tahir miał piękny, wysoki apartament z ogromnymi oknami, urządony w arabskim stylu. Rzuciły się w oczy bogato zdobione meble z elementami złocień, dywany oraz haftowane zasłony. Przywołał swoją służącą, Marokankę, i poprosił ją, żeby przyniosła herbatę. Usiedliśmy przy olbrzymim stole w salonie. Po wypiciu herbaty i przeprowadzeniu uprzejmej, zwyczajowej konwersacji, przeszliśmy do interesów.

Obok stołu, przy którym siedzieliśmy, wznosiły się sterty papierów, a także - co najważniejsze - tuziny dziewczycy irackich paszportów, które oczywiście przyciągnęły mój wzrok. Wyjaśniłam mu nasze kłopotliwe położenie i zapytałam, czy możemy kupić irackie paszporty, żeby zapewnić sobie bezpieczne przekroczenie granicy. Stanowczo potrząsnął głową i grzecznie odmówił.

- Tego nie mogę zrobić, Donya. A poza tym, po co ci nowe paszporty? Jak wiem, dysponujesz ważnymi wizami, które ci wystawiłem, kiedy przyszedłeś do ambasady. Poinformowałam go, że wizy były ważne tylko trzy dni. Siedział i patrzył na mnie przez chwilę. Powiedział, że zobaczy, co da się zrobić. Wykonał kilka telefonów i wrócił z uśmiechem. Udało mu się załatwić dla mnie wizę.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że mamy kolejny problem. Moja wiza była teraz w porządku, ale co miała zrobić Tracey? Tahir zapewnił mnie, że martwię się niepotrzebnie, gdyż straż graniczna nie będzie tak czujna, jak się tego spodziewam. Wyjaśnił, że kiedy zatrzymają samochód i zobaczą mój paszport oraz wizę, przepuszczą nas. Nie byłam o tym przekonana. Miałam wiele podobnych, nie najlepszych doświadczeń, gdy pomagałam innym kobietom w odzyskaniu dzieci. Kontrolowano mnie na granicach znacznie częściej, niżbym sobie tego życzyła. Nie odniosłam wrażenia, że strażnicy graniczni byli tak niefrasobliwi, jak wyobrażał to sobie Tahir. Tracey stwierdziła jednak, że jest gotowa podjąć ryzyko.

- Co jednak będzie, gdy mnie uda się przekroczyć granicę, a ty zostaniesz zawrócona? Co się wtedy stanie? - zapytałam.

Moja siostra wykazała typowy dla siebie pragmatyzm, który miał się okazać tak bezcenny w trakcie dalszej podróży.

147

- Będziemy się martwić, jeżeli faktycznie się to zdarzy. Wezmę wtedy kierowcę, żeby zawiózł mnie z powrotem do Bejrutu i poczekam tam na ciebie. Nie będzie to przecież koniec świata.

Wszystko zostało więc zdecydowane. Podziękowałyśmy Tahirovi za pomoc i zeszłyśmy do samochodu. Zbliżała się szósta po południu. Postanowiłyśmy wrócić do Bejrutu, a następnego dnia przekroczyć granicę z Irakiem. Po ponownym spotkaniu z Walidem na granicy wszyscy wróciliśmy do apartamentów w Savoyu, naszego miejsca zamieszkania w Bejrucie. Rano udaliśmy się do jordańskiej ambasady. Pomimo zapewnień Tahira o bezproblemowym przejściu przez kontrolę graniczną w Syrii, nie byłam o tym do końca przekonana. Jego przypuszczenia co do prawdopodobnego zachowania się urzędników straży granicznej nie wydawały mi się

w pełni wiarygodne.

Ambasada stała na szczycie wzniesienia w niespecjalnie atrakcyjnym otoczeniu. W pamięci utkwiło mi wrażenie kłębiącej się wokół całej watahy bezdomnych kotów. Sam budynek też nie mógł imponować. Wewnątrz był dosyć zakurzony i prowincjonalny, z kilkoma plakatami króla Husajna wiszącymi na ścianach. Chalid wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w karabin, który trzymał żołnierz pełniący patrol przed wejściem. W Wielkiej Brytanii raczej rzadko widzi się karabiny, ale na Bliskim Wschodzie są one często noszone przez mężczyzn. Był to dla młodego chłopca pewien szok.

Żołnierz uśmiechnął się do niego, jakby chcąc dodać mu pewności i przyjaźnie skinął głową, pokazując, że możemy wejść do środka. Jeszcze przed wyjściem z hotelu zadzwoniłam do ambasady. Wyjaśniłam, że chcemy dostać wizy, by przekroczyć granicę z Irakiem w celu spotkania się z moim mężem i dziećmi, teraz, kiedy wojna, przynajmniej w teorii, dobiegła końca. Zapewniono mnie, że nie będzie z tym problemu. Możemy przyjść i otrzymać je tego samego dnia. Zgodnie z obietnicą wydali nam wizy, nie zadając żadnych pytań. Zwrócono nam gotowe paszporty w wyjątkowo miłej atmosferze.

Nie mogłam uwierzyć, że pracownicy konsularni nie piętrzyli przed nami trudności. Wyjeżdżając do krajów arabskich z Wielkiej Brytanii, należy wystąpić o wizę z pewnym wyprzedzeniem. Czas oczekiwania trwa zazwyczaj kilka dni. To, że otrzymaliśmy je w tak prosty sposób, wydawało się zupełnie niewiarygodne. Jeżeli reszta podróży przebiegałaby równie gładko, miałabym za co być wdzięczna losowi. Zaopatrzone w nowe wizy, udałyśmy się prosto na lotnisko. Walid odwiózł nas do sali odlotów i czekał, aż kupimy bilety na samolot do

148

Ammanu. Na pożegnanie uściskaliśmy się serdecznie. Nie mogłam wówczas przewidzieć, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Zdawałam sobie sprawę, że niewykluczone, iż zamieszkałam w Iraku. Wiedziałam, że jeżeli jedynie w ten sposób będę mogła połączyć się z moimi dziećmi, z pewnością się na to zdecyduję. Byłam jednak wyjątkowo zła na Mah-muda. Nie wyobrażam sobie, iż pozwolę mu w ten sposób wygrać całą sprawę. Moim pierwszym i nadrzędnym celem było odzyskanie dzieci i zabranie ich z Iraku do Londynu, do naszego prawdziwego domu. Nie miałam jeszcze pewności, który scenariusz jest bardziej prawdopodobny. I nie dopuszczałam do siebie myśli o jakimkolwiek innym rozwiązaniu podjętych przeze mnie działań. W głębi serca wiedziałam, że to, co robimy, jest bardzo niebezpieczne. Nie chciałam się jednak nad tym zbyt długo zastanawiać, bo mogłabym zacząć się wahać, że moja decyzja była słuszna.

Lot z Bejrutu do Ammanu trwa zaledwie czterdzieści pięć minut - stewardesom ledwie starcza czasu, żeby podać posiłek, zanim samolot zacznie schodzić do lądowania. Zaserwowali nam kanapki, które były twarde i bez smaku. Kiedy sympatyczna stewardesa zauważyła, że dzieci ich nie tknęły, wróciła do kuchni i wkrótce pojawiła się z torebkami cukierków i czekoladek, które Marlon i Chalid z radością przyjęli. Przez ostatnie kilka minut lotu rozsiedli się wygodnie na swoich miejscach, jedząc otrzymane smakołyki i zajmując się swymi chłopięcymi gramami, każdy ze zmarszczonymi brwiami i wyrazem koncentracji na twarzy. Uśmiechnęłam

się - oznaczało to, że są zadowoleni.

Kiedy przylecieliśmy do Ammanu, był wczesny wieczór. Na lotnisku jak zwykle roiło się od ludzi. Przeszliśmy przez kontrolę paszportową, pokazaliśmy nasze wizy i przepuszczono nas bez żadnych problemów. Wydałam westchnienie ulgi. Miałam zawsze trochę złych przeczuc odnośnie Jordanii, ponieważ zostałam stamtąd deportowana, gdy pomagałam jednej z kobiet w odzyskaniu jej dzieci. Martwiłam się, że ze względu na to, co zrobiłam, władze mogły umieścić moje nazwisko w systemie komputerowym i urzędnik uznałby mnie za persona non grata. Być może reagowałam nazbyt paranoicznie. Przeszliśmy jednak bez przeszkód przez kontrolę i to było najważniejsze. Zabraliśmy nasz bagaż i ułożyliśmy go na wózku do kontroli przez służby celne. Tu również obyło się bez żadnych problemów.

- Moi kochani - powiedziałam chłopcom. - Teraz nastąpi ważny etap naszego przedsięwzięcia. Musimy znaleźć kierowcę, który będzie chciał zawieźć nas do Iraku. Powinnam się na tym skoncentrować. Chciałabym,

149

żebyście kilka chwil poczekali z ciocią Tracey. W tym czasie mamusia spróbuje załatwić tę sprawę i zaraz do was wróci.

Obaj spojrzeli na mnie swymi poważnymi, pełnymi smutku oczami i skinęli głowami, zgadzając się na moją propozycję. Patrząc na nich, czułam, że serce rośnie mi z dumy. Oto byli na lotnisku w Ammanie, bardzo daleko od Maida Vale w zachodnim Londynie. Potrafili jednak spokojnie podejść do całej sprawy. Marlon miał zaledwie jedenaście lat, a Chalid - biedny, chorowity, kruchy, dzielny Chalid - nie skończył nawet ośmiu. Moje dzieci. Wkrótce wszyscy ponownie będziemy razem, obiecałam sobie w duchu.

Wyszłam z budynku lotniska, kierując się na postój taksówek. Każdy, kto często podróżuje do ciepłych krajów, wie, że pierwszą rzeczą, która uderza podróżnego, jest panujący tu upał. Po przyjemnym chłodzie, jaki daje na lotnisku klimatyzacja, wydaje się szczególnie dotkliwy. Znalazłam rząd taksówek i wytłumaczyłam w moim słabym arabskim, że potrzebuję kierowcy, który mówiłby po angielsku. Dla działań, jakie zamierzaliśmy podjąć, mój arabski nie był wystarczająco dobry. Nie mogliśmy sobie pozwolić na jakieś nieporozumienia. Cena była zbyt wysoka.

Pierwszy kierowca, z którym rozmawiałam, zapewniał mnie o swojej znajomości języka, ale po kilku sekundach zdążyłam się zorientować, że jego angielski był gorszy niż mój arabski. Po chwili podszedł do mnie drugi kierowca. Miał na imię Muhammad. Przywitałam się z nim i zapytałam, czy mówi po angielsku. Przytaknął, informując mnie, że mieszkał w Londynie przez wiele lat. To mi wystarczyło.

- Muhammadzie - powiedziałam - potrzebuję dobrego, solidnego kierowcy, który zawiózłby mnie do Iraku. Zapłacę bardzo dobrze, ale w żadnym wypadku nie możesz mnie zawieść. I musisz być gotowy do wyjazdu wieczorem.

Muhammad wydawał się nieco zaskoczony, ale ze zrozumieniem pokiwał głową, zgadzając się na moją propozycję.

- Będziesz musiał zostać z nami tak długo, dopóki nie znajdziemy innego kierowcy. W zamian zapłacę ci dwieście dolarów.

- To dużo pieniędzy - gwizdnął z uznaniem. - Zrobię to dla ciebie.

Poprosiłam go, żeby chwilę poczekał. Wróciłam do hali terminalu lotniczego po

Tracey i dzieci. Wyszliśmy na zewnątrz, wsiedliśmy do samochodu Muhammada i ruszyliśmy w drogę. W trakcie podróży zapytał nas, po co jedziemy do Iraku. Powiedziałam mu, że musimy zabrać stamtąd moje dzieci. Nie wyjaśniłam, że zostały porwane przez swego ojca. Kierowca wydawał się miły, ale na Bliskim Wschodzie silne jest po-

150

czucie męskiej solidarności. Nawet jeżeli ktoś uważałby, że Mahmud źle postąpił, istniało duże prawdopodobieństwo, iż nie zechciałby się angażować w osobiste sprawy innego mężczyzny, związane z jego żoną i rodziną.

Mniej więcej po godzinie przyjechaliśmy do małej wioski. Zatrzymaliśmy się przy niewielkim budynku, który wyglądał na sklep. W środku było kilku mężczyzn. Muhammad zaczął rozmowę z jednym z nich, starszym, siwym Arabem ubranym w tradycyjną galabiję\*. Wszyscy mieli na rękach plamy po smarze. Zdałam sobie sprawę, że muszą być mechanikami. Muhammad przez kilka minut perorował po arabsku ze swym rozmówcą, po czym odwrócił się do nas i powiedział:

- Ci ludzie mogą wam na wieczór załatwić samochód. Granica zostaje jednak otwarta dopiero o siódmej rano. Będziecie musieli dojechać samochodem do granicy i tam się przespać. Można się też zdrzemnąć w samochodzie, czekając w długiej kolejce pojazdów.

Kiedy to usłyszałam, zupełnie straciłam zapał. Była dziewiąta wieczorem. Miałam nadzieję, że tej nocy wjedziemy na autostradę i pokonamy sporo kilometrów. Na domiar złego, chłopcy, którzy byli do tej pory bardzo grzeczni i na nic nie narzekali, poczuli się bardzo zmęczeni, chcieli skorzystać z toalety i umyć się. Nic nie mogłam zrobić, toteż uściskałam ich i poprosiłam, żeby jeszcze przez jakiś czas byli dzielni. Po godzinie przyszedł kierowca i wdał się w rozmowę z Muhamma-dem. Miał na imię Alla, tak samo jak mój mały chłopiec, którego rozpaczliwie chciałam znaleźć. Czy był to dobry znak? Od razu go polubiłam. Podeszedł do nas, skłonił głowę i dotknął swoich włosów, co było oznaką szacunku. Następnie przywitał się z chłopcami - mówił bardzo dobrze po angielsku - i starał się, żeby poczuli się swobodnie. W końcu poczęstował Tracey papierosem. Wszyscy byliśmy zadowoleni. Poczuliśmy, że sprawy zaczynają w końcu układać się po naszej myśli.

Podziękowałam Muhammadowi za znalezienie kierowcy. Dał nam swoją wizytówkę i wymógł obietnicę, że jeżeli będziemy czegoś potrzebować w drodze powrotnej przez Jordanię - na przykład noclegu lub pomocy taksówkarza - zadzwonimy do niego. Przynależało mu to, a on dotknął swojej głowy i oczu, życzył nam szczęścia i odszedł. Sądzę, że zdawał sobie już wówczas sprawę z prawdziwego celu naszej podróży.

\*Galabija lub džilbab to codzienny arabski strój męski i kobiecy, rodzaj sukni do kostek z długimi, rozszerzonymi u dołu rękawami.

151

Po zapakowaniu bagaży wsiedliśmy do auta Alliego. Był to ogromny amerykański samochód, długi, z wieloma siedzeniami i olbrzymimi kołami, bardzo wygodny. Tracey usiadła z przodu obok kierowcy, a ja z tyłu z dziećmi. Alla umieścił cały bagaż z boków oraz z tyłu samochodu i szczelnie zaciągnął zasłony w oknach. Kiedy zapytałam go, dlaczego to zrobił, odparł z poważnym wyrazem twarzy:



- Na terytorium Iraku będą bandyci. Nie chcę ponosić żadnego ryzyka.

Zdałam sobie sprawę, że bagaż został ustawiony w taki sposób, by stanowił zapórę przed zabłąkanymi kulami. Z każdą chwilą powaga naszej misji stawała się coraz bardziej oczywista.

Skręciliśmy i wkrótce znaleźliśmy się na autostradzie prowadzącej do irackiej granicy. Monotonny rytm silnika samochodowego połączony z panującą wewnątrz wysoką temperaturą sprawił, że wkrótce zasnąłam. Przez kilka minionych tygodni mało spałam. Mniej więcej po godzinie obudził mnie dziwny hałas, którego źródłem był najwyraźniej nasz pojazd. Zauważyłam, że z silnika wydobywa się para. Alla zaklął, zatrzymał się i zajrzał pod maskę. Następnie zadzwonił do warsztatu, z którego rozpoczęliśmy naszą podróż. Mechanicy powiedzieli mi, że musimy wrócić i zmienić samochód. Czułam się zrezygnowana. Miałam wrażenie, że za każdym razem, kiedy robiliśmy krok w przód, musieliśmy natychmiast robić krok do tyłu. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia, jak zawrócić. Po dotarciu do warsztatu wysiedliśmy, by pozwolić mechanikom przyjrzeć się awarii pojazdu. Zdumiewający był fakt, że mimo drugiej w nocy wciąż byli tam pracownicy, którzy mogli zająć się naprawą. Bliski Wschód jest naprawdę innym światem. Po godzinie samochód odzyskał sprawność. Można było kontynuować podróż. Wszyscy usadowili się ponownie na swych miejscach i kierowca ruszył w drogę. Podróż dłużyła się w nieskończoność. Zbliżając się do pasa granicznego, napotkaliśmy przy drodze kilka sklepów otwartych przez całą noc, co było charakterystyczne dla tych rejonów. Alla zatrzymał samochód, proponując nam krótki odpoczynek oraz ewentualne uzupełnienie zapasów, gdyż - jak twierdził - po stronie irackiej nie znajdziemy już niczego. Weszliśmy do jednego ze sklepów, by kupić pojemniki z wodą, coca-cole, chipsy dla dzieci, herbatniki i chleb.

Po niedługim czasie wjechaliśmy na teren płaskiej, północnej pustyni Jordanii, zwanej Umm al-Dżimal, czyli Czarny Klejnot Pustyni. Droga była nieoświetlona, a po obu stronach wznosiły się skały. Stanowiło

152

to ogromny kontrast w stosunku do płaskiej pustyni, przez którą jechaliśmy wcześniej. Okolica wydawała się niesamowita. Mahmud przytaczał mi kiedyś opowieść z Koranu, która dotyczyła tego miejsca, o proroku Lucie i jego nieprzyzwoitych praktykach w mieście Sodomie, które - jak sądził - leżało na tym obszarze. W końcu Allah zesłał na miasto burzę spadających kamieni jako karę dla Luta za nieposłuszeństwo. Tak powstał oglądany właśnie przez nas krajobraz.

Tę samą opowieść można znaleźć w Biblii, gdzie Lut jest nazywany Lotem. Kto dziś nie zna historii o Sodomie i Gomorze? Widząc te rozrzucone wokół olbrzymie skały, poczułam dreszcz. Słyszałam też inną wersję, że miejsce, w którym toczyła się akcja tych opowieści ze świętych ksiąg, znajduje się nieopodal Morza Martwego, w pobliżu jordań-skiej granicy z Izraelem. Mahmud jednak zawsze utrzymywał, że jest to ten obszar, przez który właśnie jechaliśmy, a groźny skalisty krajobraz wydawał się potwierdzać jego wersję.

Co ważniejsze jednak, była to kraina bandytów, którzy zwykli zastawiać zasadzki. Słyszałam, jak wielu dziennikarzy pracujących w tym rejonie mówiło, że nie czuli się bezpiecznie, podróżując po tych terenach. Nie wiem, czy była to prawda, czy po

prostu legenda, którą chętnie powtarzali. Co do nas, można powiedzieć, że udało nam się przebyć tę niesamowitą trasę bez żadnych problemów. Wkrótce zobaczyliśmy długą kolejkę samochodów czekających przed nami na otwarcie granicy. Po stronie jordańskiej znajdował się mały budynek placówki granicznej z wszechobecnym plakatem króla Husajna. Zaparkowaliśmy samochód. Po stronie irackiej widać było wielu amerykańskich żołnierzy, a także czołgi.

Zajęliśmy miejsce w kolejce, przysypiając na krótką chwilę. Około szóstej rano obudził nas hałas krzątania. W samochodach włączano silniki i wolno posuwano się do przodu, pilnując, by nie przegapić swego miejsca w kolejce. W końcu znaleźliśmy się przy punkcie kontroli. Alla podał strażnikowi wszystkie paszporty, ten przekartkował je, podstemplował i oddał, kiwając ręką, żebyśmy przejechali. Udało nam się przebrnąć przez pierwszą dużą przeszkodę.

Po pięciu minutach jazdy dotarliśmy do irackiego posterunku obsługiwanego przez amerykańskich żołnierzy. Nikt nic nie mówił. Nie mieliśmy pewności, czy przejedziemy dalej, czy też zostaniemy zawróceni. A może wszystkie nasze wysiłki zostaną za chwilę udaremnione? Młody żołnierz zerknął do środka i widząc w samochodzie dwie kobiety z Zachodu, zwrócił się do nas:

153

- Dzień dobry. Czy jesteście z prasy? Wychyliłam się i odpowiedziałam:

- Nie reprezentujemy mediów. Mój mąż jest Irakijczykiem. Przebywa w Bagdadzie z naszymi dziećmi. Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, chcemy się do nich przyłączyć. Skinął głową, a następnie zapytał:

- Czy mógłbym zobaczyć pani paszport?

Podalam mu dokument. Kiedy to robiłam, Chalid nieśmiało poczęstował żołnierza kilkoma żelkami owocowymi. Żołnierz uśmiechnął się do niego, wziął jednego i zmierwił mu włosy. Ledwie spojrzał na mój paszport i zwrócił go, mówiąc:

- W porządku, jedźcie dalej. Życzę miłego dnia. Witajcie w Iraku. Sposób, w jaki młody żołnierz wymawiał to słowo - Ej-rak - i fakt,

że witał nas serdecznie w tym dziwnym kraju, oddalonym o tysiące kilometrów od jego rodzinnego domu, zapewne w amerykańskim miasteczku, dodawał tylko surrealistycznego charakteru naszej podróży.

Pomachał nam na pożegnanie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Kiedy zniknął z pola widzenia, wydałyśmy z Tracey okrzyk radości, śmiejąc się i przytulając jedna do drugiej.

- Nareszcie! - stwierdziłyśmy triumfalnie. - Udało nam się tego dokonać! Dostałyśmy się na terytorium Iraku!

Marlon, który jest nad wiek dojrzały, zwrócił w naszą stronę swoją poważną, nieco baśniową twarz i powiedział ze smutkiem:

- Myślę, mamó, że to dopiero początek.

Zaskoczył mnie ustawiczny ruch przechodniów i samochodów. Wydawało się, że wszyscy są w drodze. W pobliżu granicy wiele samochodów zatrzymywało się obok cysterny z benzyną, której kierowca przelewał ją bezpośrednio do samochodów innych ludzi. Prawdopodobnie stacje benzynowe na drodze ciągnącej się przed nami zostały zamknięte z powodu wojny. Można nawet powiedzieć, że nie ulegało to wątpliwości, ponieważ normalna sieć dystrybucji została przerwana. Odnosiłam

dziwne wrażenie, obserwując tak duży ruch, tylu ludzi próbujących wrócić do normalnego życia. Byli to przypuszczalnie zwykli Irakijczycy z Bagdadu, którzy przezornie uciekli z kraju, kiedy George Bush przeprowadzał swą Operation Shock and Awe (Operacja Szoku i Trwogi), a teraz wracali. Pomimo całego gadania o precyzyjnym bombardowaniu obiektów wojskowych i administracyjnych ci zwyczajni mieszkańcy Bagdadu doskonale zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa - wiedzieli, że bomba nie rozróżnia ludzi niewinnych i winnych. Kiedy jechaliśmy

154  
autostradą, rzucały się w oczy ogromne zniszczenia wojenne. W nawierzchni drogi wydrążone były ogromne kratery po bombach, które samochody musiały ostrożnie omijać. W pewnym momencie zobaczyliśmy most, tak bardzo zniszczony i powykręcany, że nie nadawał się do odbudowy. Chłopcy, oniemiała, patrzyli na te zniszczenia. Powiedziałam im, że rejon ten zawsze tak wyglądał, ale dzieci nie są naiwne. Wiedziały, że to nie może być prawda, i poczuły się jeszcze bardziej niepewnie. Ciągle mówiłam im, by się nie martwili i że wszystko zakończy się po naszej myśli. Sprawiało to jednak wrażenie, jakbym próbowała przekonać samą siebie równie mocno jak ich.

Nasza podróż na terytorium Iraku trwała już kilka godzin, kiedy Alla zapytał poważnym tonem:

- Musisz powiedzieć mi prawdę. Jaki jest prawdziwy powód naszego przyjazdu? Opowiedziałam mu całą historię od samego początku, niczego nie ukrywając. Słuchał uważnie i nie przerywał. Kiedy skończyłam, przez chwilę nic nie mówił. Zaczęłam się tym bardzo martwić. Gdyby nie apróbował tego, co robimy, i rozgniewał się na nas za to, że nie powiedziałyśmy mu prawdy na wstępie, mogłybyśmy się znaleźć w nie lada tarapatach. Bez Alli trudno byłoby cokolwiek zrobić. Nie umiem prowadzić samochodu, a nawet gdybym umiała, widok Europejki za kierownicą w kraju muzułmańskim przyciągnąłby powszechną uwagę. Niewątpliwie utrudniłoby to nam swobodne poruszanie się.

Ku mojej radości Alla uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Nie martw się. Pomogę ci odzyskać dzieci.

Poczułam ogromną ulgę. Po raz pierwszy ośmieliłam się pomyśleć, że będziemy zdolni z powodzeniem wypełnić naszą misję. Moja determinacja zaprowadziła mnie bardzo daleko. Z pomocą Alli i - rzecz jasna - Allaha, dokonamy tego. Pozwoliłam sobie oddać się marzeniom o połączeniu z moimi dziećmi, a także o tym, jak wszyscy razem lecimy z powrotem do domu. Tracey zapytała Allę, czy jest przygotowany na to, by pomóc nam odzyskać dzieci, jeżeli zaszłaby taka potrzeba, a on odpowiedział twierdząco. Wyraziłam ogromną wdzięczność za okazaną nam chęć pomocy.

Powiedziałam, że nie musi się martwić o pieniądze. Prosiłam, by mi zaufała, a ja odpowiednio go wynagrodzę. Dysponowałam znaczną sumą pieniędzy, które wyprosiłam lub pożyczyłam. Gdyby stawką było powodzenie naszej misji, byłam gotowa poświęcić na ten cel tysiące dolarów. Kiedy Alla zdał sobie sprawę, że mam przy sobie sporo gotówki - około trzynastu tysięcy funtów - zaniepokoił się.

Sugerował,

155

by dobrze ukryła pieniądze. Miał na uwadze ewentualne zatrzymanie nas przez

bandytów na poboczu drogi. Przeszukaliby wówczas nasze portfele oraz torebki i zabrali zarówno pieniądze, jak i biżuterię, jeśli zdołaliby je znaleźć. Zaczęliśmy więc chować banknoty, wkładając pliki do butów, dziecięcych adidasów, a także do biustonoszy i majtek. W końcu udało nam się ukryć wszystko oprócz kilkuset dolarów, które - kierując się radą Alli - trzymałyśmy razem z naszymi paszportami. Gdyby bandyci znaleźli owe dolary i dopisałoby nam szczęście, może by uwierzyli, że to wszystkie nasze pieniądze, i zostawiliby nas w spokoju. Alla spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

- Donya - powiedział. - Chcę, żebyś to wzięła.

Serce skoczyło mi do gardła, kiedy zdałam sobie sprawę, co to za przedmiot. Podał mi pistolet. Ostrzegł, że jest nabity trzema kulami, ale zabezpieczony. Urządził szybki pokaz, jak należy broń odbezpieczyć i oddać strzał. Usiłowałam mu powiedzieć, że nie potrzebuję tego, że nigdy nie miałam w ręku broni palnej, ale stanowczo odrzucił moje protesty.

- Donya, nie mówię, że przyjdzie ci posłużyć się bronią. Być może nie zaistnieje taka potrzeba. Gdyby jednak taki moment nastąpił i nie byłoby innego wyjścia, wówczas to docenisz. Nie robisz tego dla siebie, ale dla swoich dzieci.

Z wahaniem wzięłam pistolet, owinęłam go kawałkiem białego materiału i wsunęłam do torebki. Jak na ironię, była to moja najlepsza torebka marki Louis Vuitton. Kiedy ją kupowałam, marzyły mi się uroczyste okazje, przy których będę ją nosić; nigdy się nie spodziewałam, że ukryję w niej pistolet, gdy pojadę do strefy wojennej, by podjąć próbę odzyskania moich dzieci.

Chwilę później Tracey chciała skorzystać z toalety i Alla się zatrzymał. Chłopcy również wyskoczyli z samochodu i załatwili na poboczu swoje potrzeby. Tracey, nie chcąc, by ktokolwiek ją zobaczył, zeszła do rowu i zniknęła za nasypem. Nagle Marlon krzyknął:

- Mamusiu! Mamusiu! Zobacz!

Odwróciłam się, obawiając się najgorszego. Czyżby bandyci zastawili na nas pułapkę? Któż to mógł wiedzieć, czego należało się spodziewać? Ale Marlon krzyknął:

- Zobacz! Wielbłądy!

Spojrzałam we wskazanym przez niego kierunku i zobaczyłam stadko wielbłądów kroczących powoli i pewnie w stronę miejsca, w którym Tracey zginęła nam z oczu. Zwierzęta coś przeżuwały i z wyraźną ciekawością usiłowały się dowiedzieć, kim jest osoba, która przyszła ich od-

156

wiedzie. W następnej chwili rozległ się głośny krzyk. Tracey spostrzegła, że zwierzęta stoją obok i spoglądają na nią z góry. Błyskawicznie przybiegła do nas, podciągając po drodze spodnie. Wszyscy skrećaliśmy się ze śmiechu, obserwując tę scenę. Śmialiśmy się jeszcze długo, jakby była to najśmieszniejsza scena, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Po wielu stresach i napięciu, jakie nie opuszczało nas przez kilka ostatnich dni, śmiech okazał się w końcu uzdrawiającym lekarstwem. Tracey nie uznała tego wydarzenia za równie zabawne, jak reszta. Prawdę mówiąc, w miarę przeciągania się podróży, stawała się coraz bardziej drażliwa. Odczuwała również zmęczenie fizyczne. Bolały ją plecy, a tymczasem musiała spędzać wiele

godzin w samochodzie. Nie mogła wypocząć w nocy w wygodnym łóżku, co nie wpływało dobrze na jej stan. Myślę też, że w miarę jak zbliżaliśmy się do celu naszej podróży, narastało w niej zdenerwowanie. Zapadał zmierzch, gdy znaleźliśmy się w niewielkiej odległości od Bagdadu. Nasza podróż, począwszy od granicy, trwała już dwanaście godzin. Wydawało się, że minęło wiele dni od czasu, kiedy po raz ostatni spaliśmy w łóżku. Alla uprzedził nas o konieczności zmiany samochodu w stolicy, ponieważ jego pojazdem nie moglibyśmy pojawić się w An-Nadżafie. Z jordańskimi tablicami rejestracyjnymi bylibyśmy w tym świętym mieście bardzo nie na miejscu. Dalszą część naszej wyprawy musieliśmy odbyć samochodem z irackimi tablicami. Na szczęście na przedmieściu Bagdadu mieszkał brat Alli. Złożyliśmy mu wizytę, po czym zabraliśmy go ze sobą, ponieważ dobrze znał miasto. Uwzględniając, że w Bagdadzie obowiązuje godzina policyjna, musieliśmy pojechać na skróty, by jak najszybciej dostać się na miejsce. Nie chcieliśmy przemieszczać się przez miasto w czasie, gdy ruch jest ściśle kontrolowany. Lepiej było tego uniknąć.

Dojazd do An-Nadżafu zajął niemal dwie godziny. Gdy przemierzaliśmy ulice miasta, wyglądałam przez okno, próbując rozpoznać jakieś znajome miejsca, które ułatwiłyby mi odszukanie domu matki Mahmu-da. Minęły lata od czasu, kiedy odwiedziłam to miejsce po raz ostatni. Podczas mojej poprzedniej wizyty nie była to oczywiście strefa objęta wojną. Na ulicach widziałam teraz wielu rozgniewanych mężczyzn ubranych w tradycyjne stroje, protestujących przeciwko Amerykanom. Miasto stanowiło bastion szyickich muzułmanów. Wprawdzie nie znosili świeckiego Saddama, który pochodził z północy kraju, jednak bardziej wydawali się nienawidzić Amerykanów. Ulice sprawiały wrażenie brudnych, jakby od tygodni nie wywożono śmieci. Widok patrolujących czołgów budził respekt. Przebywanie tu nie należało do przyjemności.

157

Wysiadliśmy z Tracey z samochodu, żeby sprawdzić, czy rozpoznam jakieś miejsce lub obiekt, które wskazałyby nam drogę do domu matki Mahmuda. Siostra nie miała na głowie chusty i obie nosiłyśmy spodnie, co nie było tu zbyt dobrze widziane. Prawdę mówiąc, należało ubrać się w długi czarny czador, tak jak wszystkie kobiety w An-Nadżafie. Pamiętałam jedynie, że dom znajdował się w pobliżu niewielkiego hotelu i posterunku policji. Byłam nieco zdezorientowana. Nic nie wyglądało choćby trochę znajomo. Stałam tam, nie wiedząc, w którą stronę skierować kroki. W czasie poprzednich wizyt przywożono mnie tutaj, a będąc pasażerem, nie zwraca się szczególnej uwagi na mijane ulice. Wydawało się, że przyjechaliśmy do miasta inną drogą niż ta, którą znałam. Ponadto An-Nadżaf zrobił na mnie teraz wrażenie miasta znacznie większego, niż je zapamiętałam.

Nagle całe napięcie i stres gromadzące się w nas od dłuższego czasu dało o sobie znać i Tracey wybuchła:

- Na miłość boską, Donya! - zaczęła na mnie krzyczeć. - Czy nie możesz sobie, do cholery, przypomnieć, gdzie to jest? Weź się w garść... Nie jestem już w stanie dłużej tego znieść.

Stałam tam i chciało mi się płakać. Czułam się fizycznie, a także psychicznie wykończona. Moja siostra miała rację, powinnam była wziąć się w garść. Musieliśmy znaleźć ten dom.

W pewnej chwili zawołał mnie Alla. Wykazywał w stosunku do mnie wiele cierpliwości, nie tylko dlatego, że płaciłam mu pieniądze. Był po prostu życzliwy i taktowny.

- W porządku, Donya. Nie martw się. Opisz nam ten posterunek policji i spróbujemy go znaleźć.

Pamiętałam tylko, że znajdował się na rogu ulicy, a w pobliżu stał mały hotel. Alla przez kilka minut rozmawiał po arabsku ze swoim bratem, a następnie powiedział:

- Myślę, że wiemy, gdzie to jest. Wskakuj do środka i pojedziemy w to miejsce.

Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu posterunku policji, od razu zorientowałam się, gdzie jestem. Poprosiłam Allę, żeby podjechał do przeciwległej ulicy, przy której stały domy mieszkalne. Jeden z nich wydał mi się znajomy. Wsiadłam z samochodu i podeszłam do bramy, ale zorientowałam się wówczas, że nie jest to dom rodziny Mahmuda. Był tylko w bardzo podobnym stylu, z taką samą frontową bramą. Patrząc na Tracey, domyślałam się, co mogła sobie pomyśleć: „I znów to samo”.

158

Pojechaliśmy nieco dalej w górę ulicy.

- To ten dom! - zawołałam w pewnej chwili.

Zatrzymaliśmy samochód. Przed nami wznosiła się ogromna, czarna żelazna brama z zamkiem na górze i zasuwą na dole. Była otwarta, toteż weszłam do środka.

Ku memu rozczarowaniu w dużym ogrodzie przed domem nie dostrzegłam żadnych zabawek ani innych przedmiotów należących do dzieci. Frontowe drzwi chroniła siatka przeciw komarom, a za nią były kolejne, szeroko otwarte drzwi, prowadzące do pomieszczeń domu. W przedpokoju zauważyłam klapki mojej córki, co upewniło mnie w przekonaniu, że dzieci muszą tu być. Odsunęłam siatkę i weszłam do przedpokoju. Słyszałam głosy dobiegające z salonu i tam skierowałam swoje kroki. Siedziały w nim Fatima, matka Mahmuda, i jej siostra, które ze zdziwienia otworzyły usta. Wstały i zaczęły się ze mną witać, ale od razu im przerwałam.

- Gdzie są moje dzieci? - zapytałam.

- Dzieci mają się świetnie, Donya, są bezpieczne, nie martw się - powiedziały po arabsku.

Podeszły do mnie i zaczęły mnie całować, ale je odepchnęłam. Byłam bardzo wzburzona.

- Muszę zobaczyć moje dzieci, powiedzcie mi, gdzie one są. Przebyłam długą drogę, żeby się z nimi spotkać.

Zdały sobie sprawę, że mówię poważnie, i próbowały mnie udobruchać.

- Są ze swoim ojcem w Bagdadzie - powiedziały. - Będą tam bezpieczne. Pojedziemy zobaczyć się z nimi jutro, a może pojutrze.

- Nie, zrobimy to dzisiaj. Nie przyjechałam z Anglii po to, żeby czekać kolejny dzień. Pomyślałam również, że gdyby ostrzegły Mahmuda o mojej obecności w Iraku, wówczas żadna siła nie mogłaby go powstrzymać przed przeniesieniem się z dziećmi w inne miejsce, gdzie nie mogłabym ich odnaleźć.

- Musimy zobaczyć dzieci. W samochodzie siedzą Chalid i Hammu-di. - Marlon nosi muzułmańskie imię Muhammad, ale jest niekiedy pieszczotliwie nazywany Hammudim. - Chłopcy są wykończeni - kontynuowałam. - Chcę jeszcze dzisiaj spotkać się z Allawim i Amirą.

Fatima wyszła z domu i udała się do samochodu, żeby zobaczyć się z dziećmi, a następnie skrytykowała mnie i Tracey za nieodpowiedni strój.

- Nie możecie przyjeżdżać do An-Nadżafu tak ubrane. To nie w porządku.

159

Zaczynałam być zmęczona całą tą nonsensowną sytuacją i odburknęłam:

- Przyjechałyśmy tu po to, żeby zobaczyć moje dzieci. Powiedz mi, gdzie one są.

Fatima wdała się ze mną w dyskusję.

- Mahmud postąpił zgodnie z tym, co nakazywało mu sumienie -stwierdziła. -

Zagroziłaś mu rozwodem. Martwił się, że zabierzesz dzieci. Nie miał wyboru.

A więc o to chodzi, pomyślałam. Miałam tego dosyć.

- Działania Mahmuda doprowadziły mnie do ostateczności. Nie mam już czasu na zbędne dyskusje. Znalazłam się w Iraku, by odzyskać dzieci, a towarzyszący mi mężczyźni przyjechali ze mną, żeby mi w tym pomóc. Jestem śmiertelnie poważna. Wsiądziesz do tego samochodu i pojedziesz z nami do Bagdadu, aby nam pokazać, gdzie one są - zarządziłam.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby odmówiła. Na szczęście nie musiałam tego odkrywać. Poczula się zobowiązana, by spełnić moją prośbę i wcisnęła się na tylne siedzenie auta. Samochód, którym teraz jeździliśmy, zupełnie nie przypominał poprzedniego, należącego do Alli. Był to zwyczajny sedan, toteż zrobiło się w nim ciasno. Ruszyliśmy do Bagdadu. Matka Mahmuda wydawała się przerażona.

Mamrotała coś pod nosem i modliła się. W pewnym momencie zapytałam ją, czy dzieci za mną tęskniły. Zaprzeczyła, mówiąc, że czuły się bardzo szczęśliwe. Chciała mi dać do zrozumienia, jak bardzo jest na mnie wściekła. Ja jednak nigdy nie uważałam Fatimy za osobę z gruntu złą i nadal jej tak nie postrzegam.

- Dlaczego złościsz się na mnie, a postępowanie Mahmuda, który porwał moje dzieci, bynajmniej nie wzbudza w tobie irytacji? - zapytałam.

Odparła, że wcale ich nie porwał, gdyż jest przecież ich ojcem.

- To prawda, ale ja jestem ich matką i nie miał prawa tego robić. Byłam bardzo dobra dla twojej rodziny - kontynuowałam swój wywód -także dla ciebie. I tak mi się odwdzięczacie? Pomogłam również twojej córce dostać się do Wielkiej Brytanii. O tym, co dla was zrobiłam, nie chcecie jednak pamiętać. Ale wróćmy do twego syna. Twierdzenie, że jest dobrym muzułmaninem, rozśmiesza mnie do łez. Każdego wieczoru wypija w domu kilka puszek piwa, zanim zaśnie. Nie rozbawiaj mnie, to ma być wierny muzułmanin?

Byłam teraz taka zła, że z moich ust popłynął potok zbędnych słów. Straciłam kontrolę nad tym, co mówię. Kiedy nie mogłam sobie przy-

160

pomnieć arabskiego wyrazu, Alla tłumaczył moje słowa wypowiedane po angielsku. Pytałam Fatimę, czy według niej popełniłam kiedykolwiek błąd jako matka, nie zaspokajając potrzeb moich dzieci, ale nie potrafiła mi na to odpowiedzieć.

Podziwiała natomiast swoją córkę Ibtihal, a nawet mówiła o niej z uwielbieniem. Ja jednak nie postrzegałam swojej szwagierki jako wspaniałego wzorca. Powiedziałam to teściowej, a następnie stwierdziłam:

- Fatimo, być może Mahmud nie jest zły, ale uważam, iż postąpił bardzo podle, właściwie niewybaczalnie. Zabrał matce dwoje bardzo małych dzieci. Nie widziały

mnie od ośmiu tygodni. Czy stanowi to wyraz troski albo odpowiedzialnej postawy godnej mężczyzny?

Biedna Fatima dostała ode mnie zapewne pierwszą w życiu burę. Nie była przyzwyczajona, by ktoś prawil jej kazania. Zupełnie nie przypadło jej to do gustu. Pochyliła się do przodu i zaczęła znów mamrotać swoje modlitwy.

- To straszne, że mu pomagałaś, że byłaś jego współniczką, i nadal wydajesz się nie rozumieć, jak bardzo jego postępowanie godne jest potępienia - kontynuowałam. W tym momencie dojechalismy do przedmieść Bagdadu. Było już dobrze po dziesiątej wieczorem, czym Alla ogromnie się zmartwił. Amerykanie wprowadzili godzinę policyjną, która obowiązywała od dwudziestej trzeciej. Nie chciał ryzykować, by go zatrzymano. Nie mogłam jednak zaakceptować żadnej zwłoki - byliśmy już tak blisko celu, że musieliśmy doprowadzić sprawę do końca. Nasz kierowca zgodził się zatem pojechać do domu, w którym mieszkał Mahmud. Gdyby dopisało nam szczęście, moglibyśmy wykonać nasze zadanie bez zakłóceń, po czym spędzić noc w domu brata Alli w oczekiwaniu na zniesienie godziny policyjnej. W ciemności, na tylnym siedzeniu samochodu, czułam, jak mały Mar-lon ściska moją dłoń.

- Wkrótce zobaczymy Allawiego i Amirę, mamusiu - wyszeptał. - Ale nie bądźmy zbyt źli na tatę. Porozmawiajmy z nim, tak po prostu, dobrze mamu?

Biedne dziecko było rozdarte pomiędzy obojgiem rodziców - chociaż Mahmud nie był jego biologicznym ojcem, Marlon nazywał go „baba”\*

\*Baba (arab.) - tata.

161

i traktował jak ojca. Pragnął, by cała rodzina ponownie się połączyła, żebyśmy wszyscy wrócili do domu, i wszystko było tak samo jak przedtem. Uśmiechnęłam się do niego.

- Oczywiście, kochanie. Nikt nie będzie się na nikogo gniewał.

W głębi duszy wiedziałam jednak, że stosunki między nami nie wrócą już do normy. Mahmud nie tylko złamał prawo - złamał mi serce. Nigdy nie potrafiłabym o tym zapomnieć. Nie mogło być mowy o żadnym powrocie.

Kiedy jechaliśmy ulicami Bagdadu, Fatima miała problem z przypomnieniem sobie drogi do domu, w którym przebywał Mahmud. Okazało się, że mieszkał u swego przyjaciela Alego. Prawdopodobnie udawała brak orientacji. Gdy straciłam cierpliwość, a jej postawa wzbudzała we mnie coraz większą irytację, pokazałam jej, że mam w torebce pistolet. Dopiero wtedy pamięć szybko jej wróciła. Pochyliła się do przodu, żeby powiedzieć bratu Alli, gdzie ma skręcić.

Znajdowaliśmy się teraz na głównej drodze biegnącej wzdłuż Tygrysu, rzeki znanej od zarania naszej cywilizacji, która przepływa przez Bagdad. Po pewnym czasie skręciliśmy w jedną z ulic i ujechalismy jeszcze kawałek, zanim Fatima powiedziała, żeby się zatrzymać. Tu znajdował się poszukiwany przez nas dom. Wszyscy wysiedli z samochodu, a ja podeszłam do bramy. Okazało się, że jest otwarta, ale w domu nie paliły się światła, co oznaczało, że nikogo wewnątrz nie było. Z sąsiedniej posesji wyszedł sąsiad, poznał Fatimę i wyjaśnił jej, że lokatorzy wyjechali gdzieś samochodem. Spodziewał się, że wrócą przed godziną policyjną, która miała zacząć obowiązywać za pięć minut. Nie pozostawało nam zatem nic innego, jak na nich



zaczekać.

Sąsiad poczęstował nas zimną wodą, co sprawiło nam wielką ulgę po ciepłych napojach, jakimi raczyliśmy się z butelek w samochodzie. Fatima usiadła z sąsiadką w jej ogrodzie. Wywnioskowałam, że musiała często przyjeżdżać tu z wizytą, gdyż obie kobiety dobrze się znały. Teraz, mając trochę czasu, mogłam rozejrzeć się po otoczeniu. Ulica sprawiała miłe wrażenie, po obu jej stronach stały jednorodzinne domki. Znajdowaliśmy się na niewielkim wzgórzu, skąd roztaczał się widok na wody pobliskiego jeziora, które w panującym mroku wydawały się ciemne i tajemnicze. Tracey i dzieci rozprostowywali nogi. Kobieta z sąsiedztwa podeszła do bramy, żeby ze mną porozmawiać. Zapytała mnie po angielsku, co tu robię. Powiedziałam jej bez ogródek:

- Syn Fatimy, Mahmud, jest moim mężem. Porwał dwoje moich najmłodszych dzieci, w wieku pięciu i sześciu lat. Zaplanował, a później zro-

162  
bił to za moimi plecami. Przyjechałam tu, żeby zabrać je z powrotem do domu.

Zapytałam ją, czy widziała Allawiego i Amirę. Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Tak, często ich widuję, gdy bawią się w ogrodzie. Przychodzą tu pobawić się z moją małą córeczką.

Chciałam wiedzieć, jak się czują i czy wydają się szczęśliwe. Twierdziła, że tak, dodając, że dzieci są wyjątkowo urocze i bardzo dobrze wychowane. Czułam się w pełni ukontentowana, słysząc te słowa. Nawet po tym wszystkim, co przeszły, zachowały swoją pogodną naturę. Dało mi to nadzieję, że ich psychika nie doznała zbyt wielkiego urazu po ciężkiej próbie, na którą zostały wystawione.

Z rozmowy jasno wynikało, że Mahmud nie powiedział nikomu, co naprawdę zrobił.

Opowiadał, że przywiózł dzieci do domu, by spotkały się z rodziną, a także pomieszkały przez pewien czas z krewnymi. Jego hipokryzja wydawała mi się obrzydliwa i byłam na niego wściekła. Odczuwałam nawet złość w stosunku do tej miłej kobiety. Wiedziała przecież, co się dzieje. Czy istotnie nie mogła nic zrobić, by położyć temu kres? Oczywiście, nie była to wcale jej wina. Kiedy jednak dzieci zostają porwane, każda matka podejrzewa, że zawiązała się przeciwko niej straszna konspiracja, w którą wiele osób jest zaangażowanych i zjednoczonych przeciwko niej. Przez wiele lat spotykałam się z rozpaczą tych biednych, bezradnych matek. Usilnie im pomagałam, a teraz sama tego doświadczałam.

Sąsiadka uśmiechnęła się do mnie, mówiąc:

- Twoje dzieci przyjadą tu wkrótce z Mahmudem. Porozmawiacie ze sobą i z pewnością dojdziecie do porozumienia.

Wydawało się, że nikt nie chce żadnych kłopotów. Do moich uszu dobiegł odgłos zbliżającego się samochodu. Rozejrzałam się wokół i zauważyłam, że Tracey zniknęła. Zanim miałam czas się zastanowić, dokąd mogła pójść, samochód zatrzymał się przed domem. Był to mały, biały hatchback. Za kierownicą siedział Ali. Miejsce na siedzeniu dla pasażera zajmował Mahmud. Gdy mnie zauważył, wyglądał, jakby zobaczył ducha. Na jego kolanach usadowiła się Amira. Ze swoją cherubinkową, okrągłą twarzą i mocno kręconymi włosami wydawała się małym aniołkiem. Od razu spostrzegłam, iż jej włosy były znacznie krótsze niż wtedy, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Zapewne nie zostały podcięte przez zawodową fryzjerkę.

Takie dziwne myśli przychodzą do głowy człowiekowi znajdującemu się w kryzysowej sytuacji.

163

Gwałtownie szarpnięte przeze mnie drzwi samochodu od strony, gdzie siedział Mahmud, natychmiast się otworzyły, ale o dziwo, nie czułam już gniewu. Byłam spokojna i miałam wrażenie, że całkowicie panuję nad sytuacją. Wszystko, co robiłam w ciągu ostatnich ośmiu tygodni, prowadziło do tego punktu. Oczekiwana chwila właśnie nadeszła. Wydawało się, że jakaś magiczna siła kieruje moimi działaniami i nic nie może mnie już zatrzymać. Podeszłam do Mahmuda i wyrwałam mu moją małą dziewczynkę, Amirę. Na jego twarzy malowało się absolutne zaskoczenie. Wyraźnie nie wierzył, że ich wytropię. Osłupiały, pozwolił mi ją zabrać, nie stawiając żadnego oporu. Następnie otworzyłam drzwi z drugiej strony, pozwalając wyskoczyć małemu Allawiemu. Synek rozpromienił się i zawołał: „Mamusi! Mamusi!”.

Przyciągnęłam do siebie dzieci i stałam przed tym arabskim domem, w rozdartym wojną Bagdadzie, o tysiące kilometrów od Londynu. Cha-lid i Marlon podeszli bliżej, chwycili swego małego brata i siostrę, całując ich i przytulając. Ponad ich głowami spojrzałam na męża, a ten wyzywająco wytrzymał moje spojrzenie. Znowu poczułam niepokój. Co się teraz stanie? Kto zrobi pierwszy krok? Czy Mahmud będzie po prostu stał z boku, kiedy zabiorę jego dzieci - nasze dzieci - daleko stąd, z powrotem do Anglii, a wówczas prawdopodobnie nigdy więcej ich nie zobaczy? Nie przewidziałam, co zrobię, gdy ta chwila nadejdzie.

W tym momencie, kiedy wszyscy staliśmy jak wrośnięci w ziemię, zjawiała się nagle Tracey, biegnąc ku nam drogą.

- Nie martw się, Donya - krzyknęła do mnie. - Spotkałam oddział amerykańskich żołnierzy i wytłumaczyłam im wszystko. Zajmą się całą sprawą.

Słyszając te słowa, uświadomiłam sobie odgłos dudnienia, wydawany przez ciężką maszynę, i zgrzytanie gaśienic. Spojrzałam w górę ulicy i zobaczyłam jadące w naszym kierunku dwa ogromne czołgi. Wyglądało to niewiarygodnie, niczym scena z jakiegoś filmu. Kiedy czołgi zbliżały się do nas, nikt nic nie mówił. Nagle postanowiłam przejąć inicjatywę. Alla i jego brat wysiedli z samochodu. Mahmud natychmiast zaczął coś podejrzewać, pytając, kim oni są. Uspokoiliam go i powiedziałam, że po prostu towarzyszą mi w podróży. Odwracając się do siostry, poleciłam:

- Tracey, zabierz dzieci i wsadź je do samochodu. Nadszedł czas, żebym zamieniła kilka słów z Mahmudem.

Świadomość, że zbliżają się do nas czołgi, wyraźnie mnie ośmieliła. Zdawałam sobie sprawę, że mój mąż nie będzie próbował zrobić czegokolwiek w obecności uzbrojonych żołnierzy. Poszłam z nim do ogrodu -

164

mimo wszystko nie chciałam pozwolić, by dzieci widziały, jak ich rodzice się kłócą.

- Mahmudzie, jak mogłeś wyrządzić mi taką krzywdę? - zapytałam ze złością.

Nawet teraz, po tym wszystkim, nie potrafiłam go nienawidzić. Mogłam nim gardzić za to, co zrobił, ale dla mnie jego działania były raczej czynami człowieka zdesperowanego, słabego niż okrutnego i silnego. Wyglądał tak żałośnie, jak mały

chłopiec, który wie, że nabroił, stoi z miną winowajcy, usiłując nie pochlipywać, i oczekuje na karę, która z pewnością go spotka.

Skrzywił się, jakby chciał przyznać, że nie ma nic na swoją obronę, a moje zarzuty były w pełni słuszne i uzasadnione.

- Kochałam cię, byłam dla ciebie dobrą żoną i, przede wszystkim, dobrą matką dla naszych dzieci. A ty je porwałeś. Jak mogłeś? Czy zrobiłam cokolwiek, żeby zasłużyć na takie cierpienie?

Mahmud zaczął się nieszczerze tłumaczyć.

- Donya, proszę, musisz mi wierzyć, miałem zamiar po ciebie posłać. Myślałem, że moglibyśmy wszyscy być szczęśliwi tu, w Iraku...

Przerwałam mu. Nie byłam w nastroju, by z pobłażaniem przyjąć jego pełną skruchy obłudę.

- Nigdy nie miałeś zamiaru po mnie posłać. Jak możesz tu stać i kłamać w żywe oczy, nawet teraz, kiedy gra jest skończona? Nie pozwalałeś mi rozmawiać z dziećmi, twój telefon komórkowy nie odpowiadał, nie przesłałeś mi żadnej wiadomości, że dzieci dobrze się czują i są bezpieczne. Czy możesz sobie wyobrazić katusze, jakie przeżywałam, gdy każdego dnia oglądałam wiadomości z Iraku? Dowiadywałam się, że coraz więcej ludności cywilnej ginie w wyniku bombardowań. Nie wiedziałam przecież, czy nasze dzieci nie znalazły się przypadkiem wśród ofiar.

W tym momencie do naszej rozmowy wtrąciła się Fatima:

- Nie miałam wyjścia. Musiałam ją tu przywieźć. Ma w torebce pistolet.

Mahmud szeroko otworzył oczy. Sądzę, że był wstrząśnięty na myśl, że przyjechałam w pogoni za nim nie tylko w towarzystwie dwóch kierowców, ale też zaopatrzona w pistolet. Chcąc pokazać, że nie mam zamiaru zrobić mu krzywdy, położyłam torebkę obok w ogrodzie.

W tym momencie dwa czołgi zatrzymały się przed domem. Stało na nich kilku amerykańskich żołnierzy w pełnym umundurowaniu, z hełmami na głowach.

Trzymali w rękach broń i patrzyli na nas. Jeden z nich zeskoczył z czołgu. W ciemności trudno było powiedzieć, w jakim był

165

wieku - mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia, ale równie dobrze około trzydziestu pięciu lat. Przymuszczałnie był dowódcą.

Zwrócił się do mnie i powiedział głosem pełnym szacunku:

- Dobry wieczór. Czy jest pani matką tych dzieci? Odpowiedziałam twierdząco, zaś Mahmud wtrącił się do rozmowy, oświadczając:

- A ja jestem ich ojcem.

Żołnierz patrzył na niego, nic nie mówiąc, a następnie ponownie zwrócił się do mnie:

- Czy mogłaby pani podejść tutaj i porozmawiać ze mną przez chwilę?

Przychyliłam się oczywiście do jego prośby.

- Zatroszcz się o dzieci, Tracey - powiedziałam, ale tym razem dowódca czołgu sprzeciwił się.

- Nie, proszę pani. Dzieci zostaną z nami, dopóki nie zbadamy dokładnie sytuacji i nie wyjaśnimy, co się tu dzieje.

Mówiąc to, on sam i dwóch członków jego załogi podniosło dzieci i posadziło je na

czołgu. Nawet w tak poważnych okolicznościach potrafiły się uśmiechnąć. Przypuszczalnie każdy chłopiec marzy, by zostać uniesionym w górę przez żołnierza i posadzonym w czołgu. Mogłam niemal wyczuć, co myślą w tej chwili Allawi i Chalid: „No! No! Poczekajcie, aż opowiemy o tym dzieciom w szkole!”.

Wysokiej rangi, jak przypuszczałam, amerykański czołgista, odszedł ze mną kilka metrów w dół ulicy, z dala od pancernych pojazdów i pozostałych obecnych.

- Z tego, co mówiła pani siostra - powiedział - zrozumiałem, że są to pani dzieci i zostały porwane z Wielkiej Brytanii przez mężczyznę, który jest ich ojcem. Czy to prawda?

Dobra, mądra Tracey, pomyślałam sobie w duchu.

- Tak, to prawda, panie oficerze - odparłam z szacunkiem.

- W porządku. Czy ma pani jakieś dokumenty lub paszporty, które stanowiłyby dowód, że są to naprawdę pani dzieci?

Pokazałam mu nasze paszporty. Nosiałam je w oddzielnej torebce razem z innymi dokumentami. Przejrzał je i wydawał się usatysfakcjonowany. Uznał paszporty za wiarygodne. Zwrócił się do mnie:

- Z rozmowy przeprowadzonej z pani siostrą wywnioskowałam, że pani były mąż porwał dzieci, ponieważ był na panią zły. Jego gniew wzbudziła wiadomość, że miała się pani zaręczyć z obywatelem amerykańskim. Czy to prawda?

166

Przez chwilę patrzyłam na niego nieco zakłopotana. Potem nareszcie zaczęłam coś rozumieć. Przebiegła Tracey powiedziała tym żołnierzom, że Mahmud i ja rozwiedliśmy się, a na dodatek w sposób oczywisty podkolorowała moją przyjaźń z Williamem, która rzeczywiście niespecjalnie cieszyła mego męża i mogła nawet wpłynąć na jego decyzję porwania dzieci. Bujna fantazja mojej siostry podsunęła jej pomysł, by powiedzieć, że byliśmy zaręczeni, a nawet chcieliśmy się pobrać.

Genialne! W takich okolicznościach żołnierze czuli się szczęśliwi, że mogą mi pomóc. Tracey udało się wykreować atmosferę, w której Mahmud stał się w ich oczach nieprzyjacielem - Irakijczyk uprowadzający dzieci swojej byłej żony, rozgniewany na samą myśl, że mogłaby poślubić Amerykanina. Miało to zasugerować, że Mahmud był fundamenta-listą, wściekłym z powodu okupacji kraju przez koalicję, a nie jednym z wiwatujących Irakijczyków, który powitał Amerykanów jako wyzwolicieli. Dzięki Bogu, że Tracey przyjechała z nami. Jedną jej sprytną sztuczką sprawiła, że okazała się absolutnie niezastąpiona w tej ryzykownej podróży.

Opowiedziałam oficerowi wszystko o Williamie - kim był, skąd pochodził i w jaki sposób go poznałam. Uważnie przysłuchiwał się moim słowom. Kończąc, stwierdziłam:

- Mam teraz tylko jedno pragnienie: zabrać dzieci do domu, pozostawić za sobą ten straszny epizod i zacząć odbudowywać nasze życie.

- W porządku. Możemy pani w tym pomóc.

Chętnie zarzuciłabym mu ręce na szyję. Ludzie często krytykują Amerykanów za ich bojową postawę, ale ja miałam wszelkie powody, żeby być wdzięczną za ich podejście do rozwiązywania problemów w sposób „da się to zrobić”. Dzięki temu mogłam zabrać moje dzieci daleko od strefy wojny i teraz już nic - jak się wydawało

- nie stanie mi na przeszkodzie. Nareszcie widać było koniec koszmaru.

Wróciliśmy do reszty. Mahmud trzymał mocno zaciśniętą rękę na ramieniu Marlona i mówił do niego:

- Ty i Chalid zostanieie dziś na noc ze mną, a jutro spotkamy się z mamusią i omówimy różne sprawy. Wszystko będzie dobrze...

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Czyżby odebrało mu rozum? Czyżby do tego stopnia oderwał się od rzeczywistości, że sądził, iż istnieje jeszcze szansa uratowania czegoś w tej okropnej sytuacji, którą sam spowodował?

- Tak się nie stanie, Mahmudzie - powiedziała stanowczo. - Wszystkie dzieci spędzą dzisiejszą noc ze mną. Zadzwonimy do ciebie jutro.

167

Nie miałam zamiaru dzwonić do niego następnego dnia. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, w ciągu dwudziestu czterech godzin znaleźlibyśmy się w samolocie lecącym z Bejrutu do Anglii. Byłaby to najkrótsza droga do naszego domu w zachodnim Londynie.

Mahmud nie chciał jednak puścić Marlona. Nadal trzymał chłopca, błagając go, żeby został z nim tej nocy. Najwyraźniej przeczuwał, że jeżeli pozwoli swoim dzieciom teraz odejść, nigdy już ich nie zobaczy. W tym momencie interweniował żołnierz. Nie ulegało wątpliwości, że może użyć broni. Zachowywał się bardzo uprzejmie, ale w powietrzu wisiała niewypowiedziana groźba, że jeżeli Mahmud nie zastosuje się do jego poleceń, ten będzie zmuszony przystąpić do działania.

- Musi się pan natychmiast odsunąć od dziecka - powiedział spokojnie.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał wzburzony Mahmud. - To są też moje dzieci. Żołnierz zachowywał jednak spokój.

- Powinien pan teraz stąd odejść. Jeżeli nie wykona pan mego rozkazu, nie pozostanie mi nic innego, jak pana aresztować. W razie oporu z pana strony będę musiał użyć broni. Byłoby dla nas wszystkich znacznie lepiej, gdyby zrobił pan po prostu to, co teraz mówię. Niech pan się cofnie.

Mahmud zdał sobie sprawę, że żołnierz nie blefuje.

- W porządku - powiedział, puszczając Marlona i odsuwając się.

Tracey i ja zebrałyśmy dzieci razem. Młodsze wzięłyśmy na ręce, prowadząc dwoje starszych do samochodu brata Alli. Marlon zaczął płakać, widząc mężczyznę, którego uważał za swojego ojca, trzymanego na odległość przez amerykańskiego żołnierza z bronią gotową do strzału. Wydawało się, że Mahmud się skurczył i został pozbawiony wszelkiej godności. Widząc, że Marlon płacze, bracia i siostra przyłączyli się do niego. Wkrótce wszystkie dzieci w samochodzie zawodziły. Kiedy między rodzicami wybuchają awantury, nieuchronnie rani to dzieci, które pragną wierzyć, że ich mamusia i tatuś są najlepsi na świecie. Nie chcą widzieć okropnych skutków kłótni, stanowiących rezultat wojny między rodzicami. Biorąc to pod uwagę, wiedziałam, że nigdy nie będę mogła wybaczyć mężowi. Żaden kochający rodzic nie zafundowałby takiej traumy niewinnemu dziecku, które nie zasługuje i nie rozumie urazów i gniewu jednego rodzica na drugiego. Nawet jeżeli uważał, że zmierzamy do rozwodu, powinien był znać moje poglądy - uważałam, że matka ma prawo być ze swoimi dziećmi, ale w równym stopniu stałam na straży praw ojca. Nigdy nie zabroniłabym Mahmudowi spotkań z dziećmi. Jednak

po uprowadzeniu przez niego najmłodszej dwójki sytuacja uległa radykalnej zmianie. Nie potrafilibyśmy dojść do rozsądnego porozumienia, jakie powinno zawrzeć ze sobą dwoje dorosłych ludzi.

Kiedy ruszyliśmy z miejsca, żołnierze usatysfakcjonowani pomyślnie wykonanym zadaniem wsiedli do swoich czołgów i z głośnym łoskotem zaczęli się wycofywać. W tym czasie Mahmud ruszył biegiem obok naszego samochodu, błagając nas, abyśmy nie odjeżdżali. Widząc to, dzieci jeszcze bardziej zaniósł się płaczem. W pewnym momencie, ku memu przerażeniu, zdałam sobie sprawę, że zostawiłam w ogrodzie torebkę.

- Musimy się zatrzymać - powiedziałam.

Tracey spojrzała na mnie, jakbym zupełnie straciła rozum.

- Zwariowałaś? - zapytała. - Nie możemy się zatrzymać! Ciągłe biegnie za nami Mahmud.

- Nie chodzi o niego - krzyknęłam - tylko o moją torebkę. Zostawiłam ją w ogrodzie.

- Och, na litość boską - westchnęła Trący. - W porządku, przyniosę tę przeklętą torebkę.

Mówiąc te słowa, wyskoczyła z samochodu i pobiegła w kierunku domu. Minęła zdumionego Mahmuda, który nie wiedział, co się dzieje. Na szczęście był zbyt zaskoczony, by próbować protestować, podejść do mnie i wszczynać dyskusję. Sekundę później Tracey wyłoniła się z domu, trzymając w ręku torebkę. Ponownie przebiegła obok zdeprymowanego Mahmuda i wskoczyła do samochodu.

- Wszystko załatwione - stwierdziła. - Czy możemy teraz wydostać się wreszcie z tego przeklętego miejsca?

Nie potrafiłam powstrzymać się od śmiechu. Nawet w momencie największego kryzysu mogłam zawsze liczyć na trzeźwą postawę mojej siostry.

Brat Alli nacisnął na gaz i pospiesznie odjechaliśmy. Siedziałam na tylnym siedzeniu z Allawim i Amirą, ciągle całując ich i przytulając. Moje wspaniałe dzieci znów były ze mną. Musiałam niemal szczytać się od czasu do czasu, żeby przekonać się, że to prawda. Ciągłe jednak nie wyszliśmy na prostą. Wiedziałam aż nadto dobrze z doświadczeń wyniesionych z poprzednich misji, że najtrudniejszą rzeczą nie jest odzyskanie dzieci, ale wydostanie się z kraju, do którego zostały uprowadzone, i powrót do domu. Zdawałam sobie sprawę, że Mahmud może pójść na policję i powiadomić o porwaniu przeze mnie jego dzieci. Jak już nie raz o tym wspominałam, w kraju muzułmańskim istnieje tendencja, by dawać wiarę słowom ojca. A zatem, mógł nam sprawić jeszcze mnóstwo

kłopotów. Żywiłam jedynie nadzieję, że w warunkach toczącej się wojny policja i sądy nie funkcjonują normalnie, gdyż zajmują się na co dzień znacznie poważniejszymi problemami.

W samochodzie wciąż przytulałam moje maleństwa, wchłaniając ich zapach, całując główki, włosy i twarze. Odnosiłam wrażenie, jakbym chciała się w nich zanurzyć, chłonać każdy gest i przejaw ich osobowości. W pewnym momencie Amira zwróciła się do mnie:

- Zobacz, co tatuś zrobił z moimi włosami, podciął je dzisiaj bardzo krótko.

To była prawda. Jej piękne, gęste loki zupełnie zniknęły.

- Nie martw się, kochanie - pocieszałam ją. - Nadal jesteś małą księżniczką mamusi i wyglądasz tak samo pięknie, jak zawsze.

Odniosłam wrażenie, że podniosło ją to na duchu. Wkrótce jej radosna, dociekliwa natura dała o sobie znać. Siedziała wierząc się i rozglądając wokół.

- Gdzie są Dippy i Smudge? - zapytała. Dippy i Smudge to nasze dwa wspaniałe koty.

- Nie mogły z nami przyjechać - powiedziałam - ale jutro wracamy do domu.

Wkrótce je zobaczysz.

Allawi z kolei wydawał się wyjść bez szwanku z tej ciężkiej próby. Gaworzył radośnie, siedząc obok mnie.

- Mamusiu, co ty tu robisz? - zapytał, po czym przeskoczył na inny temat: - Mamusiu, czy widziałas te wielkie czołgi?

Wszystko ułoży się dobrze, pocieszałam się w duchu, uspokojona ich szczebiotem. Dzieci zdołają zapomnieć o tych przykrych doświadczeniach.

Teraz, kiedy poculiśmy spadek adrenaliny, Tracey zaczęła cicho płakać. Czułam, że moje oczy również napełniają się łzami. Skutki zmęczenia i długotrwałego napięcia dawały się we znaki. Ja jednak postanowiłam się nie poddawać i uznałam, że nie czas na łzy - jeszcze nie teraz. Miałam do wykonania określone zadanie, zanim będę mogła pozwolić sobie na odprężenie.

Alla odwrócił się do mnie i powiedział:

- Donya, posłuchaj, nie możemy dziś w nocy kontynuować jazdy. Jest już po godzinie policyjnej. Nawet teraz nie powinniśmy być na ulicy. To zbyt niebezpieczne. Pojedziemy do mieszkania kolegi mego brata, gdzie prześpimy się kilka godzin, ale będziesz musiała zapłacić mu za to niezbyt wygórowaną sumę. Myślę, że warto skorzystać z tej propozycji. Rano pojedziemy do Jordanii. Teraz powinniśmy wszyscy trochę odpocząć.

170

Było to doskonale rozwiązanie - miałam jeszcze mnóstwo pieniędzy. Zapytałam Allę, czy pięćdziesiąt dolarów będzie wystarczającą kwotą, a on potakująco skinął głową.

Wyjęłam pieniądze z torebki i dałam mu je. Kilka minut później podjechalismy pod dom w okolicy, która wyglądała na dosyć biedne przedmieście. Alla poprowadził nas

do znanego mu mieszkania. Przywitał nas kolega jego brata i zaprowadził do sypialni. Stały tam dwa łóżka, które oddaliśmy dzieciom. Dopisywał im humor.

Czuły się szczęśliwe, że znowu mogą być razem. Ciągłe się do siebie przytulały, podskakując na łóżkach. Podekscytowane opowiadały sobie historie o tym, co przeszły. Alla i jego brat zjawili się w pokoju, informując, że muszą spać z nami na podłodze, ponieważ w mieszkaniu nie ma innego miejsca. To małe zamieszanie

sprawiło, że dzieci były jeszcze bardziej rozbrykane. Tego dnia działo się tak wiele: najpierw były czołgi, a później miały do dyspozycji własnych ochroniarzy.

Gospodarz sprawdził, czy mamy wszystko, czego potrzebujemy, a następnie wymknął się z mieszkania. Alla wyjaśnił, że pomimo obowiązującej godziny policyjnej zamierza odstawić samochód do innej dzielnicy - lepiej było zachować ostrożność, niż później żałować. Gdyby Mahmud zapamiętał numer rejestracyjny,

mógłby nas odszukać. Osobiście sądziłam, że mój mąż nie byłby nawet w stanie napisać na papierze własnego imienia, nie mówiąc już o numerze rejestracyjnym

czyjegoś samochodu, a tym bardziej wyjść na ulicę i rozglądać się za nim podczas godziny policyjnej po tym, jak żołnierz amerykańskiej armii trzymał go na muszce. Nic jednak nie powiedziałam. Lepiej zachować daleko idącą ostrożność, niż wykazać jej za mało.

Ostatecznie dzieci uspokoiły się i niebawem zmorzył je sen. Nawet ja zdołałam się zdrzemnąć, chociaż nie wiem, na jak długo. Około piątej rano Alla wstał i podszedł do mnie.

- No cóż, Donya - powiedział spokojnie. - Musimy znów ruszać w drogę.

Razem z Tracey obudziłyśmy dzieci, które wydawały się niezadowolone, że zostały tak wcześnie wyrwane ze snu. Siedziały przez kilka minut, przecierając oczy, zanim duch rychłej przygody przewyciężył ich senność. Ta gra jeszcze się nie skończyła. Szybko umyłam każde z nich pod prysznicem. Amira wciąż mierzwiła mi włosy i całowała mnie, nie przestając mówić o wszystkim, przez co przeszła. Pytała też, kiedy wróci do szkoły, żeby zobaczyć swoich przyjaciół. Kupiłam jej w Londynie śliczną bawełnianą bluzeczkę, którą włożyła tego ranka. Pomyślałam z dumą, że wszystkie dzieci wyglądają

171

nienagannie. Zrobiliśmy im wspólne zdjęcie w mieszkaniu tego nieznanego człowieka w Bagdadzie. Dobrze było utrwalić ten niezapomniany moment na fotografii.

Wyszliśmy ukradkiem z mieszkania, lokując się w samochodzie Alli, którym odbyliśmy podróż z Jordanii. Dzieci natychmiast zaczęły się ze sobą sprzeczać, kto gdzie usiądzie. Pomyślałam z uśmiechem, że wszystko wróciło do normy. Jechaliśmy przez przedmieścia oraz tereny przemysłowe na krańcach miasta i wkrótce znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, pozostawiając za sobą Bagdad. Ciągle spoglądałam przez tylne okno w obawie, że ktoś nas ściga - Mahmud lub jego przyjaciele, a nawet policja, aby nas przesłuchać.

Według moich kalkulacji Mahmud z całą pewnością żywił przekonanie, że wyjechaliśmy z Bagdadu już poprzedniej nocy, kierując się na autostradę. W takim wypadku byłoby za późno, żeby udać się w pogoń. Ponadto przyjechaliśmy przecież pożyczonym samochodem z irackimi numerami rejestracyjnymi, zostawiając samochód z jordańskimi tablicami w domu brata Alli, toteż nie było sposobu, żeby Mahmud mógł nas teraz odnaleźć. Nie zdołałby też dowiedzieć się, jaką drogę ucieczki wybraliśmy, by wydostać się z kraju. Mogliśmy pojechać bądź przez granicę syryjską, bądź jordańską. Niewykluczone, że pomyślał, iż udaliśmy się na północ, aby przekroczyć południowo-wschodnią granicę z Turcją. Przez te wszystkie lata, gdy znałam Mahmuda, nigdy nie należał on do tych osób, które działałyby spontanicznie. Kiedy porwał dzieci, nie był to impulsywny akt zdesperowanego mężczyzny, lecz chłodno skalkulowane, planowane od miesięcy działanie. Nawet gdyby postanowił od razu udać się za nami w pościg, musiałby wrócić do An-Nadżafu, żeby wziąć swój paszport z domu matki. Ze względu na godzinę policyjną mógłby to zrobić dopiero następnego dnia rano. Wiedziałam zatem, że mieliśmy nad nim kilka godzin przewagi. Kiedy o tym pomyślałam, poczułam się bezpieczniejsza i usiadłam wygodnie, otoczona moimi sprzeczącymi się, dowodzącymi, cudownymi dziećmi.



Wkrótce jednak odkryłam pewien problem. Kiedy przeglądałam paszporty Allawiego i Amiry, zauważyłam, że nie ma w nich wizy wjazdowej do Iraku. Jakkolwiek Mahmud wwiózł tutaj dzieci, nie zrobił tego legalnie. Musiał je przemyścić przez jakieś niestrzeżone przejście. Pomyślałam sobie, że był to przykład typowego dla niego sprawiania mi problemów, nawet wówczas, gdy już udało mi się odzyskać dzieci. Czujny strażnik graniczny z pewnością zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego wy-

172

wozimy je z Iraku, kiedy nie było potwierdzenia na to, że w ogi przyjechały. Kilka godzin później dotarliśmy do granicy z Jordanią. Alla w z samochodu i wręczył nasze paszporty strażnikowi. Funkcjonariusz niczny przekartkował je, uważnie się nam przy tej czynności przyś jąc. Miałam pecha, że trafiłam na służbistę, który dokładnie sprę dokumenty. Zatrzymał paszporty Allawiego i Amiry, pytając, dla< nie ma w nich pieczęci przekroczenia granicy. Wyjaśniłam, że dwoje szych dzieci przyjechało ze mną z Jordanii, żeby spotkać się z c i młodszym rodzeństwem, którzy spędzali wakacje u swoich krewi. Podczas przekraczania granicy z Syrią nikt nie pytał ich o wizy. Str; zaakceptował moje wyjaśnienia, kiwając z politowaniem głową, j chciał powiedzieć, że nie jest mu trudno uwierzyć w rażące zaniedl służb na granicy syryjskiej.

- W porządku, nie ma problemu - powiedział, zamykając paszj i zwracając je. Gestem ręki wskazał, iż możemy jechać.

Niedługo po przekroczeniu granicy mój telefon komórkowy zał czał, co wskazywało na to, że znajdujemy się już w zasięgu łączność: la zadzwonił przedtem do kolegi z prośbą, by ten połączył się w na; imieniu z lotniskiem w Ammanie. Miał się dowiedzieć, czy mogę rezerwować bilety na lot do Bejrutu, a stamtąd do Wielkiej Bryt. Wkrótce otrzymaliśmy wyczerpującą odpowiedź. Na lot popołudni nie mieliśmy już szans. Linie lotnicze oferowały nam wolne miejsc Bejrutu w godzinach wieczornych.

Pojechaliśmy bezpośrednio na lotnisko w Ammanie. Do odlotu zostało nam dwie godziny. Kiedy wypakowaliśmy z samochodu bag nadszedł czas pożegnania. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami p kazałam Alli określoną kwotę, a oprócz tego dodatkową sumę, po waż wiele nam pomógł.

-Alla - powiedziałam. - Nigdy cię nie zapomnimy. Bez ciebi' wszystko nie byłoby możliwe. To dzięki tobie odzyskałam moje dzi Uśmiechnął się i stwierdził, że praca dla nas sprawiała mu wielką p jemność. Kazał nam obiecać, że jeżeli kiedykolwiek będziemy w Joi nii, zadzwonimy do niego i złożymy mu wizytę. Serdecznie uściskali: się na pożegnanie.

Trudno mi nawet opisać, co czułam, zmierzając z moimi dziećmi płycie lotniska do samolotu lecącego do Bejrutu, skąd mieliśmy pi czenie do Londynu. Musiałam przeżyć wiele ponurych chwil i błęc fałszywymi tropami, ale w końcu moje marzenia się ziściły. Znów byli\*

razem, zjednoczeni jako rodzina. Przyrzekłam sobie, że nigdy nie pozwolę na to, byśmy mieli ponownie się rozstać.

Kiedy wylądowaliśmy w Bejrucie, było już za późno, żeby złapać samolot do Londynu. Musieliśmy dokonać rezerwacji na najbliższy lot w dniu następnym.

Przyłączyliśmy się do kolejki ludzi oczekujących na kontrolę paszportową. Należało uiścić opłatę za wstęp na lotnisko, żeby dostać się do miasta. Za każdym razem, kiedy odwiedza się Liban, należy ponieść koszty opłaty lotniskowej, toteż możecie sobie wyobrazić, że w ciągu kilku tygodni wydałam na to fortunę. Ze strachu i zdenerwowania bezustannie bolał mnie żołądek. Nawet w ostatniej chwili coś mogło pójść nie po mojej myśli. Co by się stało, gdyby nadgorliwy urzędnik zakwestionował liczbę granicznych stempli w moim paszporcie? Trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego wciąż kursowałam tam i z powrotem.

Na szczęście, rzucili tylko okiem na nasze paszporty i przepuścili nas. Poszliśmy na postój taksówek, prosząc o podwiezienie do hotelu Savoy. Nie zrobiłam wcześniejszej rezerwacji, ale pracownicy recepcji oczywiście mnie poznali.

Uśmiechnęli się, mówiąc, że możemy zamieszkać nawet w tym samym apartamencie, w którym zatrzymaliśmy się poprzednio. Był to miły gest, zwłaszcza w stosunku do Chalida i Marlona. Ten sam apartament stanowił coś stałego w całym tym chaosie, którego doświadczały.

Przygotowałyśmy dzieciom coś do jedzenia, a same wypiliśmy herbatę. Później dzieci zajęły się swoimi sprawami, a ja wykonałam kilka telefonów. Zadzwoiłam do różnych osób w Wielkiej Brytanii, by im donieść o odzyskaniu dzieci. Powiadomiłam także o dacie naszego przylotu. Wiele z nich popłakało się, słysząc tę nowinę. Zapewne nie w pełni podzielały wcześniej moją wiarę, że mi się to uda. Moi przyjaciele zdawali sobie przecież sprawę z sytuacji w Iraku. Trwała tam wojna, było bardzo niebezpiecznie i panował powszechny rozgardiasz. Jak mogli we mnie wątpić, żartowałam z siebie. Przecież jestem Jane Bond w chuście...

Położyłyśmy całą czwórkę w jednym wielkim łóżu. Dzieci zasnęły, a ja usiadłam i znów wypiłam z Tracey filiżankę herbaty. Wspominałyśmy poszczególne etapy naszej eskapady, przeżywając jeszcze raz niektóre dramatyczne chwile, ale teraz mogłyśmy się nawet z nich śmiać. W końcu Tracey stwierdziła, że czuje się psychicznie wyczerpana i ma ochotę położyć się spać. Weszłam cichutko do pokoju, w którym spały dzieci, i zostawiłam drzwi lekko uchylone. Z przedpokoju na ich cherubinkowe, pogrążone we śnie twarzyczki padał snop światła. Przysunęłam do łóżka

174

krzesło, a następnie, pomimo zmęczenia, usiadłam i przyglądałam się in Przepelniało mnie uczucie wielkiej miłości i dumy. Moje dzieci, wszys kie znowu razem. To było najcudowniejsze uczucie, jakiego doznałam w życiu.

Następnego ranka zeszłam do sklepu i kupiłam chleb oraz ciastka n śniadanie.

Później porozmawiałam z menedżerem hotelu. Wyjaśniłan że mam bilety powrotne dla siebie, Tracey, Marlona i Chalida, ale będ potrzebować dwóch dodatkowych dla Allawiego i Amiry. Obiecał zah twić sprawę biletów przez hotelowego agenta w biurze podróży. Regi larnie korzystali z jego usług, wszystkie zlecenia załatwiał sprawni i można było na nim polegać. W ciągu kilku minut przyszedł powiedzieć że udało im się dostać bilety na lot do Londynu następnego ranka. Oznz czało to, że spędzimy tu tylko jeden dzień, zanim wrócimy do domu. Pc stanowiłam zrobić to, co każda szanująca się kobieta, kiedy uda jej si przejść ciężką próbę, mianowicie poddać się tak zwanej „zakupowej te rapii”. Nadszedł zatem czas, żeby rozpocząć wędrowkę

po sklepach.

Bejrut jest fantastycznym miastem z wieloma wysokimi biurowcami. Może się też poszczycić ciekawą, starą architekturą. Wszystkie te budowle stoją głównie nad brzegiem morza. Miasto należy do bardzo nowoczesnych i ma wspaniałe sklepy. Chodziłam od jednego do drugiego, kupując wiele rzeczy dla dzieci - buty i ubrania - sobie też sprawiłam kilka nowych strojów. Czułam się po prostu zbyt uszczęśliwiona, żeby nie wykroczyć poza ramy codzienności, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy. Po wielogodzinnych zakupach, kiedy już zmęczenie dawało o sobie znać, zjawiliśmy się z nagłą wizytą u Leny, naszej lokalnej informatorki, z którą Shine zawarła porozumienie podczas pierwszej podróży. Ucieszyła się, szczególnie widząc małego Allawiego i Amirę, którym udało się bezpiecznie wrócić razem ze mną. Gawędziłyśmy, podczas gdy Amira bawiła się z jej córeczkami. Wkrótce musiałyśmy się jednak pożegnać.

Do hotelu wróciłam z torbami pełnymi zakupów. Pocziwa ciocia Tracey zaoferowała się zabrać dzieci na plażę, aby mogły się tam pobawić i zjeść lody. Była to dla nich atrakcyjna propozycja. Zostawiłam je z Tracey, prosząc, by nie wchodziły same do wody i trzymały się blisko niej. Pomyślałam z uśmiechem, że czeka ją niemało pracy, szczególnie z małym Allawim. Teraz, kiedy znów miałam całą czwórkę swoich pociech, wszystko wydawało się takie normalne. Wszelkie drobne problemy, które przeżywa na co dzień każda matka - sprzeczki, szaleńcze zabawy, a nawet psoty dzieci - wydawały się takie cudowne i niewinne. Nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa.

175

Tracey, jak mi się wydaje, nie uważała jednak zajmowania się dziećmi za równie fascynujące zajęcie. Kiedy wrócili z plaży, a moja gromadka krzyczała i robiła niesamowitą wrzawę, uniosła w górę wzrok i oświadczyła:  
- Donya, one doprowadzają mnie do szału. Obiecałam, że pomogę ci odzyskać dzieci. Nie wiedziałam jednak, że pilnowanie ich będzie stanowić część naszej umowy. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Tego popołudnia odwiedził nas Walid, nasz uroczy kierowca. Miał w kieszeniach słodycze dla maluchów. Powiedział, że ma wolne popołudnie i zaprasza nas na przekąskę. Oczywiście, dzieci aż zapiszczały z zachwytu i pobiegły ile sił w nogach, żeby wsiąść do samochodu. Zapomniałam już, jak bardzo hałaśliwa potrafi być ta czwórka.

Walid zabrał nas do wspaniałej restauracji położonej nad wodą, tuż obok parku. Zdałam sobie wówczas sprawę, jak bardzo jestem głodna. Bóg jeden wie, kiedy jadłam ostatnio normalny posiłek. Zamówiłam rybę z grilla z kuskusem i sałatą. Smakowała bosko. Po lunchu dzieci czmychnęły do parku, gdzie mogłam mieć je na oku. Bawiły się, goniąc jedno drugie, piszcząc z radości i podniecenia. Poczułam wielki smutek, że przeszły tak wiele - więcej niż jakiegokolwiek dziecko powinno przejść. Mimo to w zabawie nie różniły się niczym od swoich rówieśników. Często myślę, że dzieci są bardzo odporne - znacznie bardziej niż wielu dorosłych. Radzą sobie ze skrajnymi niewygodami i trudnymi sytuacjami, a potem szybko dochodzą do siebie i ponownie są zdolne śmiać się i bawić. Patrząc na nie, wiedziałam, że niezależnie od tego, jak bardzo wydawały się szczęśliwe, to jednak w owej radosnej

scenerii brakowało pewnego elementu - ich ojca.

Właśnie dlatego ojcowie, którzy porywają dzieci, wywołują we mnie taką wściekłość. Jest to wyjątkowo destrukcyjne. Kiedy już raz, kierując się egoistycznymi przesłankami, zniszczą rodzinne życie, nie można tego cofnąć. Miłość i zaufanie zostają na zawsze pogrzebane. Nawet gdybym znalazła sposób wybaczenia Mahmudowi, nigdy nie byłoby tak samo jak przedtem. Jak mogłabym pozwolić dzieciom na spędzenie dnia ze swoim ojcem, jeżeli obawiałabym się, że może znów spróbować zrobić to samo? Ojcowie ci w bezmyślny i okrutny sposób zadają ból i cierpienie matkom. Wyrządzają też wielką krzywdę dzieciom. Gdy uda im się przeprowadzić swój tchórzliwy i podły plan, skazują je na życie bez matek. Nawet postawienie takich ojców przed obliczem sprawiedliwości, nigdy nie wymaże krzywdy wyrządzonej

176

dzieciom. Nie ma też żadnej możliwości, by na powrót połączyć rodzinę, ponieważ będzie istniało niebezpieczeństwo recydywy. Ofiar; takiego postępowania ojca zawsze będzie dziecko, gdyż traci jednego z rodziców.

Po lunchu Walid zabrał chłopców do fryzjera. Wróciłam do hoteli i zadzwoniłam jeszcze do kilku osób. Jedną z nich był Paul Hamann, dy rektor kreatywny z Shine. Pracował przy programie dokumentalnym który robiłam z biedną Alison Lalic. Przekazał mi, że wszyscy pracownicy są ze mnie dumni i poczułam się tym bardzo wzruszona. Zapytał jak się mają dzieci. Zapewniłam, że są w dobrej formie, a wszystko, cze go chcemy, to znów zamieszkać we własnym domu. Wspierał mnie n;

duchu, podkreślając, że czas powrotu jest już bardzo bliski. Następnego ranka Walid przyjechał i zabrał nas na lotnisko. Kiedy wy pakował bagaż, serdecznie się uściskaliśmy. Podziękowałam mu za wszystko, co zrobił. Wiele osób odegrało znaczącą, pozytywną rolę w mojej historii. Czułam się wdzięczna i pełna podziwu, że zrobili wszystko, cze leżało w ich mocy, by nam pomóc. Walid bez wątpienia do nich należał Wymógł na nas obietnicę, że wrócimy tu ponownie, by zobaczyć się z „wujkiem”, po czym pomachał nam ręką na pożegnanie. To był wspa niały moment, kiedy wsiadałam do samolotu lecącego na Heathrow. Do piero wówczas nabrałam pewności, że nie wydarzy się już nic złego W końcu wracaliśmy do domu.

13

## PRZYJACIELE ZNOWU RAZEM

Gdy podeszła do nas stewardesa ze stolikiem na kółkach, na którym leżały towary zwolnione z cła, dzieci zaczęły głośno domagać się prezentów. Mała Amira poprosiła mnie o kosmetyki - zażyczyła sobie Chanel, jeżeli nie miałabym nic przeciwko temu, a przecież miała zaledwie sześć lat! W normalnej sytuacji powiedziałabym moim pociechom, żeby dały mi spokój; byłam jednak zbyt szczęśliwa, by czegokolwiek im odmówić. Po ciężkiej próbie, którą przeszły, zaspokajanie ich zachcianek sprawiało mi przyjemność. Zauważyłam, że Allawi stał się bardziej nieposłuszny od czasu, kiedy widziałam go po raz ostatni. Marlon i Cha-lid są wrażliwymi, dobrze wychowanymi chłopcami, ale Allawi jest inny - zawsze był trochę niesforny w odróżnieniu od braci, ale wydawało się, że teraz daje się jeszcze mocniej we znaki niż zazwyczaj. Mogłam się jedynie domyślać, że ojciec go

rozpieszczał. W świecie arabskim syn ceniony jest często wyżej niż córka. Allawi zawsze był oczkiem w głowie ojca. Niespodziewanie znalazł się ponownie pod opieką mamy, która nie traktowała go równie pobłażliwie jak tata. Był zbyt mały, żeby zrozumieć, co się naprawdę stało. Podobnie jak wiele dzieci martwił się jedynie, czy dostanie to, czego właśnie zapragnął. Pocieszałam się, że przynajmniej niedawne wydarzenia nie zostawiły zbyt mocnych śladów w jego psychice.

Wylądowaliśmy na Heathrow. Kiedy przeszliśmy przez odprawę celną, z radością zobaczyłam Sharon Hendry z „The Sun”. Zadzwoiłam do niej z Bejrutu, aby przekazać jej wiadomości, ale nie spodziewałam się, że przyjedzie na lotnisko. Towarzyszyli jej kierowca i fotograf, który miał robić zdjęcia. Chciała oczywiście opisać moją historię. Była przede wszystkim reporterką gazety i wykonywała swoją pracę, ale czu-

178

łam, że między nami nawiązała się relacja wykraczająca poza służbowe obowiązki. Po zrobieniu kilku zdjęć wsiedliśmy do samochodu. Jak dowiedziałam się od Sharon, gazeta załatwiła nam nocleg w hotelu, gdzie mogliśmy się zatrzymać z dala od dziennikarzy i codziennych problemów. Mieli pokryć wszystkie wydatki.

Podziękowałam Sharon, ale stwierdziłam, że pojedziemy do domu. Chciałam możliwie szybko wrócić do normalności. Dzieci miały już dosyć zamętu i radosnego podniecenia na całe życie. Fakt, że dziennik o ogólnokrajowym zasięgu wysłał po nie na lotnisko samochód i opłacił rachunek za elegancki hotel w Londynie, nie sprzyjał mojemu zamiarowi sprowadzenia ich z powrotem na ziemię.

Wkrótce znów znaleźliśmy się na znajomych ulicach z wiktoriańską zabudową i samochodami zaparkowanymi ciasno jeden obok drugiego. Byliśmy w domu. Prześcigając się nawzajem, biegliśmy po schodach do naszego mieszkania. Dzieci natychmiast skierowały się do swoich pokoi, żeby sprawdzić, czy czekają na nie ulubione zabawki. Tak zazwyczaj postępują małe dzieci po dłuższej nieobecności w domu. Biedna mała Amira wyglądała na zmartwioną, a jej małą twarzyczkę wykrzywił grymas, gdy pojawiła się ponownie na podeście schodów.

- O co chodzi, kochanie? — zapytałam delikatnie, zastanawiając się, czy nie nadszedł właśnie moment odreagowania ciężkich przeżyć.

- Nie mogę znaleźć Dippy'ego i Smudge'a - wydała jęk skargi. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Wyjaśniłam, że koty są u mojej przyjaciółki, ciotki Ann, gdzie mieszkały w czasie naszej podróży, ale niedługo do nas wrócą.

Sharon i fotograf przyjechali z nami, żeby zrobić kilka zdjęć. Każde z nich przywiozło dzieciom prezenty - Amira dostała lalkę, a Chalid grę w piłkę nożną. Przyszli z reporterskiego obowiązku, ale - jak mi się wydawało - nasza historia wzruszyła ich do tego stopnia, że chcieli przede wszystkim przywitać dzieci. Ich wizyta przeciągnęła się do późnego wieczora. Pamiętam panującą atmosferę ożywienia. Dzwonek u drzwi ani na chwilę nie milknął. Wpadało do nas mnóstwo znajomych i sąsiadów, którzy dowiedzieli się o naszym powrocie. W pewnym momencie odezwał się mój telefon. To Mahmud telefonował z Iraku.

- Dzień dobry, Donya - powiedział cicho.

Nie mogłam uwierzyć w jego tupet, ale udało mi się zachować spokój.

- Witaj, Mahmudzie - odparłam beztrąsko. - Jak się masz?

- Doskonale - odpowiedział. - Jak się czują dzieci?

179

-Ach, dzieci? - zapytałam. - Czy chcesz z nimi porozmawiać?

- Tak, bardzo bym chciał - wyszeptał ledwie słyszalnym głosem.

- No, cóż - odrzekłam - być może, jeżeli będziesz grzecznym chłopcem, pozwolę ci z nimi porozmawiać.

- Donya, proszę cię, nie zabraniaj mi kontaktu z dziećmi - powiedział. Sprawiało mi satysfakcję to odwrócenie sytuacji na niekorzyść Mahmuda i uzyskanie nad nim przewagi. Jednak w głębi duszy jestem bardzo miękka i nie potrafię być okrutna, toteż poszłam po dzieci i pozwoliłam mu z nimi rozmawiać. Kiedy skończyli rozmowę, ponownie wzięłam telefon.

- Mahmudzie - powiedziałam - pozwalam ci z nimi rozmawiać, ponieważ spośród wszystkich ludzi na świecie wiem najlepiej, jak czuje się człowiek, gdy nie może usłyszeć głosu swego dziecka. Możesz z nimi rozmawiać, kiedy chcesz, wystarczy, że zadzwonisz. Nigdy nie będę ci zabraniać kontaktu z dziećmi. Jesteś ich ojcem i nic tego nie zmieni. Wyobraź sobie teraz, przez co kazałeś mi przechodzić. Sam doświadczasz, jakie to bolesne nie mieć możliwości porozmawiania z własnymi dziećmi.

Mahmud próbował wyjąkać coś w odpowiedzi, ale gwałtownie zamknęłam mój telefon komórkowy i rozłączyłam się z nim.

W końcu goście wyszli i nareszcie zostaliśmy sami. Wykąpałam wszystkie dzieci i ubrałam je w piżamy. Usiedliśmy razem na sofie, oglądając telewizję i przysypiając. Poprzednie tygodnie były bardzo ciężkie. Wszyscy spaliśmy tej nocy w tym samym pokoju. Chciałam mieć dzieci blisko siebie. Spędziliśmy tak kilka nocy. Po tych przykrych przeżyciach staliśmy się sobie znacznie bliżsi jako rodzina, często się do siebie przytulamy. Zauważyłam, że dzieci zachowują się w podobny sposób wobec siebie, jakby chciały się upewnić, że nadal wszyscy jesteśmy razem.

Następnego dnia wpadła Sharon, by zabrać nas do hotelu w Hertfordshire, w którym często zatrzymuje się angielska drużyna piłki nożnej. Zgodziłam się na wywiad publikowany na prawach wyłączności przez gazetę „The Sun”, która w końcu częściowo sfinansowała naszą podróż, toteż chciałam się wywiązać z umowy. Oprócz relacji dotyczącej odzyskania dzieci, którą byłam zobowiązana złożyć Sharon telefonicznie jeszcze z Bejrutu, gazeta zamierzała opublikować obszerny reportaż, z uwypukleniem ludzkiego aspektu naszej historii. Dziennikarze wybrali hotel na miejsce, w którym mogliby spokojnie przeprowadzić wywiad. Z przyjemnością przystałam na ich propozycję. Czułam się bardzo zobowiązana wobec Sharon, zdając sobie sprawę, jak dużo dla nas zrobi-

180

ła. Nie chodziło tylko o zgromadzenie pieniędzy, ale także o wiele do datkowych miłych gestów z jej strony. Ponadto tego dnia mogłam za pewnie dzieciom opiekę. Gdy wróciłam do domu z Hertfordshire, przyszli do nas z wizytą Andy Mountfield z jednostki zajmującej się ochroną dzieci i jego koleżanka Margaret. Niepokoiły mnie skaleczenia, które widziałam na stopach Allawiego, zaś na ciele Amiry dostrzegłam wiele ukąszeń owadów, które, jak sądziłam, nie były niczym groźnym, ale nie

powinno się ich zlek ceważyć. Warunki sanitarne w Iraku są bardzo złe, toteż kiedy dziecko chodzi z otwartymi skaleczeniami na stopach lub jest pokąsane przez owady, może to z łatwością stać się przyczyną choroby.

Podczas kąpieli Allawiego zauważyłam też wielki siniak na jego plecach. Nie sądziłam, by Mahmud był zdolny do znęcania się nad dziećmi, ale jak każda matka, chciałam się upewnić. Margaret usiadła z nim i wdała się w pogawędkę o szkole i zabawie. Osoby tak wysoko wykwalifikowane jak ona doskonale wiedzą, w jaki sposób rozmawiać z dziećmi, żeby się otworzyły. Przystosowują się do ich poziomu, porzucając rolę dorosłego i protekcyjny ton. Po pewnym czasie zapytała o siniak. Allawi wyjaśnił, że spadł z kilku schodów i uderzył plecami o betony schodek, który pozostawił na jego ciele ślad. Wysłaliśmy dzieci na górę, żeby się pobawiły, a ja porozmawiałam z Andym i Margaret. Icl nadrzędną troską, jak tłumaczył Andy, było dobro dziecka. Te drobne obrażenia nie sugerowały jednak, że dzieci były w jakikolwiek sposób zaniedbywane lub maltretowane. Obrażenia Allawiego istotnie mogły powstać w wyniku upadku, jak to logicznie przedstawił. Nie unikał też konfliktu wzrokowego, kiedy o tym mówił, ani nie zachowywał się w jakiś inny charakterystyczny sposób, który zaniepokoiłby eksperta przeprowadzającego wywiad z dzieckiem. Andy wyjaśnił, że nie chodzi im tylko o obrażenia cielesne, ale o to, czy dzieci nie doznały urazu psychicznego na skutek oderwania od matki i rodzeństwa. Dlatego też byłoby wskazane, żeby spotkała się z nimi pracownica opieki społecznej Marth; Chester. Miała ona prawo przydzielić dzieciom terapeutę, gdyby uznała to za konieczne.

Została wyznaczona data spotkania z Marthą. Określonego dnia złożyła nam wizytę. Była bardzo ładną kobietą i, ku mojemu zdumieniu, wyglądała niezwykle młodo; nie dałabym jej więcej niż dwa lata. Elegancka, ze starannym makijażem, okazała się też świetną profesjonalistką. Prezentowane umiejętności wzbudziły we mnie

18'

zaufanie do jej wiedzy. Rozmawiała z nami wszystkimi, a następnie przeprowadziła kilkuminutową pogawędkę z każdym z dzieci. Potem przedstawiła mi swoje wnioski. Twierdziła, że chociaż niedawne przeżycia z pewnością wstrząsnęły maluchami, dobrze sobie z nimi radziły i wykazały wyjątkową odporność. W obliczu przeciwności losu wiele dzieci potrafi reagować w ten sposób. Uważała, że ja też bardzo dobrze dam sobie z tym radę. Nie uznała zatem za konieczne przydzielenie nam terapeuty. Byłam zadowolona z zaufania, jakim mnie obdarzyła. Wiele osób ma bardzo negatywną opinię o pracownikach opieki społecznej. Uważają ich wtrącanie się za niepotrzebne oraz za stratę pieniędzy podatników. Być może zdarzają się sytuacje, kiedy te krytyczne uwagi są uzasadnione, ale nie mogę tego potwierdzić. Myślę jednak, że jeżeli ktoś chce pomóc matce w wychowywaniu jej dzieci, sam powinien doświadczyć macierzyństwa, a wiele pracownic opieki społecznej nie zostało jeszcze matkami.

Reputacja tych ludzi w Londynie doznała ogromnego uszczerbku w związku z tragiczną historią biednej, małej dziewczynki, Victorii Clim-bie. Pochodziła ona z Afryki Zachodniej i przyjechała do Wielkiej Brytanii, żeby zamieszkać tu ze swoją ciotką. Jej rodzice zebrali pieniądze na podróż, żywiąc nadzieję, że zapewnią córce

lepsze życie i perspektywy na przyszłość. Ciotka okazała się jednak nikczemną sadystką. Razem z narzeczonym znęcali się nad siostrzenicą. Sprawiało im przyjemność wymyślanie okrutnych kar. Zmuszali swoją ofiarę do spania w wannie, w foliowym worku na śmieci, we własnych odchodach.

Dziewczynkę od czasu do czasu zabierano do szpitala. Opieka społeczna wiedziała o jej sytuacji, ale nie podjęła żadnych stanowczych kroków. Nie otoczono małej Afrykanki należyłą opieką, pozostawiając z tą podłą kobietą i jej narzeczonym. Pewnego dnia znaleziono Victorię martwą. Na biednym, małym ciele dziewczynki były ślady oparzeń po papierosach. Był to jeden z najbardziej szokujących i zatrważających wypadków znęcania się nad dzieckiem w Wielkiej Brytanii w ostatnich latach.

W ciągu kilku kolejnych tygodni Mahmud regularnie do mnie dzwonił. Wciąż użalał się nad sobą, mówiąc, że chciałby wrócić do domu, ale nie może zebrać wystarczająco dużej kwoty. To było nieprawdopodobne. Najpierw porwał moje dzieci. Potem nie pozwalał mi z nimi rozmawiać. W końcu, kiedy je odzyskałam, oczekiwał nie tylko mojego

182

współczucia, ale niemal żądał, bym wyłożyła pieniądze na jego bilet lotniczy do Wielkiej Brytanii. Mężczyźni mnie rozśmieszają. Potrafią być tak okrutni, niszczycielscy i egoistyczni, jednak kiedy sprawy nie układają się po ich myśli, zamieniają się w płaczkliwych małych chłopców, którzy chcą, żeby mamusfa się nimi zajęła. Dzięki Bogu, że istnieją na tym świecie kobiety, w przeciwnym bowiem razie nie sądzę, by cokolwiek zostało kiedyś zrobione do końca. Przypominam sobie jedną z tych głupich nalepek, które ludzie umieszczają na tylnym zderzaku samochodu, z następującym tekstem: „Najlepszym mężczyzną do tej pracy jest... kobieta”. Cóż, mógł to być żart, ale jak mówi inne przysłowie, „Żartując, wypowiada się często głęboką prawdę”.

Niestety, jak wiele innych kobiet znajdujących się w podobnej sytuacji, zaczęłam mięknąć i zrobiło mi się go żal. Zapewne powinnam była pozostać twarda i nie pozwalać sobie na żadne pozytywne uczucia względem niego, ale z drugiej strony, ludzie nie są absolutnie jednoznaczni, wyłącznie czarni lub biali. Zawsze prosiłam kobiety, którym pomagałam, żeby nie okazywały współczucia dla ojca, który dopuścił się porwania dzieci. Przekonywałam, że powinny zrobić wszystko, co w ich mocy, by - jeżeli to możliwe - znalazł się za kratkami. Zwykle do tego nie dochodziło, ponieważ ojciec najczęściej pozostawał na Bliskim Wschodzie; jednak gdyby kiedykolwiek któryś z nich wrócił do Wielkiej Brytanii, uważałam, że powinien zostać postawiony przed sądem. Teraz, kiedy sama znalazłam się w sytuacji, którą tak często osądzałam z zewnątrz, czułam się dezorientowana. Stanowcze poglądy na określone sprawy przestały już być tak oczywiste, wkradły się wątpliwości.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Andy Mountfield. Z tonu jego głosu natychmiast domyśliłam się, że to coś poważnego.

- Donya - powiedział - chodzi o Mahmuda. Został dzisiaj aresztowany na Heathrow, kiedy próbował dostać się do Wielkiej Brytanii samolotem lecącym z Amsterdamu. Będzie przetrzymywany w Paddington Green do czasu wniesienia oskarżenia o



porwanie dzieci.

Paddington Green? Byłam zaszokowana. To posterunek policji w Londynie, w którym przestrzegane są najwyższe środki bezpieczeństwa. Słynie z tego, że policja automatycznie zabiera tam podejrzanych terrorystów. Czyżby myśleli, że Mahmud był terrorystą? Czy stało się tak dlatego, że miał iracki paszport?

Andy zapewnił mnie, że to, dokąd go zabrali, nie miało żadnego znaczenia. Tam również była jednostka zajmująca się ochroną dzieci. Kierowali się więc względami praktycznymi, na tym posterunku mieli odpowiednich

183

ludzi, którzy mogli przesłuchiwać zatrzymanych w takich sprawach. Andy powiedział jeszcze, że tego dnia Mahmud zostanie oskarżony i przeniesiony za kaucją do więzienia, gdzie będzie czekał na proces. Wyjaśnił też, że spodziewają się wniesienia przeze mnie aktu oskarżenia. Byłabym naturalnie głównym świadkiem. Obiecałam to zrobić, ale już w momencie, kiedy o tym mówiłam, czułam, że zaczynają narastać we mnie wątpliwości. Trzeba przyznać, że byłam zła na Mahmuda, ale czy rzeczywiście sprawiłoby mi satysfakcję zobaczyć ojca moich dzieci zamkniętego w więzieniu? Groził mu wyrok nawet do siedmiu lat.

Zastanawiałam się, jak będą czuły się dzieci, składając ojcu wizyty w specjalnym pokoju przyjęć jakiegoś okropnego więzienia, być może oddzielone od niego szybą? I jak na ich psychikę wpłynie świadomość, że znalazł się tam z ich powodu?

Postanowiłam odwiedzić Mahmuda w więzieniu, zanim podejmę decyzję. Kiedy zdecydowałam się z nim spotkać, był w Wandsworth, w południowym Londynie, już od około dwóch tygodni. Więzienie sprawiało przygnębiające wrażenie - szary wiktoriański budynek górujący nad otaczającymi go segmentami w szeregowej zabudowie. Po jednej stronie muru znajdowali się ludzie, którzy prowadzili normalne życie - chodzili do pracy, śmiali się, sprzeczali ze sobą, żenili i rozwodzili, a po drugiej zdesperowani mężczyźni, ukarani przez społeczeństwo i zamknięci w więziennych celach. Nie wydawało mi się całkiem w porządku, że wraz z mordercami, złodziejami i gwałcicielami był tam Mahmud. Postąpił źle, ale miałam wątpliwości, czy powinien siedzieć w więzieniu.

Byłam zdeterminowana, by pokazać mu, że nie zniszczył mnie tym, co zrobił, że nie straciłam energii i panowałam nad sytuacją. Postarałam się wyglądać atrakcyjnie. Włożyłam eleganckie spodnie od Karen Mil-len, chociaż oczywiście miałam na głowie chustę - jestem w końcu mu-zulmanką. Zrobiłam sobie również staranny makijaż. Przeprowadzono mnie przez szereg drzwi i bram, aż dotarłam w końcu do pokoju dla odwiedzających. Na środku stała lada. Więźniowie siedzieli po jednej stronie, a osoby składające im wizytę po drugiej. Dostrzegłam wśród nich Mahmuda ubranego w dżinsy i białą bawełnianą koszulkę, jak wszyscy pozostali więźniowie. Był nieogolony, miał zapadnięte oczy i wyglądał jak wrak.

Usiadł.

- Dzień dobry, Mahmudzie, jak się masz? - zachowywałam się tak, jakby sytuacja była zupełnie normalna. Nie zamierzałam ulegać jego kaprysom ani pozwalać mu na uzalanie się nad swoim okropnym losem.

184

Patrzył na mnie błagalnie, jego kasztanowo-zielone oczy wyrażały prośbę, by okazać

mu nieco życzliwości.

- Proszę cię, Donya, postaraj się mnie stąd wydostać, nie mogę tego znieść. Zabiję się...

Przerwałam mu. %

- Nie mów mi, co mam robić, Mahmudzie. Zanim porozmawiamy o twojej sytuacji, chciałabym zadać ci kilka pytań. Przede wszystkim jestem ciekawa, dlaczego to zrobiłeś, a następnie chętnie posłuchałabym, w jaki sposób to zrobiłeś.

Interesowały mnie pewne szczegóły jego podróży, zwłaszcza to, gdzie przebrał dzieci ze szkolnych mundurków. Wiedziałam już, że nastąpiło to w mieszkaniu Hamady, ale chciałam usłyszeć relację z pierwszej ręki. Powiedział mi, że nigdy nie był w kawiarence internetowej w Damaszku, toteż albo prywatny detektyw Mark kłamał, albo miał niewiarygodnych informatorów. Mahmud siedział teraz w więzieniu, nie miał zatem powodu, żeby mówić nieprawdę, szczególnie w tak trywialnych sprawach jak ta, czy korzystał z internetowej kawiarenki. Przypomniałam sobie jednak, że był tym mężczyzną, który potrafił pocałować mnie na do widzenia i powiedzieć: „Do zobaczenia później, kochanie”. Słowo „później” było kamuflażem, bo właśnie tego dnia porwał moje dzieci. A zatem nie wiemy, kiedy ktoś kłamie. Całe to doświadczenie sprawiło, że stałam się znacznie bardziej cyniczna.

Siedząc tam po stronie więźniów w pokoju dla odwiedzających, Mahmud wyglądał żałośnie. Czułam, jak zanika we mnie uczucie wściekłości na niego. Odnosiłam wrażenie, że nie potrafił zadbać o siebie, ogolić się i dobrze zaprezentować wobec kobiety, mimo iż w drobnych szczegółach potrafił opracować plan porwania dzieci. Przyniosłam mu napój bezalkoholowy i trochę ciasta - jak robią to żony i dziewczyny więźniów w najlepszych filmach, tyle że nie było w nim pilnika. Siedziałam, patrząc na niego przez kilka minut i nie będąc pewna, co mam myśleć. Ciągle spoglądał w dół, zbyt przestraszony lub zawstydzony, żeby spotkać moje spojrzenie. W końcu powiedziałam:

- Sam sobie zgotowałeś ten los, Mahmudzie. Zacisnął dłonie, a jego twarz wyrażała cierpienie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Donya, proszę cię, uwierz mi, kiedy mówię, jak bardzo jest mi przykro...

Jego głos ucichł. Rzeczywiście, niewiele mógł powiedzieć. Kiedy postanowił, że zabierze Allawiego i Amirę do Iraku, do matki i rodziny, nie zastanawiał się pewnie nad tym, co może się wydarzyć. Być może, łudził

185

się naiwnie, że pojedę tam w ślad za nim i wszystko będzie dobrze. Był to szalony czyn zdesperowanego mężczyzny. Mogłam przejść na islam, ale nigdy nie będę żoną, która po prostu podążałaby w ślad za mężem i słuchała go nabożnie. Może właśnie to stanowiło część problemu.

Jedno jest pewne: nigdy nie sądził, że skończy w więzieniu Wands-worth, oskarżony o porwanie dzieci, stojąc przed groźbą otrzymania siedmioletniego wyroku. Zaczął się tego bać. Próbował mi powiedzieć, że nigdy więcej się to nie zdarzy, że moglibyśmy zacząć wszystko od początku, ale oboje, zarówno on, jak i ja wiedzieliśmy, że to nie zda egzaminu. Przestałam go co prawda nienawidzić, ale moje serce stało się dla niego obojętne i szczerze mówiąc, czułam niewiele więcej niż

pogardę lub, żeby nie użyć zbyt mocnego słowa, było mi go żal. Ciągle chciałam wydobyć od Mahmuda odpowiedzi na pewne pytania, toteż zmusiłam go do przyznania się, że tego marcowego ranka zabrał dzieci do mieszkania Hamady. Wiedziałam też o jego kontaktach z Lajlą, do czego się przyznał, dodając, że zadzwonił do niej nawet z Syrii, co mnie oczywiście zirytowało.

Nie byłam jednak w stanie wyciągnąć z niego, dokąd zabrał dzieci, kiedy ukrywał się przez dwa tygodnie, zanim przekroczył granicę z Irakiem. One pamiętały jedynie, że miejscowość ta znajdowała się w górach. Opowiadały, jak bawiły się na ulicy z innymi dziećmi. Przypomniały też sobie, że pewnego dnia Allawi upadł i skaleczył się. Z ich relacji trudno było wyciągnąć jakieś wnioski, ale Mahmud uparcie odmawiał udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

- Posłuchaj mnie, Mahmudzie. Jesteś teraz w więzieniu, to koniec sprawy. Możesz być ze mną szczery, ponieważ okłamując mnie, nic nie zyskasz.

Spojrzał na mnie. Wyglądał na cierpiącego i zasmuconego.

- Donya, nie ukrywam tej informacji z obawy o mój dalszy los. Robię to ze względu na przyjaciół. Nie chcę ich w to wplątywać, a wiem, jaka jesteś. Będziesz starała się ich dopaść i ukarać za udział w tej sprawie, a ja nie mogę pozwolić, żeby tak się stało.

Przyznałam mu rację. Wiedziałam jednak, że zanim nie poznam każdego szczegółu, trudno mi będzie - zgodnie z określeniem psychologów - „zamknąć” tę sprawę.

Chciałam pozostawić pewne rzeczy za sobą. Aby się z tym uporać, musiałam poznać każdy detal minionych wydarzeń. Dopiero wówczas mogłabym się z nimi pogodzić.

Odpowiedziałam sobie na pytania dotyczące wielu moich wątpliwości. Wciąż jednak zastanawiałam się nad jedną sprawą: skąd Mahmud wziął pieniądze na całe to

186

przedsięwzięcie. Jego pensja w restauracji była skromna, toteż nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób sfinansował podróż. Teraz już wiem. Przyznał się, że wziął część mojej biżuterii i oddał ją w zastaw. Dzięki Bogu zdołałam ją odzyskać, ale kiedy dowiedziałam się o tym, poczułam, jakby ktoś wymierzył mi kolejnego kopniaka w żołądek. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś może upaść aż tak nisko. W pewnym momencie doszłam do wniosku, że spędziłam z nim już dostatecznie dużo czasu. Kiedy wstałam i szykowałam się do wyjścia, powiedział:

- Donya, proszę, musisz mi pomóc, nie możesz mnie tu zostawić. Uniosłam rękę, tak jakbym chciała mu przerwać.

- Nie, Mahmudzie - odparłam stanowczo.

Mówiąc to, odwróciłam się i wyszłam na zewnątrz, na światło dnia, na wolność. Musiałam przemyśleć, co zrobię.

W ciągu kilku następnych dni głęboko się nad tym zastanawiałam. Zawsze uważałam, że ojcowie dopuszczający się porwania dzieci zasługują na surową karę.

Mężowie większości matek, którym pomagałam w przeszłości, uciekli wraz z dziećmi na Bliski Wschód, toteż musiałam tam jeździć potajemnie, niczym Scarlet Pimpernel, żeby pomóc w ich odzyskaniu i sprowadzeniu do Wielkiej Brytanii.

Nieraz nam się to udawało, czasami nasze zadanie kończyło się niepowodzeniem, ale ojcowie zawsze pozostawali na Bliskim Wschodzie, w związku z czym nie rodziło się pytanie o ich dalsze losy. Byliśmy po prostu zadowoleni, mogąc bezpiecznie

wrócić z dziećmi do domu. Gdybym jednak musiała odpowiedzieć na pytanie, jaką karę powinni ponieść ojcowie, powiedziałabym, że zasługiwali na surowe potępienie. Zawsze wychodziłam z założenia, że matka była stroną pokrzywdzoną, natomiast ojciec był zły. Wszystko wydawało się czarne albo białe. Teraz jednak doszłam do wniosku, że życie nie jest takie proste.

Jak już wspominałam, wątpliwości dotyczące spraw, którymi się zajmuję, pojawiły się po raz pierwszy, kiedy pojechałam do Dubaju z Sarra Fo-theringham.

Dostrzegłam wówczas, że medal ma dwie strony. Skończyło się na tym, że jeżeli nawet nie pogardzałam Sarra, to z pewnością miałam o niej niezbyt dobre zdanie i kwestionowałam motywy jej działania. Tymczasem pozostający z nią w separacji partner zyskał w moich oczach znacznie więcej uznania, niż początkowo mogłam się spodziewać. Od tej pory minął niecały rok. Ucząc się na własnym doświadczeniu, dowadywałam się, co naprawdę oznacza analizowanie spraw z różnych

187

punktów widzenia. Stało się dla mnie jasne, że sytuacja rozbitych rodzin może być znacznie bardziej skomplikowana i nie należy rozpatrywać jej w kategoriach dobry kontra zły.

Przyjrzałam się wnikliwie mojemu postępowaniu. Czy zawsze byłam dobrą żoną dla Mahmuda i doskonałą matką dla dzieci? Nawet przez sekundę nie próbowałam wybaczyć lub usprawiedliwić tego, co zrobił, ale usiłując to zrozumieć, uczyłam się, że każda historia ma wiele aspektów. Skupiłam na sobie uwagę mediów, szczególnie po powrocie z Dubaju. Nieustannie dzwonili do mnie dziennikarze z gazet, czasopism i programów telewizyjnych, którzy chcieli ze mną rozmawiać. To mogło sprawić, że Mahmud zaczął mieć poczucie niższości jako ojciec i mąż. Będąc kelnerem, z trudem wiązał koniec z końcem. Tymczasem ja otrzymywałam większe sumy pieniędzy za pojawienie się w programie telewizyjnym emitowanym na żywo, niż on mógł zarobić przez tydzień. Raniło to jego poczucie dumy i własnej wartości. Arabowie są bardzo dumni, a jednocześnie dosyć konserwatywni. Zawsze chcą być panami domu i tymi, którzy mają największe dochody w rodzinie. Przyczyną wielu komplikacji w relacjach między kobietami wychowanymi na Zachodzie i ich arabskimi mężami może być to, że wzajemne oczekiwania partnerów bardzo się różnią. To, co Arab postrzega jako właściwe zachowanie wobec żony, zasługujące na jej szacunek, kobieta z Zachodu uznaje często za postępowanie seksistowskie i kontrolujące.

Ponadto pojawił się problem z Williamem. Chociaż w naszych kontaktach nigdy nie przekroczyliśmy pewnej bariery, Mahmud, wywodzący się z określonego kręgu kulturowego, z trudem mógł zrozumieć, że mężczyzna i kobieta mogą się ze sobą zwyczajnie zaprzyjaźnić. Moja przyjaźń z Williamem byłaby dla niego trudna do zaakceptowania nawet w najlepszym okresie naszego małżeństwa. Tymczasem zawiązała się wówczas, gdy przeżywaliśmy trudne momenty i rozważaliśmy nawet rozwód, toteż mogła być kroplą, która przepełniła miarę.

Kolejnym problemem była właśnie myśl o rozwodzie. Islam zezwala na rozwód, ale jest to zazwyczaj decyzja męża. W muzułmańskiej kulturze, jeżeli mężczyzna chce rozwieść się z żoną, musi po prostu trzykrotnie wyrazić takie życzenie\*. Nie jest to na ogół inicjatywa żony, chociaż

\*Talak, rozwód muzułmański. Zgodnie z prawem muzułmańskim mąż ma prawo do odtrącenia żony, trzykrotnie wypowiadając formułkę: „Daję ci rozwód”. Kobieta zachowuje wiano, zapewniające jej dostatnie życie.

188

zdarzały się wypadki, kiedy muzułmańskie kobiety składały w sądach krajów Bliskiego Wschodu pozwy o rozwód. Jedno jest pewne: kobieta zwykle tego nie robi. Ja zaś istotnie wspominałam kiedyś o rozwodzie. Była to kolejna pozycja na długiej liście moich wad, które sprawiały, że stałam się w oczach męża nieodpowiednią żoną i matką. Martwił się prawdopodobnie, jak to ocenią w jego rodzinnym kraju. Nie umknęło mojej uwagi, że pierwszymi słowami, jakie usłyszałam z ust jego mamy po przyjeździe do An-Nadżafu, było stwierdzenie, że Mahmud uprowadził dzieci, ponieważ miałam zamiar się z nim rozwieść. Przyniosłoby mu to straszny wstyd i napiętnowało go w Iraku, a także, do pewnego stopnia, w naszej muzułmańskiej społeczności w zachodnim Londynie, choć ludzie są tu znacznie bardziej przywykli do zachodniego, liberalnego stylu życia. Prawdę mówiąc, jedną z największych zniewag dla muzułmanina jest zarzut nieumiejętności sprawowania kontroli nad żoną.

Nie chcę przez to pomniejszać winy Mahmuda albo w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać jego postępowania. Czułam absolutny mętlik w głowie; kłębiło się w niej wiele różnych myśli i emocji. Mogłam zrobić prostą rzecz, to znaczy zgodzić się na wniesienie oskarżenia. W tym wypadku wszystko byłoby jasne: Mahmud zostałby uznany winnym, a ja mogłabym udawać, że nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia. Ale był jeszcze problem dzieci. Czy naprawdę chciałam, aby ich ojciec został zamknięty w jakimś okropnym więzieniu na siedem lat? Wiedziały już, że źle postąpił. Czy byłoby rzeczą właściwą dalsze upokarzanie ich przez skazanie na odwiedzanie ojca w zakładzie karnym? W głębi serca wiedziałam, że nie mogę tego zrobić.

W końcu postanowiłam, że odstąpię od oskarżeń, albo ściślej, nie poprę aktu oskarżenia wniesionego przeciwko Mahmudowi i nie wystąpię w roli świadka. Decyzja, czy odstąpić od oskarżeń, czy też nie, będzie ostatecznie zależała od policji w osobie Andy'ego Mountfielda oraz jednostki zajmującej się ochroną praw dziecka, a zwłaszcza od oskarżyciela publicznego. Jednak patrząc realistycznie, bez mojego udziału w rozprawie sądowej w roli świadka oskarżenie przeciwko Mahmudowi nie miałyby sensu. Pozostawał do rozwiązania inny problem. Gdyby jego adwokaci wiedzieli, że nie będę występować jako świadek, nic nie powstrzymałoby ich od stwierdzenia, że zabrał on po prostu dzieci do Iraku na wakacje, by zobaczyć się z jego matką i krewnymi. Przekonywaliby zapewne, iż chciał, aby dowiedziały się więcej o arabskiej kulturze i zdobyły na ten temat podobną wiedzę, jaką mają o cywilizacji zachodniej. Wszyscy doskonale by wiedzieli, że są to absolutne bzdury -

189

dlatego do diabła ktoś chciałby zabierać swoje dzieci do Iraku w okresie ustawicznych bombardowań - ale nie można byłoby tego udowodnić. Sprawa nie trafiłaby nawet do sądu. Oskarżenie musiałoby w końcu przyznać się do braku dowodów i postępowanie sądowe zostałoby umorzone.

Miałam wyrzuty sumienia ze względu na Andy'ego Mountfielda i jego zespół, który -

jak wiedziałam - poświęcił tej sprawie mnóstwo czasu i energii. Oficerowie policji zajmujący się przestępstwami popełnianymi w rodzinie, uprowadzeniami dzieci i przemocą domową muszą się czuć niewiarygodnie sfrustrowani w sytuacji, gdy mają niezbita dowody, i właśnie wówczas - a zdarza się to, niestety, bardzo często - żona lub partnerka wycofuje oskarżenie, co pozwala ojcu wyjść z więzienia na wolność. Czułam jednak, że główną troską Andy'ego jest dobro moich dzieci, szczególnie ich bezpieczeństwo. Pragnął, oczywiście, osiągnąć pozytywny rezultat swoich działań, był w końcu policjantem. Chciałabym jednak myśleć, że gdy zobaczył dzieci, które w końcu wróciły do domu, poczuł się już w dużym stopniu usatysfakcjonowany. Zanim wyjechałam do Iraku, przyszedł zobaczyć się ze mną. Byłam wówczas wrakiem człowieka. Nie mogłam spać, czułam się zrozpaczona i odchodziłam od zmysłów. Następnym razem, kiedy nas odwiedził, dzieci były już w domu, biegały wokół, a przygnębiające, puste mieszkanie stało się znowu miejscem pełnym wrzawy, ale i wypełnionym miłością. Miałam nadzieję, że widząc je wszystkie razem i czując panującą u nas radosną atmosferę, dojdzie do wniosku, że właśnie to stanowi, również dla niego, pozytywny rezultat całej sprawy.

Chciałam mu wytłumaczyć, jak trudne było dla mnie podjęcie tej decyzji i że zrobiłam to ze względu na dzieci, które czułyby się okropnie, patrząc, jak ich ojciec idzie do więzienia. Poszłam na posterunek policji Paddington Green z bukietem kwiatów. Uważałam, że mogę wyjaśnić moje postępowanie tylko osobiście. Kiedy jednak znalazłam się tam, sierżant siedzący za biurkiem tuż przy wejściu poinformował mnie o przeniesieniu jednostki do Fulham w południowo-zachodnim Londynie. Nigdy już nie miałam możliwości, by usiąść z Andym i szczerze o wszystkim porozmawiać. Sądzę, że zrozumiałby motywy mej decyzji, a przynajmniej żywię taką nadzieję.

Fakt porwania zawsze będzie stanowić część naszego życia, pozostawiając w nim trwały ślad. Co się stało, to się nie odstanie. Dzieci zapamiętają, że dwoje z nich zostało uprowadzonych; dla nich była to sprawa ogromnej wagi. Najlepszy sposób, by rodzina mogła się z tym pogodzić,

190

to akceptacja i otwarcie na fakt, że takie wydarzenie miało miejsce. Dzięki przyjęciu tej postawy udawało się nam normalnie żyć.

25 marca 2004 roku, w pierwszą rocznicę porwania dzieci przez Mahmuda, które stanowiła początek naszej ogromnie ciężkiej próby, zabrałam dzieci do miasta na cały dzień. Poszliśmy na lunch, a po południu pojechaliśmy do Queensway na zakupy. Czułam, że to niezwykle istotne, żebyśmy nauczyli się kojarzyć ten dzień z miłymi odczuciami, a nie wyłącznie złymi. Staramy się postrzegać tę datę nie tylko jako rocznicę strasznego wydarzenia, ale także czegoś niezwykle pozytywnego. Dzięki temu zjednoczyliśmy się bowiem jako rodzina, a nasze relacje stały się o wiele mocniejsze. Zdobyte doświadczenie sprawiło, że uważnie przyjrzałam się sobie w roli matki, swojemu postępowaniu, a także moim kontaktom z dziećmi. W sumie wynikało z tego coś dobrego. Skoncentrowałam się na pozytywnej stronie tego traumatycznego przeżycia i stwierdziłam, że pomogło nam ono dojrzeć, a nawet rozwinąć się.

Z nieszczęśliwych doświadczeń wyniesionych z dzieciństwa i późniejszego okresu

życia wyciągnęłam wniosek, że nie można tego, co jest nieprzyjemne, zamiatać pod dywan. Postępując w ten sposób, nadaje się jedynie jeszcze większe znaczenie przykrym wydarzeniom, które mogą wówczas nieustannie tlić się w umysłach dzieci, one bowiem nigdy nie zapominają. Byłoby więc zniewagą dla ich inteligencji udawać, że nic się nie zdarzyło.

Prawdziwie smutnym efektem moich przeżyć jest fakt, że nigdy nie będę zdolna w pełni się zrelaksować. Rozumując racjonalnie, nie spodziewam się, by Mahmud mógł powtórzyć swój czyn. Jednak pamiętając to straszne uczucie, jakiego doznałam, gdy dotarło do mnie, że dzieci zostały porwane, nigdy nie będę miała co do tego całkowitej pewności. Synowie i córki mają teraz telefony komórkowe i jeżeli zdarza im się spóźnić nawet o kilka minut, natychmiast do nich dzwonię. Mahmud nie może zabierać ze szkoły dwójki młodszych dzieci bez mojego uprzedniego pozwolenia. Jeżeli zdarza się, że nie mogę sama po nie pójść, odbiera je, za wiedzą nauczycielki, sąsiadka, uroczą kobietą Umrachia, która również ma dzieci w wieku szkolnym i rozumie sytuację. Szkoła może oddać dzieci tylko jej albo mnie, chyba że wydam inne polecenie.

Mahmud został pozbawiony niemal wszystkich praw rodzicielskich. Lekarze, dentyści i inni, którzy z racji swojej profesji kontaktują się z dziećmi, mogą teraz tylko mnie uznawać za rodzica. On nie może umawiać ani odwoływać wizyt i nie ma prawa odbierać dzieci z gabinetów lekarskich.

191

Pod żadnym pozorem nie mogłam mu pozwolić, by wprowadził się do nas ponownie i żył dawnym życiem, tak jakby nic się nie stało. Zrezygnował ze swojej pracy w Marusz, restauracji na Edgware Road. Mówiąc szczerze, nie sądzę, żeby chciał tam pójść i zapytać, czy ponownie go zatrudnią. Słyszał, że w restauracji była policja i wypytywała o niego. Wszyscy pracownicy wiedzieli, że porwał swoje dzieci. Kiedy wyjaśnił mi, dlaczego nie chce tam wrócić, powiedziałam:

- Moja sytuacja wydaje mi się jeszcze bardziej krępująca. Jestem przecież żoną mężczyzny, który porwał moje dzieci.

Czułam jednak wobec niego odrobinę współczucia. Udaję osobę twardą jak skała, ale w głębi serca jestem miękka. Mahmud zatrudnił się jako kierowca rozwożący towary i mieszka w pensjonacie w St. John's Wood, ponieważ chce być w pobliżu nas.

Mogłoby się wydawać, że jego życie jest raczej przygnębiające, ale prawdę mówiąc, tylko tam sypia. Składa nam wizyty niemal codziennie, spędza czas z dziećmi, ogląda z nimi telewizję, a nawet grają razem w gry komputerowe, choć nie sądzę, by się tym szczególnie pasjonował. Jeżeli jednak rodzice chcą dziś spędzać aktywnie czas ze swoimi pociechami, muszą nauczyć się posługiwać wymyślnymi zabawkami i elektronicznym sprzętem. To nie tylko lalki i gra w klasy, jak było w moim pokoleniu.

Tak więc nadal jest wspaniałym ojcem. Uwielbia dzieci i poświęca im mnóstwo czasu. Bardzo bym chciała, żeby nie czuły się pozbawione jednego z rodziców. Dlatego próbuję sprawić, by ich domowe życie było możliwie normalne. Nie chcę, żeby Mahmud został nadmiernie napiętnowany za dokonany czyn, choć nigdy nie zapomnę niedawnych, dramatycznych wydarzeń i nie pozwolę, by ponownie porwał dzieci. One zaś mają telefony i wiedzą, co robić, gdy wydarzy się coś

nieprzewidzianego. Nie wierzę, by kiedykolwiek próbował znowu zrobić coś tak niemądrego.

Ostatnio dojrzewała we mnie myśl, że pozytywnym posunięciem byłoby wyprowadzenie się z mieszkania w Maida Vale. Zbyt natarczywie kojarzyło mi się ono z tym, co się tu wydarzyło, z wieloma bolesnymi wspomnieniami. Był również inny istotny powód. Mieszkaliśmy dokładnie w sercu licznej bliskowschodniej społeczności, gdzie każdy wszystko

o nas wiedział. Nadszedł moment, by zostawić za sobą trudną przeszłość

i zacząć proces zdrowienia. To były powody naszej przeprowadzki. Zamieszkaliśmy w pięknym, wysokim mieszkaniu w Paddington, w centrum Londynu, w pobliżu Hyde Parku i West Endu, w jednym z wielu georgiańskich domów, które można spotkać w sercu Londynu, ze wspania-

192

łym widokiem z okien. Jedynym powodem do narzekań jest mieszkanie znajduje się na szóstym piętrze, bez windy. Ponieważ przez wiele lat miałam słabość do ciast i innych słodczy, co o na mojej figurze, wchodzenie po schodach można uznać za ćwiczenie. „Patrzcie na to od dobrej strony - powiedziałam dziecio to znacznie tańsze niż chodzenie na siłownię”.

Mahmud okazał się bardzo pomocny. Przyjechał służbową ciężarówką i przewiózł wszystkie nasze rzeczy. Żartowałam, że wyglądam torzy z programu Only Fools and Horses (Tylko głupcy i konie) (blami nagromadzonymi z tyłu samochodu i dziećmi ścieśnionym z przodu. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Donya, o tej porze w przyszłym roku będziemy milionera)

Jest to moje ulubione powiedzenie zaczerpnięte z programi się rodzajem dyżurnego rodzinnego żartu, przytaczanego, ilekroć dałam w rozpacz z powodu rodzinnych finansów albo martwo o różne sprawy bytowe.

Mimo tego, co się stało, a także cierpienia, jakiego doznałam potrafiemy żartować i beztrąsko się śmiać. To dobrze ze względu na ci. W szkole, do której uczęszczają, są również inni uczniowie wujący się w niepełnych rodzinach. Nic ich zatem nie różni od wieśniaków. Mahmud powiesił na ścianach obrazy, urządził łóżko, podłączył telewizor i wykonał wszelkie dodatkowe prace, przy niezbędny jest mężczyzna. Dzieci czują się bezpieczne i kochane oboje rodziców. Jest to w miarę normalna sytuacja rodzinna, jaką możemy stworzyć w naszym położeniu.

14

## HISTORIE OPOWIEDZIANE PRZEZ DZIECI

Eugene Costello, dziennikarz, który pomógł mi napisać tę książkę, zaproponował, by również dzieci mogły zdać relację o wszystkim, co się wydarzyło. Poprosił je, aby opowiedziały własnymi słowami to, co przeżyły. To był doskonały pomysł. Dzieci bardzo chętnie wzięły w tym udział, podczas gdy ja usunęłam się na dalszy plan, przygotowując herbatę. Oto ich własna wersja zdarzeń.

Allawi, 5 lat

Pamiętam, jak wyjechałem z tatusiem. Powiedział, że tego dnia nie ma szkoły, że lekcje się skończyły. „Mamusia jest już w Iraku - mówił - pojedźmy tam, by się z nią zobaczyć”. Ale mamusi tam nie było. Pojechaliśmy na lotnisko. Powiedziałem, że nie



możemy polecieć do Iraku, ponieważ mama ma nasze paszporty, ale tatuś twierdził, że to on ma paszporty i że możemy jechać. Z tyłu samochodu było dużo naszych rzeczy, na przykład ubrania. Wziął ze sobą wszystko, co było potrzebne.

W Syrii było fajnie. Poznałem kilku chłopców. Mój kolega nazywał się Muhammad. Graliśmy w piłkę nożną. Zobaczyłem w ogrodzie wielkiego chrząszcza, a tatuś nadepnął na niego i go zabił.

Kiedy mamusia przyjechała i wywiozła nas z Iraku, pojechaliśmy do Libanu. W pobliżu miejsca, w którym mieszkaliśmy, był Burger King.

Kiedy przyjechały czołgi, chciałem wystrzelić pocisk. Było wspaniale znowu zobaczyć mamę. Jak mieszkaliśmy w Syrii, zanim mamusia przyjechała, tatuś uderzył mnie pantoflem w pupę za to, że zламаłem łóżko. Pamiętam, że płakałem. Chciałem, żeby mamusia była ze mną.

194

Zdawało mi się, że jestem w ogrodzie i zapytałem mamę: „Czy : gę się czegoś napić?”. Mamusia nic nie odpowiedziała, a ja się obu łem. Byłem już w innym miejscu, w które zabrał nas tatuś i mamusi nie było. Zacząłem płakać.

Amira, 7 lat

On [Mahmud] zabrał nas do mieszkania swego przyjaciela. Musieli; się przebrać z naszych szkolnych mundurków, żeby nikt nie wiedział robimy. Kiedy wyszliśmy z lotniska, był dzień, ale jak przyjechaliśmy) miejsce, wydaje mi się, że była już noc. Spaliśmy w domu przyjaciela szego taty. Pewno wcześniej zadzwonił do niego i powiedział: „Przy dzamy do twojego domu”. Tak właśnie musiał zrobić, bo inaczej jak i glibyśmy się znaleźć w jego domu? Gdy tam przyjechaliśmy, czuliśmy bardzo zmęczeni. Od razu poszliśmy spać.

W Libanie było naprawdę zimno i padał śnieg. Tata kupił mi bo płaszcz i szalik.

Pewnego dnia poszliśmy do wesołego miasteczka, z nami mój kolega Ali.

Wsiedliśmy na karuzelę, która bardzo szybko kręciła. Zrobiło mi się niedobrze.

Śniło mi się, że mamusia przyjechała i nas zabrała. Działo się to w '. ku. Przyszliśmy do jakiegoś domu i była w nim mamusia, która trzymała strzelbę. Pamiętam, że strzelba była czarnego koloru.

Płakałam każdej nocy. Tęskniłam za mamusią i chciałam, żeby z n; była. Często pytałam o coś tatę i mówiłam: „Mamo... to znaczy, ch< łam powiedzieć, tato”. Był tym trochę rozdrażniony.

Mama opowiadała mi, że kiedy wyjechaliśmy, przez cały czas wyj dała przez okno naszego mieszkania. Widząc samolot, zastanawiała : czy w nim jesteśmy.

Myślę, że Chalid zajął moje miejsce przy mamie, kiedy wyjechał z tatą. Zazwyczaj spałam z nią w łóżku, zanim wyjechaliśmy. Miałam w dy około sześciu lat. Chalid troszczył się o mamusię, gdy ja byłam dc ko, i przytulał się do niej. Spałam w moim własnym łóżku sama, a t z Allawim spali w innym łóżku.

Kiedy mama przyjechała, siedzieliśmy w samochodzie. Wiedziała że to mamusia, bo poznałam ją po nosie. Wyciągnęła mnie z samocł du i mocno się uściskałyśmy.

Powiedziałam: „Mamusiu, tata za krót ściał moje włosy”.

A ona na to: „Nie martw się, niedługo urosną, a ty i tak pięknie v głądasz”.

Mama zawsze wybiera dla mnie najładniejsze stroje. Teraz ładnie się ubieram, ponieważ znów jestem z moją mamą. Mamusia przywiozła wszystkie moje lalki

Barbie i inne zabawki. Kiedy zobaczyłam Chalida, pomyślałam, że ładnie wygląda. A widząc Marlona, pomyślałam, że bardzo urosł. To była wielka przygoda i nigdy jej nie zapomnę, nawet za milion lat. Poszliśmy do mieszkania i wszyscy położyliśmy się spać w jednym łóżku. Ja i ciocia Tracey spałyśmy z jednej strony łóżka, a mama z moimi braćmi z drugiej.

Nadal myślę, że tata jest miły, gdyż wciąż jest moim tatą. Cokolwiek by się zdarzyło, tak samo kocham moją mamusię i tatusia. Wiem, że tatuś źle zrobił, popełnił błąd. Nie powinien był nas okłamywać. Mówił nam: „Mamusia jest w Syrii. Możemy pojechać do Syrii i ją zobaczyć”. W nocy jechaliśmy taksówką, a tata powiedział: „Jedziemy do domu”.

Podskakiwaliśmy, powtarzając: „Chcemy zobaczyć mamusię, chcemy zobaczyć mamusię”.

Kiedy wróciliśmy do Anglii, koty bardzo urosły, a przedtem były jeszcze małe. Teraz, gdyby coś się znowu zdarzyło, będę płakać i krzyczeć. Jeżeli przyjadę na lotnisko, podbiegnę do kogoś w mundurze i powiem: „Niech mi pan pomoże, mój tata zabiera mnie stąd, a nie powinien tego robić. Nie może mnie zabrać, nie poprosił o to mojej mamy”. Kopnę go i ucieknę. Ale nie myślę, że to się zdarzy. Nie teraz.

Chalid, 8 lat

Pamiętam, że tata zabrał Allawiego i Amirę we wtorek. Utkwiło mi to w pamięci, ponieważ we wtorki mam po szkole treningi piłki nożnej. Gdy skończyliśmy mecz, nikt po mnie nie przyszedł. Siedziałem tam około piętnastu minut. Potem pojawiła się mama i zaprowadziła mnie i Marlona do taksówki. Nie wiedziałem, co się dzieje. Wróciliśmy do domu. Powiedziała nam, że tata zabrał Allawiego i Amirę. Była naprawdę zmartwiona, więc ja też się zacząłem martwić.

Kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy ich szukać, było strasznie. W samolocie Monika przyniosła mi misia. Nazwałem go Brit, gdyż był to miś brytyjskich linii lotniczych. Chciałem, żeby przypominał mi o Wielkiej Brytanii. Cały czas tuliłem się do mamusi i płakałem. Teraz wszyscy wróciliśmy do domu. Uwielbiam przytulać się do mojego brata i siostry.

Na dzień matki narysowałem laurkę dla mamy i podarowałem jej. Siedzieliśmy w kawiarni, myślę, że było to w Syrii. Mama wydawała się zmartwiona, ale od czasu do czasu uśmiechała się.

196

Pamiętam wujka Walida w Libanie. Miał sześć córek. Kupił nam domino. Jechaliśmy do Iraku samochodem. Po drodze widziałem zupełnie zniszczony most, jakby uderzyły w niego bomby. Pamiętam amerykańskiego żołnierza, który powiedział do taty: „Musisz oddać [mamusie] dzieci, albo cię zastrzelę”. Obok stały dwa czołgi. Wszyscy się trochę baliśmy. Kiedy zobaczyłem Allawiego i Amirę, uściskałem ich serdecznie.

Po odzyskaniu rodzeństwa pojechaliśmy do mieszkania pewnego pana. Było tam dosyć miło. Graliśmy w warcaby i udało mi się z nim wygrać. Ja i Allawi próbowaliśmy oglądać jego DVD, ale elektryczność wciąż się psuła, to się wyłączała, to włączała.

Jeżeli tata będzie próbował mnie teraz zabrać, ucieknę i wskoczę do taksówki, a mama zapłaci za kurs, kiedy przyjadę do domu. Gdybyśmy byli na lotnisku, a tata

kupowałyby bilety, uciekłbym z Amirą, Allawim i Marlonem. Złapałibyśmy taksówkę albo byśmy komuś o tym powiedzieli.

Po wyjeździe mojego brata i siostry było mi bardzo smutno. Czuję się taki samotny. Kiedy tata ich zabrał, zupełnie się zagubiłem. Ale teraz mogę udawać, że nigdy się to nie wydarzyło. Byłem trochę zły na tatę.

Czuję się naprawdę szczęśliwy, że wrócili. Zaczęło się nowe życie. Nie pozwolę, żeby zdarzyło się to po raz drugi.

Marlon, 12 lat

Pewnego dnia, po szkole, mój tata nie pojawił się i wydało mi się to dosyć dziwne, ponieważ zawsze po mnie przyjeżdżał. Na zewnątrz padało. Wróciłem do szkoły i poszedłem do pokoju nauczycielskiego. Zadzwoiłem do mamy, by dowiedzieć się, co się stało. Powiedziała, żebym na nią poczekał. Przyjechała po mnie taksówką z Williamem i udaliśmy się po Chalida, który miał swój piłkarski trening. Jego szkoła podstawowa znajduje się w odległości zaledwie pięciu minut spacerem.

Innych dzieci nie było w szkole, toteż pomyślałem: „Co się mogło stać?”. Mama stała na zewnątrz i płakała. Wywnioskowałem, że wydarzyło się coś złego. Zapytałem: „Co się stało?” Odpowiedziała: „Powiem ci wkrótce”.

Pojechaliśmy do domu. William okazywał nam wiele serca. Zaraz potem przyszły Monika z Michelle. Opracowaliśmy pewien plan. Tego dnia odwiedziło nas wiele osób. Każdy przychodził, żeby zobaczyć, czy wszystko było z nami w porządku. Ponieważ mama zarabiała na życie, próbując odzyskać porwane dzieci, nie martwiłem się wtedy zbyt. Myślałem, że uda się nam sprowadzić siostrę i brata. Byłem nastawiony optymistycznie.

197

Tydzień później, we wtorek, pojechaliśmy na lotnisko Heathrow. Zazwyczaj, kiedy jedziemy samochodem na lotnisko, wszyscy jesteśmy szczęśliwi, ponieważ wybieramy się na wakacje. Ale tym razem zachowywaliśmy się bardzo spokojnie. Panowała taka atmosfera, że nie mogliśmy inaczej. Poleciliśmy do Libanu i zatrzymaliśmy się na kilka nocy w Bejrucie w eleganckim apartamencie. Nadaliśmy ostateczny szlif naszemu planowi, omawiając szczegóły tego, co mamy zrobić.

Jechaliśmy dosyć długo do libańskiej granicy, żeby dostać się do Syrii. W Damaszku zamieszkaliśmy w hotelu. Pamiętam, że naprzeciwko był sklep z kanapkami, gdzie zjedliśmy smaczny posiłek i wypiliśmy sok. Po raz pierwszy nie korzystaliśmy z samolotu, tylko pojechaliśmy samochodem, w przeciwieństwie do drugiego razu, kiedy poleciliśmy do Jordanii. Nie wiem dlaczego, ale przypominało mi to podróż do Hiszpanii.

Kiedy nie udało się nam odzyskać rodzeństwa, byłem bardzo zmartwiony. Myślę, że każdy brat na moim miejscu byłby smutny. Trzeba jednak zostawić za sobą negatywne przeżycia i z optymizmem patrzeć w przyszłość. W trudnej sytuacji nie należy nigdy być pesymistą. Podczas naszej drugiej wyprawy jechaliśmy szesnaście godzin. Podróż trwała non stop przez dwa dni, oprócz przerw na spanie i jedzenie. Gdybyście mogli zobaczyć, jak wyglądał wtedy mój brat Chalid. Wydawał się zrozpaczony i strasznie wyczerpany. Opadały mu powieki, niemal się zamykały. Udawało mu się uśmiechać do kamery, ale uśmiechały się tylko jego usta, a nie oczy. Pewnej nocy spaliliśmy przez kilka godzin na granicy Iraku z Jordanią. Kiedy

mogliśmy już ruszyć dalej, udaliśmy się do Iraku. Postanowiliśmy pojechać do domu mojej babci, żeby zobaczyć, czy są tam porwani. Po przyjeździe zauważyliśmy stojące na podłodze buty Amiry i Allawiego, co było dowodem ich obecności. Rozejrzeliśmy się wokół i dostrzegliśmy konsolę do gier obok telewizora. Allawi uwielbia takie gry, toteż byliśmy pewni, że tam są. Babcia przygotowywała wtedy kolację. Kiedy nas zobaczyła, powiedziała: „Faktycznie, byli u nas, ale Mahmud mówił nam, że wy też tu przyjedziecie”. A mama na to: „Mahmud uprowadził dzieci”.

Babcia natychmiast wsiadła z nami do samochodu, żeby pokazać, gdzie jej syn teraz mieszka. Był dosyć późny wieczór, a przynajmniej miałem wrażenie, że zrobiło się późno, ponieważ tak długo jechaliśmy. Może była dopiero siódma lub ósma wieczorem, ale na zewnątrz było ciemno.

Pojechaliśmy do tego domu w Bagdadzie. Czuję się naprawdę zmęczony, więc próbowałem przespać się na tylnym siedzeniu samochodu, ale nie mogłem zasnąć, zanim nie dowiedziałem się, gdzie jesteśmy i co

198

się dzieje. Następnie znaleźliśmy się przed domem, którego szukaliśmy. Po chwili zobaczyłem mojego najmłodszego brata, z którym jesteśmy bardzo zżyli. Od razu do mnie podbiegł. Początkowo nigdzie nie zauważyłem siostry. Przytuliłem się do Allawiego i poczułem się wspaniale. Był tak blisko mnie, zupełnie jakby znalazł się w moim ciele. Wkrótce ujrzałem też siostrę. Z radością podbiegłem do niej i mocno się objęliśmy.

Potem zobaczyłem mego tatę. Też go przytuliłem. Spojrzeliśmy na siebie, ale nic mu nie powiedziałem. Nie chciał oddać nam dzieci. Prawdziwą bohaterką całego tego wydarzenia okazała się moja ciocia Tracey. Przywołała na pomoc amerykańskie czołgi. Sądzę, że nie mogła w tej sytuacji zrobić nic lepszego! Poprosiła żołnierzy, aby zeszli z czołgu, a oni ucieli sobie z nami pogawędkę. Mój mały brat wpatrywał się w nich, a ja myślałem: „Czy nie masz już dość takich widoków?”.

Allawi wszedł na czołg. Był tym wszystkim bardzo zaaferowany. My tymczasem rozmawialiśmy z żołnierzami. Następnie wszyscy wsiedliśmy do samochodu.

Pojechaliśmy do mieszkania znajomego, gdzie mogliśmy się ukryć, ponieważ w mieście obowiązywała godzina policyjna. Spędziliśmy razem czas na rozmowach i zabawach, a na pożegnanie wymieniliśmy mnóstwo uścisków. Nazajutrz pojechaliśmy do Amma-nu, a stamtąd poleciliśmy do Bejrutu.

Pobyty w Bejrucie trochę przypominał wakacje. Myślę, że po ciężkich przejściach w pełni na nie zasłużyliśmy. Samolot do Londynu mieliśmy dopiero za kilka dni. Wujek Walid zabrał nas do restauracji leżącej tuż nad brzegiem morza i było naprawdę miło. Zjadłem kurczaka z grilla. Miejscowe potrawy nie przypadły mi do gustu, więc jadaliśmy często w Burger Kingu. Na szczęście dla nas restauracja znajdowała się tuż obok hotelu, w którym mieszkaliśmy. Kiedy tam siedzieliśmy, mama nie była naprawdę sobą. Zachowywała się dosyć nerwowo i nie chciała nam pozwolić, byśmy znikali jej z oczu. Poszliśmy na plac zabaw, obok restauracji, a mama wciąż spoglądała w tamtym kierunku i wołała, żebyśmy się nie oddalali.

Po powrocie do Londynu pewnego dnia przyszedłem ze szkoły i zauważyłem, że ktoś schował się za drzwiami. Nie wiedziałem, kto to jest, ale gdy próbowałem je

zamknąć, wyskoczył zza nich mój tata. Jego widok bardzo mnie ucieszył. Serdecznie się uściskaliśmy, a on zaczął płakać. „Jest mi naprawdę przykro - powiedział. - Nigdy nie chciałem cię zranić. Nie wiedziałem, co robię, musiałem być szalony. Nigdy więcej się to nie powtórzy”.

199

Wybaczyłem tacie. Według mnie po prostu popełnił błąd. Każdemu może się to zdarzyć, ale nie należy przypominać mu o tym przez resztę jego życia.

Przypuszczam, że nawet mama mu wybaczyła, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Wybaczyła mu, ale nie potrafi zapomnieć, co się stało. Dobrze, że wszyscy znów jesteśmy razem, a tata towarzyszy nam przez cały czas.

Kiedy dorosnę, chciałbym być dziennikarzem. Pragnę podróżować i spotykać ludzi z pierwszych stron gazet. To dobrze, że zmieniliśmy mieszkanie. Kiedy mama powiedziała o przeprowadzce, było mi smutno. Teraz jednak, gdy już tu mieszkamy, myślę, że tak jest lepiej dla nas wszystkich; to nowy początek. Mam stąd dobry dojazd do szkoły. Wsiadam w autobus 36, który jedzie na Harrow Road, a następnie inny autobus 328 dowozi mnie tuż pod szkolną bramę.

W dawnym miejscu zamieszkania wpadłem w nieodpowiednie towarzystwo, włóczyłem się z chłopcami, którzy mieli na mnie zły wpływ. Nie przychodziłem do domu zaraz po lekcjach, wałęsałem się całymi godzinami. Teraz wracam do domu prosto ze szkoły, robię sobie herbatę i zabieram się do odrabiania lekcji. Pragnąc zrealizować swoje marzenie i zostać dziennikarzem, muszę mieć dobre wyniki w szkole, by dostać się na uniwersytet. Dlatego wolę mieszkać tutaj, gdzie nikt mnie nie rozprasza.

Zaprzyjaźniłem się z chłopcem, który mieszka na dole. Ma na imię Lawrence. Nie chodzi do mojej szkoły, ale jest naprawdę miły. Kibicuje Queens Park Rangers. Siedziba tej drużyny znajduje się blisko naszego domu. Ja należę do kibiców Man United, ale lubię też QPR. Łowca nowych talentów z QPR widział, jak Chalid gra w piłkę nożną, i powiedział, że mój brat mógłby się przyłączyć do ich młodzieżowej drużyny. Jeszcze nie zadzwonił, ale ciągle jest szansa.

Tata już nigdy nie będzie próbował zrobić czegoś równie głupiego. Czuł się po prostu zdesperowany, ale dostał nauczkę. Myślę, że wszystkie te wydarzenia były dla niego potwornym szokiem. Jednak największych problemów przysparzało mu pilnowanie Allawiego. Kocham mojego brata, ale trzeba przyznać, że jest prawdziwym urwisem. Potrafiłby zniechęcić każdego, kto próbowałby to jeszcze kiedyś zrobić!

## EPILOG

Patrząc wstecz, przypominam sobie wiele rzeczy. Pamiętam, jak Sandra przytoczyła mi słowa Mahmuda: „Jeżeli Donya będzie grzeczną dziewczynką, pozwolę jej porozmawiać z dziećmi”. Ogarnął mnie wówczas wielki gniew. Mahmud - jak sądzę - miał na myśli to, że gdybym zachowywała się jak typowa muzułmańska żona, to znaczy siedziała w domu, gotowała i okazywała mu wiele szacunku, zasługiwałabym na miano grzecznej dziewczynki. Choć tak naprawdę to nie wiem, o co mu dokładnie chodziło.

Myślę, że jego głowa pełna była bzdur, jakie wbijali mu w nią mężczyźni tworzący społeczność Maida Vale. Utwierdzali go, żeby nie aprobował moich poczynań. Nie podobała im się pomoc udzielana matkom w odzyskiwaniu porwanych dzieci.

Wszystkie kobiety w pełni akceptowały moją działalność, ale mężczyźni wręcz przeciwnie - uważali, że zadzieram nosa. To mała społeczność, wszyscy byli tam bliskimi sąsiadami, a nasze dzieci chodziły do tej samej szkoły... Kiedy znalazłam się w więzieniu w Dubaju, wielu z tych mężczyzn uznało, że Mahmud przestał sprawować nade mną kontrolę. Prawdopodobnie bardzo go to bolało. Martwiłam się, że może załamać się psychicznie. Wiadomość o rozpoczęciu wojny w Iraku doprowadziła go do ostateczności. Przez cały czas mówiono o niej w dziennikach. Płakał, mówiąc: „Co oni robią z moim biednym krajem?”. Bywało, że szalał ze złości na Blaira i Busha. Naprawdę myślałam, że zaczyna wariować.

Największy szok przeżyłam jednak wówczas, kiedy moje dzieci zostały uprowadzone. W tych dramatycznych okolicznościach trudno mi było okazywać mu współczucie. Francuskie przysłowie mówi: Tout com-prendre, c'est tout pardonner (Zrozumieć wszystko, to wszystko wybaczyć), ale nie mogę się z tym zgodzić.

Gdybym miała przechodzić przez to raz

201

jeszcze i myślałabym racjonalnie, nie sędzę, że pojechałabym natychmiast szukać dzieci w Bejrucie i Syrii. Powinnam była przewidzieć plan Mah-muda. Znam go i wiem, jak się zachowa w określonych okolicznościach, toteż mogłam się domyślić, dokąd się uda. Późniejsze wydarzenia potwierdziły, że miałabym rację.

Pisząc tę książkę, w której przedstawiłam to, co się wydarzyło w moim życiu, starałam się być uczciwa. Niektórzy, być może, nie zaaprobują mojego postępowania, inni będą je pochwalać, ale z kart książki bezsprzecznie wyłania się mój realistyczny portret. Mam nadzieję, że inne mamy zaciekawiają moje przeżycia. Jeżeli dzięki temu choćby jedno dziecko nie zostanie porwane, a lektura pomoże zagrożonym kobietom zauważyć oznaki niebezpieczeństwa, będzie to dla mnie prawdziwa satysfakcja.

Wiem, że niektórzy będą mnie krytykować za to, że nie świadczyłam przeciwko Mahmudowi. Możemy jednak zrobić tylko to, co wydaje się nam w danym momencie właściwe. Kiedy po raz pierwszy wyjechałam w poszukiwaniu moich dzieci, zadawałam sobie pytanie: czy powinnam być miła dla Mahmuda, w nadziei że bez żadnego problemu odda mi dzieci, czy też postępować z nim twardo, bez cienia tolerancji dla jego czynu. I wówczas zdałam sobie sprawę, że zrobię wszystko, co będę musiała. Byłam gotowa nawet go zabić, by odzyskać dzieci; czułam się absolutnie zdeterminowana. Prawdę mówiąc, gdyby zaszła taka potrzeba, oddałabym za nie życie. Nigdy sobie nie wyobrażałam, nawet po licznych doświadczeniach z kobietami, którym pomagałam przez te wszystkie lata, co się wtedy naprawdę czuje. Tam, gdzie była czwórka moich dzieci, tam było całe moje życie. Nikt nie mógł stanąć pomiędzy nimi a mną. Moje bolesne przeżycia utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Wydawało mi się, że walczą we mnie dwie osobowości. Sama sobie zadawałam pytanie: „Jak sobie z tym poradzę?”. Kobieta musi znaleźć wewnętrzną siłę, by sprostać sytuacji, która powstała nie z jej winy; powinna zapomnieć o emocjach i skoncentrować się wyłącznie na swoich działaniach, tak jakby nie chodziło o jej dzieci, po prostu realizować postawione przed sobą zadanie. Zawsze powtarzałam kobietom, którym usiłowałam pomóc, by nie myślały o tym, że próbują odzyskać swoje dzieci, tylko aby jechały po nie z wewnętrznym nastawieniem, że pomagają

przyjaciółce. W przeciwnym wypadku przedsięwzięcie mogłoby je przytłoczyć emocjonalnie. Rezultat byłby wówczas inny od oczekiwanego.

202

Kiedy udało mi się odebrać dzieci, gniew minął. Doszłam do wniosku że ukaranie Mahmuda nikomu by nie pomogło, natomiast pozbawiło je ojca.

Ludzie mają różną motywację, ja kierowałam się własnym interesem Matkom, którym pomagałam, mówiłam zawsze, że jeśli poczują jak wątpliwość, muszą pamiętać, że nadrzędnym celem ich działania jest połączenie się z dziećmi. Ale pozostaje jeszcze inna kwestia. Okazuje się że kobiety, mimo wszystko, tęsknią za scaleniem rodziny. Marzą, wszystko było jak dawniej, kiedy były razem ze swoim mężczyzną. I gdy jednak nie będzie już tak samo. Wiem o tym teraz z własnego doświadczenia. Jeżeli partner posunął się tak daleko, że porwał ich dzieci, wówczas całe zaufanie, jakim darzyła go kiedyś kobieta, zostaje zniszczone na zawsze i nigdy już nie będzie odbudowane. Od tej pory kobieta żyje w nieustannej panice; nie pozwala, by mąż odprowadził dzieci do szkoły, nie zgadza się też, by je odbierał, wciąż obawiając najgorszego. Wywiezienie dzieci za granicę zajmuje zaledwie godzinę. Ludzie uważają to za skomplikowaną operację, a jest zupełnie inaczej. Ktoś mógłby opuścić swój dom wraz z dziećmi, podczas gdy ja zajmowałabym się gotowaniem albo czymkolwiek innym. Uciekinierzy do tarlisy do lotniska na Heathrow w ciągu czterdziestu pięciu minut, zgromadzą się do odprawy na pół godziny przed odlotem samolotu i wystarczyłaby godzina z kwadransem, by znaleźć się w powietrzu. U Wyjechali, tak po prostu. Przebaczyłam Mahmudowi, ale nie umiem zapomnieć traumatycznych przeżyć, podobnie jak dzieci. I to jest dla nich największa kara.

W moim życiu miały miejsce dwa wydarzenia, o których nigdy nie zapomnę. Trudno mi wykreślić z pamięci trudne chwile, jakie przeżyłam w więzieniu w Dubaju, ale nie jest to aż tak ważne. Pamiętam < dzisiaj uczucie ogromnego lęku, gdy moja córka dostała niemal zapalenia opon mózgowych oraz moment rozpaczki, kiedy dowiedziałam się o porwaniu dzieci przez Mahmuda. Doskonale też pamiętam Dzień Matki w Syrii, gdy byliśmy tam po raz pierwszy, poszukując porwanej dziewczynki. Kiedy siedzieliśmy w restauracji, Chalid podarował mi zrobioną własnoręcznie laurkę, gdyż wiedział, jak bardzo byłam przygnębiona. Nie widzę też wtorków, ponieważ właśnie tego dnia Mahmud uprowadził dzieci. Teraz jednak próbuję myśleć o tym pozytywnie.

Gdy dzieci zostały porwane, wielką pomoc okazali mi moja przyjaciółka Anna i jej syn. Dzwonili w różne miejsca, by dowiedzieć się, które sieci telefoniczne obsługiwały terytorium Syrii. Chcieli spróbować;

2(

przekupić kogoś, aby otrzymać zapisy rozmów, dzięki którym można byłoby się zorientować, gdzie przebywa Mahmud. Przyjaźniłam się z Anną od czasu, gdy Marlon miał trzy lata, a zatem od przeszło dekady. Jej syn zmarł niedawno na raka w wieku trzydziestu czterech lat. Był bardzo zżyty z moimi dziećmi, szczególnie z Chalidem. Nosił czapki, żeby ukryć utratę włosów po chemioterapii. Jedną z nich dał mojemu synkowi, który zaczął ją zakładać. Odwiedziłam syna Annę w szpitalu w dniu jego śmierci; wyglądał tak spokojnie. Wydawał się pogodzony z losem.

Pocałowałam go i pożegnałam się z nim. Było to w Hammersmith Hospital, dużym, starym wiktoriańskim budynku w pobliżu Wormwood Scrubs. Zawsze wydawało mi

się zabawne, że więzienie znajduje się w pobliżu szpitala. Jeden przybytek wzniesiono po to, by karać ludzi, a drugi, by się nimi opiekować. W obydwu jednak oczekują oni na jakiś wyrok.

Patrząc na syna Annę umierającego tak młodo, zdałam sobie sprawę, jak wielkie mam w życiu szczęście. Uważałam, że powinnam dziękować Bogu. Z tego właśnie powodu staram się pogłębiać relacje z dziećmi i -pomimo tego co zrobił - także z ich ojcem. W końcu nadal nim jest. Próbuję też nawiązać bliższe kontakty z mamą. W okresie, kiedy z nią walczyłam, zabroniłam jej widywania się z dziećmi.

Mahmud i moja mama nigdy nie byli ze sobą w dobrych stosunkach, ale teraz - jak na ironię - potrafią się dogadać. Odnoszę wrażenie, że współczuje mu z powodu konsekwencji, jakie poniósł za swój niegodziwy czyn; wie, co to znaczy być surowo osądzonym. We wrześniu 2004 roku po raz pierwszy pojechałam do mamy i zamieszkałam tam razem z dziećmi. Czułam, że na to zasługuje; chciałam, by poznała uczucie radości ze spędzania czasu z wnukami. Od tej pory odwiedzaliśmy ją już kilkanaście razy. Po raz pierwszy w życiu nie czułam się źle przez nią traktowana. Choć należę do osób, które łatwo nie zapominają i nie wybaczą, gdy ktoś wyrządzi im krzywdę, znacznie lepiej rozumiałam teraz swoją matkę.

Muszę przyznać, że w stosunku do dzieci jestem bardzo miękka. Kiedy są niesforne, zdarza mi się na nie krzyknąć, ale nie przejmują się tym. Tylko wtedy, gdy jestem naprawdę rozgniewana, słuchają mnie, wiedząc, że nie żartuję. Nigdy ich nie biję. Gdybym to zrobiła, świadczyłoby to o utracie panowania nad sobą. Nie służy to niczemu dobremu. Jeżeli wydaje się dzieci na świat, należy pamiętać, że są ludźmi, choć jeszcze nie-dorosłymi, którzy mają własne uczucia.

Sądzę, że mój najstarszy syn Marlon musiał bardzo szybko wydorosnąć. Zupełnie niespodziewanie stał się głową domu, będąc zmuszony po-

204

ciesząc nieustannie swoją matkę. Utkwił mi w pamięci wieczór, kiedy odzyskaliśmy dzieci. Mieszkaliśmy w hotelu Savoy w Bejrucie. Wszystkie spały, Marlon przytulał swego małego brata, a Chalid trzymał w objęciach młodszą siostrzyczkę. Tracey zapadła w głęboki sen, zupełnie wykończona. Siedziałam przy łóżku, obserwując moje pociechy z niewy-słowionym uczuciem szczęścia. To było najcudowniejsze doznanie. Wtedy jeszcze nie uporałam się ze wszystkimi problemami, nadal byłam na Bliskim Wschodzie, ale miałam wewnętrzne przekonanie, że wszystko ułoży się pomyślnie.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam sama do siebie: „Będzie dobrze. Nikt już nie wprowadzi moich dzieci”.

#### PODZIĘKOWANIA

Chciałabym złożyć podziękowania następującym osobom:

Przede wszystkim moim drogim przyjaciółom, rodzinie Al-Dżaff, która okazała mi wiele wsparcia, kiedy moje dzieci zostały uprowadzone. W zeszłym roku ich syn zmarł na raka. Był wspaniałym młodym człowiekiem, bardzo przez wszystkich kochanym.

Moim przyjaciółom Sharon Hendry, Monice Garnsey, Paulowi Haman-nowi, Michelle Ross, Williamowi Robinsonowi, Lenie, wszystkim kierowcom, Latifie Rais, Andy'emu Mountfieldowi, Walidowi Aslamowi i Marcie Chester. Pragnę też wyrazić



szczególną wdzięczność Abirowi Ta-hirowi, który okazał mi ogromną pomoc po porwaniu moich dzieci, a także mojej siostrze Sandrze i jej mężowi Paulowi, którzy wspierali mnie, jak tylko mogli, bez względu na okoliczności.

Dziękuję też amerykańskim żołnierzom, którzy w dramatycznych chwilach stanęli na wysokości zadania - Williamowi, Deniemu i innym. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę miała okazję ich spotkać i osobiście podziękować. Zaslugują na miano bohaterów.

## SPIS TREŚCI

Od autorki .....	7
Prolog .....	9
1. Początki.....	13
2. Opuszczam dom .....	18
3. Uczę się latać .....	25
4. Moja pierwsza misja .....	33
5. Zyskuję rozgłos .....	48
6. Powinowaci i wyjęci spod prawa .....	56
7. Podcięte skrzydła .....	72
8. W świetle jupiterów .....	92
9. Mój świat się zawalił .....	115
10. Wszystkie drogi prowadzą donikąd .....	122
11. Fałszywe tropy i puste obietnice .....	132
12. Raz na wozie, raz pod wozem .....	140
13. Przyjaciele znowu razem .....	178
14. Historie opowiedziane przez dzieci.....	194
Epilog .....	201
Podziękowania .....	206